

Tonith Lee

Czarnoksiężnik z Volkyanu

Przełożyła: Danuta Górską  
Wydawnictwa ALFA Warszawa 1991  
Tytuł oryginału: Volkhavaar  
DAW Books, New York 1977  
Ilustracja na okładce: Janusz Obłucki  
Projekt znaku graficznego podserii: Ryszard Z. Fiejtek  
Redaktor: Marek S. Nowowiejski  
Redaktor techniczny: Monika Ukleja  
Copyright 1977 by Tanith Lee  
For the Polish edition  
Copyright e 1991 by Wydawnictwa ALFA  
ISBN 83-7001-355-4

Miłość kołem się toczy,  
a koło nie ma końca.

(przysłowie ludowe)

Część pierwsza  
NIEWOLNICA I JEJ SERCE

1.

Słońce w złotym rydwanie zbliżało się do ostatnich łąk nieba. Wkrótce sześć gniadych koni parsknie z nozdrzy różowym płomieniem i pogalopuje za horyzont. Później nadejdzie zmierzchu niczym wdowa w żałobie, i zarzuci czarny welon na niebo i ziemię, ale na długo przedtem niewolnica Shaina sprowadzi stado kóz w dolinę. Wiosną Shaina zabierała kozy na górskie pastwisko tylko w niektóre dni. Zazwyczaj robił to Młody Ash, syn jej właściciela, ale Młody Ash upijał się co czwarty lub piąty wieczór; tak więc w te ranki, kiedy leżał okryty niedźwiedzią skórą jęcząc i wzywając wszystkie domowe demony, żeby się nad nim użaliły, żona Starego Asha wzywała niewolnicę i wyprawiała ją ze stadem. Ale Shaina nigdy się nie skarżyła. Jej właściciele nie lubili, kiedy siedziała beczynnienie na pastwisku, i kazali jej zabierać ze sobą pranie i cerowanie, musiała więc dźwigać na plecach ciężki kosz tam i z powrotem. Nie mogła spuścić stada z oka na chwilę, jako że wszystkie kozy były na swój kozi sposób trochę szalone i zawsze gotowe to udowodnić. A jednak dobrze jej było na tej górskiej łące, usianej drobnymi, wiosennymi kwiatami, rozbrzmiewającej srebrzystym szmerem rozgadanych strumieni wezbranych odwilży. Otaczające łąkę szczyty wydawały się bardzo bliskie. Każdy miał swój własny kształt i kolor, a przecież wciąż się zmieniały pod zmiennym niebem; raz były ostre i wyraźne w jasnym słońcu, kiedy indziej rozmyte przez mgłę, to znów przypominały zastygłe chmury. W wiosce każdy szczyt nosił własne miano Ś Wielki Elf, Zimna Turnia, Czarny Wierch. Niektóre były przyjazne, inne przeklęte. W każdym razie o wiele przyjemniej pracowało się w ich otoczeniu, niż razem z żoną Starego Asha tkwiło w ciasnej, zakopconej izbie pomiędzy garnkami, gdzie jedynym urozmaiceniem był pies szczekający na podwórzu lub dzieci rzucające kamieniami. Zwykle po dniu spędzonym w górach Shaina wracała do wioski odświeżona i niemal zadowolona z życia. Lecz tego

wieczoru, kiedy schodziła stromą kamienistą ścieżką wdychając rzeźwy wiatr, z koszykiem na plecach, otoczona przez drepczące stado, czuła, że narasta w niej dziwny, nieuchwytny smutek. Owa melancholia była jej dobrze znana. Przez ostatnie dziesięć miesięcy odchodziła i wracała, za każdym razem coraz bliższa, coraz słodsza i bardziej gorzka w jej sercu. Shaina nie umiała jej nazwać. Nie był to posępny, gryzący żal za utraconą wolnością; do niego przywykła. Młoda, silna i dumna, wprędce znalazła w sobie dość odwagi i zdecydowania, żeby powiedzieć: Nie zawsze będę niewolnicą; a jeśli już mam żyć w niewoli, będę nosić głowę wyżej niż córka księcia w Arkev. Okrutni ciemnoskórzy ludzie porwali ją z domu, kiedy miała zaledwie sześć lat. Niewiele zapamiętała z tej szaleńczej przeprawy, tylko ogień i dym, które zostały z tyłu, i przerażenie, które czyhało na przedzie. Wielkie, rozkołysane morze zaniosło okręty do skalistego brzegu. Bosa, w łańcuchach, zapłakana, z pokrwawionymi stopami przybyła Shaina do Korkeem, do kraju, gdzie miała dorastać. Tutaj zapomniała o swojej ojczyźnie, pamiętała tylko cień przeszłości, powracający niekiedy w głosach jej przodków, jej rasy, a niekiedy w snach. W jej ojczyźnie było ciepło, a w tym kraju zimno, ale ten zimny kraj stał się jej krajem i przestrzegała jego zwyczajów, ponieważ nie знаła innych. Z przeszłości zachowała tylko swoją dumę, jedyne dziedzictwo, którego nie mogli jej odebrać. Choć teraz należała do Starego Asha, przecież nie zawsze była jego niewolnicą; widziała więcej w swojej przybranej ojczyźnie niż wieśniacy, którzy mogli podróżować bez ograniczeń. Została sprzedana w wieku siedmiu lat, ponownie jako dziesięciolatka i po raz trzeci Staremu Ashowi, kiedy miała lat szesnaście. Wędrując z jednego targu niewolników na drugi widziała trzy wsie i jedno miasteczko, a nawet oglądała z daleka Arkev, miasto słońca i księżycy, gdzie książę jadał pieczone łabędzie w białym pałacu o wieżach zwieńczonych kopułami z złotego metalu. Stary Ash i jego żona w najlepszym razie chodzili do Kost w dni targowe. Jeśli chodzi o Młodego Asha, najdalszym miejscem, do którego kiedykolwiek dotarł, była karczma na wzgórzu. Shaina miała więc swoją dumę, poczucie wyższości, które zawdzięczała podróżom, niezłomną wolę i świadomość dziedzictwa krwi i dlatego nie wiedziała, skąd się bierze ów smutek, który przychodzi o zmierzchu. Zwierciadło mogłoby jej to powiedzieć, ale zwierciadło z brązu w domu Starego Asha było mętne i porysowane, a zresztą niewolnica i tak nie miała czasu się w nim przeglądać. Strumień mógłby jej to powiedzieć, gdyby jego wody były dość spokojne, by stać się zwierciadłem i ale wiosną strumienie Korkeem stawały się bystre i wzburzone, a zimą pokrywały się białym lodem. Włosy Shainy były czarne i lśniące jak niebo o północy, jej oczy miały kolor dębowych liści na jesieni. Była smukła i prosta, stapała nie jak niewolnica, ale jak księżniczka. Zaprawdę, nawet sam książę w podniebnym Arkev byłby zadowolony, gdyby jego niezgrabna córka nosiła się tak jak Shaina, mimo koszyka na plecach, kóz i całej reszty. U podnóża góry znajdowało się miejsce, gdzie ścieżka okrążała wielką skałę. Na boku tej skały ktoś przed wiekami wyrzeźbił podobiznę demona czy górskiego bóstwa, które wieśniacy zawsze pozdrawiali przechodząc. Shaina również nabrała zwyczaju kłaniania się bożkowi i życzenia mu dobrego dnia lub dobrej nocy, jako że w tej krainie diabłów, chochlików i demonów człowiek nigdy nie mógł być dość ostrożny. Również kozy zachowywały się dziwnie, przechodząc tamtędy i beczwały głośniejsze i bodły się bardziej niż zwykle. Tego wieczoru tuż przed zakrętem kozy nagle zbiły się w ciasną gromadkę i dziwnie zamilkły, przewracając oczami. Mimo to Shaina podniosła wzrok, aby wypowiedzieć zwyczajowe pozdrowienie, i wydało się jej, że rzeźba odmłodniała. Ale to musiało być złudzenie, wymówiła więc słowa powitania i zawołała na kozy. Zwierzęta ani drgnęły. Shaina precyzyjnie się między nimi i znalazła się po drugiej stronie skały. Niebo pociemniało, zrobiło się chłodniej; ostatnie szaroróżowe blaski kładły się na pustym stoku, a w wiosce poniżej zaczynały się zapalać światła. Coś się jednak zmieniło: niewielki głaz, który musiał stoczyć się ze zbocza, spoczywał na środku drogi. i Widzicie i powiedziała Shaina do kóz i to tylko kamień. Boicie się kamienia, głuptasy? Kozy potrząsnęły brodami i dalej milczały. i Uważajcie i ostrzegła je Shaina i bo

kiedy w górach zapadnie noc, spod ziemi wyskoczą karzełki i zabiorą was. Ale kozy tylko wpatrywały się w nią uparcie, aż w końcu Shaina pomyślała, że musi odsunąć ten okropny głaz. Zbliżyła się więc doń rażnym krokiem, żeby pokazać kozom, iż nie ma się czego bać. Wówczas głaz jakby się przekręcił, podniósł głowę i popatrzył na nią parą czarnych oczu. Na ten widok Shaina znieruchomiała nie mówiąc nic, jako że najmądrzej wydawało się zachować milczenie. Ś Nie wszystko, co chodzi na dwóch nogach, jest człowiekiem Ś przemówił głaz gawędziarskim tonem Ś i nie wszystko, co leży bez ruchu, jest kamieniem, jak powiedział wilk, kiedy ugryzła go żmija. Ś Widzę Ś odparła Shaina. I rzeczywiście, zamiast głazu zobaczyła starą kobietę o dziwnie szarej skórze, zakutaną w wielki mszysty szal, o pomarszczonej szarej twarzy, z której wyzierało ostre jak nóż spojrzenie czarnych oczu. Ś Jesteś niewolnicą z tej wioski Ś stwierdziła starucha. Ś Przemierzyłaś obce kraje i piłaś wodę z niejednej studni. Czekasz na coś. Czy wiesz, na co czekasz? Ś Chcę wrócić do domu mojego pana, matko, bo inaczej czeka mnie bicie. Ś Kij rani grzbiet, nie serce Ś powiedziała starucha bezlitośnie. Ś Twoje serce, moja piękna, silna i odważna niewolnico, czeka na kogoś, kto je zrani. Stoisz tu, jakbyś zamiast koszyka z praniem nosiła na ramionach aksamitny płaszcz, a na nogach srebrne bransolety. Ale powiadam ci, że nim skończy się dzień jutrzejszy, przyjdiesz do mnie jak żebraczka i ofiarujesz mi własną serdeczną krew w zamian za moją pomoc. Shaina poczuła, że blednie. Przestraszyły ją nie tyle słowa starej kobiety, ile sposób, w jaki zostały wypowiedziane, i niesamowity wyraz jej twarzy. Ale w chwilach przestachu Shaina odnajdywała w sobie żelazną nieugiętość. Zapytała więc twardo: Ś Jeśli już mam przyjść do ciebie i błagać o pomoc, powiedz mi chociaż, kogo mam szukać? Ś Zapytaj w wiosce, niewolnico. Zapytaj kogo bądź. Powiedz, że spotkałaś w górach kamień, który mówił, że kamień był szary i miał czarne oczy. A teraz możesz przejść, ty i twoje kozy. Patrz, oto droga. Ś Shaina mimo woli spojrzała tam, gdzie pokazywała stara kobieta. Dolina wypełniała się ciemnością jak puchar winem, w wąskich oknach domów jaśniały światła. Potem odniosła wrażenie, że 8 domy się poruszają, a światła przelatują z okna do okna jak rój złotych pszczoł. Nie widziała już nic, serce w niej śpiewało, ziemia tańczyła pod stopami. Ś Zapytaj w wiosce, kto mieszka na zachód od Zimnej Turni. A potem poszukaj balsamu na swoje serce, ponieważ zanim noc się skończy, czyjeś spojrzenie przeszyje je na wskroś jak ostrze miecza. Kozy zaczęły meczeć i napierać na Shainę, ich złote oczy lśniły szerokim kręgiem. Shaina przytrzymała się szorstkich grzbietów, żeby nie upaść, a kiedy spojrzała ponownie, na ścieżce nie było już ani głazu, ani starej kobiety. Ś Widzicie, jak to głupio zatrzymywać się po drodze Ś powiedziała Shaina. Kozy zaśmiały się smętnie. One też rozumiały, że Shaina rozmawiała z prawdziwą mieszkanką gór. Kiedy klasnęła w ręce, stado pomknęło wełnistą falą ku wsi, a ona pobiegła za nim ile sił w nogach.

2.

Ś Spóźniłaś się, niewolnico Ś oznajmiła żona Starego Asha podnosząc wzrok znad parującego kotła z kluskami. Ś Błagam o wybaczenie Ś odparła Shaina. Kozy były w zagrodzie, ale Młody Ash zdażył już ją zwymyślać za przyprowadzenie stada o tak późnej porze. Miał pilne sprawy na wzgórzu, oświadczył, a niewolnica, która nic nie umie, jest nic nie warta, a potem dał jej szturcharica jako nauczkę na przyszłość. Pies na podwórzu uniósł łeb znad koci i zaszczekał głośno, jakby mówił: idzie Shaina, przygotujcie kij! Pies również był na swój sposób niewolnikiem i lubił patrzeć, kiedy ludzką istotę traktuje się równie brutalnie jak jego. Ale Stary Ash nie wrócił jeszcze z pola, więc jego żona wytargała Shainę za uszy, żeby nie marnować okazji. Rzeczywiście było dość późno. Dawno minęła już owa czarodziejska pora, kiedy zapalają się pierwsze światła. Chleb i łyżki leżały na stole, a dla domowych demonów postawiono miseczki w wyznaczonych miejscach. Każdy demon dostawał trochę jedzenia i biada temu gospodarzowi, który

by o tym zapomniał. Także bogacze musieli karmić swoje demony. Stary Ash opowiadał, że nawet w pałacu w Arkev stały małe srebrne talerzyki przeznaczone do tego celu. Żaden dom nie mógł się obyć bez demonów. Był demon, który troszczył się o drewno ścian, inny mieszkał pod dachem i odpędzał deszcz, jeszcze inny leżał pod progiem i ostrzegał domowników o nadchodzącym nieszczęściu krzykiem i jękami. Pewnej zimowej nocy Młody Ash poślizgnął się na śniegu wracając z karczmy i skręcił sobie kolano, doczołgał się więc do drzwi i leżał tam krzycząc i jęcząc z bólu. Stary Ash i jego żona myśleli, że to demon spod progu przed czymś ich ostrzega; byli zbyt przerażeni, żeby zejść na dół, wobec czego ich syn omal nie zamarł na śmierć, zanim sąsiedzi przyszedli mu na ratunek. A przecież demony istniały. Przestrzegały zasady, żeby nigdy nie pokazywać się ludziom na oczy, i zjadały swoje porcje, kiedy wszyscy spali. Czasem tylko w owej dziwnej, ponurej godzinie przedświt Shaina, zwinięta w kłębek na wystrzępionym, spartańskim sienniku obok wygasłego paleniska, otwierając oczy dostrzegała nikły cień, który zwinnie jak wąż odpełzał od pustej miseczki i chował się w ścianie. Stary Ash wkrótce nadszedł. Popatrzył na Shainę z nieukrywaną przyjemnością, jako że niewielu wieśniaków mogło sobie pozwolić na niewolnika lub niewolnicę. Stary Ash troszczył się o swoją własność i dzięki temu Shaina dostawała dość jedzenia oraz miejsce do spania, a także pozwalano jej korzystać z rodzinnej balii, kiedy pozostali domownicy już się wykapali. Stary Ash trzymał również z dala od niej swojego syna, co nie było łatwym zadaniem zważywszy, że młodzieniec najbardziej lubił przechwalać się, ile dziewcząt uwiódł od ostatniego święta księżycy. Na szczęście Młody Ash bał się wielkiego, silnego jak niedźwiedź ojca, a jeszcze bardziej obawiał się ostrego języka matki. Nie wolno było uszkodzić własności czy też, niech Matka Ziemia broni, zrobić jej dziecka, kiedy czekało tyle pracy dookoła. Żona Starego Asha postawiła przed mężem miskę z gulaszem i naląła mu piwa. Ś Niewolnica... Ś zaczęła, ale Stary Ash nie pozwolił jej dokończyć. Ś Wilk tropił owce Ś oznajmił. Ś Wilk!tŚ wykrzyknęła jego żona. Ś Trochę późno na wilki Ś stwierdził Młody Ash, pośpiesznie połykając kolację, żeby jak najszybciej wyruszyć na wzgórze. Ś Są wilki i wilki Ś burknął kwaśno Stary Ash. Ś A Mikli powiedział mi, że Ktoś znowu się pokazał w okolicy, ta Szara Pani z Zimnej Turni. Ś To już dwa lata, odkąd tu była Ś zauważyła żona Starego Asha. Ś Kobiety przychodziły do niej po czary i zaklęcia, ale kazała 10 sobie za drogo płacić. Ostatniej zimy ludzie podobno widzieli, jak odlatywała w swoim fotelu Ś taki fotelik z brzoźowego drewna, pamiętacie? Ś ale może teraz wróciła. Jest stara jak te skały i równie twarda. Ś Lepiej niech nie wraca Ś mruknął Młody Ash złowróżbnym tonem, kończąc posiłek. Ś Dziewczeta by ją ukamienowały. Na wzgórzu mieszka dziewczka, która ma dwugłowe dziecko, bo próbowała spędzić płód za pomocą czarów Barbayat. Ś Szszsz! Ś zasyczała żona. Ś Wymawianie imion daje im moc! Lepiej byś o tym pamiętał! Ś Co tam imię, gorzej, jak kogo kręci w brzuchu Ś odparł mężnie jej syn i wyszedł w pośpiechu. Shaina upuściła półmisek z chlebem, który właśnie wyjmowała z pieca. Nie chciała tego, ale na wzmiankę o czarownicy z Zimnej Turni drgnęła niespodziewanie i palce odmówiły jej posłuszeństwa. Żona doskoczyła do niej jak rozwścieczona kwoka, sięgając po kij. W tej samej chwili na zewnątrz rozległ się jakiś hałas, tak dziwny, tak nieoczekiwany, że wszyscy troje zamarli w bezruchu. Nawet Młody Ash zatrzymał się na podwórzu. Słyszeli stukot kopyt końskich i brzęk dzwoneczków przyczepionych do siodła i uprzęży: dźwięki kojarzące się nieodmiennie z bogactwem. Ś Poborca podatków! Ś krzyknęła żona w panice. Ś Kapłan z Kost Ś mruknął mąż. Śmierć, pomyślała Shaina i sama nie wiedziała, dlaczego tak pomyślała, chociaż serce, dziewczęce serce, o którym wspomniała Szara Pani z Zimnej Turni, załomotało jej w piersi. Stary Ash i jego żona wybiegli w ciemność. Nawet pies zaczął się szarpać na łańcuchu. Na szeroką wiejską drogę wychodzili zaciekawieni ludzie, ściskając w dłoniach latarnie i kawałki chleba z kolacji. Shaina podeszła tylko do drzwi, ale i tak wszystko widziała. Czarne konie, nie umiała

ich policzyć w niepewnym, migotliwym świetle latarni, siedem, dziewięć, trzystaście... I jeźdźcy Ś ilu? Odziani byli w płaszcze przypominające wielkie, czarne, zwinięte skrzydła. Światło latarń wydobywało z mroku szkarłatne czapraki na siodłach, wodze jak sznury gwiazd, z których zwisały pojedyncze gwiazdy Ś dzwoneczki, lśnienia żółtego i białego metalu, klejnoty jak krople krwi i klejnoty jak zielone oczy kotów. A potem ktoś wysunął się do przodu, pierwszy jeździec na pierwszym koniu, i bez pośpiechu wjechał w smugę światła padającą z okien. Nie był to kapłan ani poborca podatków. Niektórzy pomyśleli 11 sobie, że to musi być sam książę Korkeemu, ale oni też się mylili. Jakiż książę podróżowałby po górskich drogach z takim splendorem i tak nielicznym Ś siedmiu, dziewięciu, trzynastu ludzi Ś orszakiem. Ś Witam wśród was Ś obcy wypowiedział te dziwaczne słowa spoglądając na wieśniaków z wysokości swojego czarnego konia. Odziany był w purpurę o odcieniu tak ciemnym, że wydawała się niemal czarna, a na tym tle wyhaftowano dwadzieścia złotych słońc o promieniach z rubinów. Szyję otaczał mu złoty łańcuch, na głowie nosił wysoki kapelusz barwy szafranu, obramowany srebrem. Twarz miał tak bladą, jakby pokrywała ją gruba warstwa białej emalii. Oczy obwiedzione były złotem, usta umalowane ciemną czerwienią. Spod warg błyskały zęby ostre i spiczaste jak wilcze kły, spod umalowanych powiek spoglądały oczy płonące martwym, nieruchomym blaskiem jak rozżarzone węgle. Jedną długą, wąską ręką trzymał rozdzwonione wodze, w drugiej dzierżył kuglarską laskę z białego drewna z czarnym kamieniem na czubku. Paznokcie miał długie jak ogony szczurów, spiczaste i polakierowane na czarno. Cały błyszczał i migotał w świetle bijącym z okien. Z wolna obrócił swoją wymalowaną twarz z zachodu na wschód. Ś Nie znacie mnie, dobrzy ludzie z doliny? Jeszcze mnie poznacie. Nikt się nie odezwał. Zdawało się, że na wszystkich padł cień strachu, jeśli strach może rzucać cień. Wieśniacy wstrzymali oddech, mróz przeszedł im po kościach. Obcy na czarnym koniu uśmiechnął się. Ś Czyż nie dotarły do was wieści o Kerniku, Wielkim Kuglarzu? Kernik, Mistrz Magii, Książę Aktorów i Akrobatów, Najwyższy Kapłan Rozrywki. Kernik, Król Śmiechu, Twórca Iluzji i Złodziej Ról. Kernik strzelił palcami. Zazgrzytały paznokcie. Uderzył laską w ziemię i z tego miejsca trysnęła fontanna iskier. Spomiędzy iskier wyleciał ptak i wzbił się prosto w gwiaździste niebo. Przez tłum przeszedł lekki pomruk, jak szept wiosennego wiatru. Gdzieś niedaleko rozszczękały się psy i po chwili ucichły. Ś Oto moi aktorzy Ś oznajmił Kernik, Wielki Kuglarz, Kernik, Twórca Magii, wskazując za siebie szponiastą dłonią. Ś Artyści z mojej trupy. Chodźcie, dzieci. Zsiądźcie z koni. Ci dobrzy ludzie nakarmią nas w zamian za cuda, które im pokażemy. Wśród koni zapanowało nagłe poruszenie, jakby stado kruków jednocześnie rozwinęło i złożyło skrzydła. A potem gdzieś pomiędzy nimi zapaliło się światło, światło pozbawione ciepła i barwy, a jednak 12 jaśniejsze od wszystkich światła w wiosce, przyćmiewające blask bijący z okien. Latarnie zgasły jak zdmuchnięte. Taka jasność szła od klejnotów i metalowych ozdób, że zdawała się jakby łuną pożaru, a Kernik, Mistrz Magii, był jej płomiennym zarzewiem. Kernik wykrzyknął głośno słowo lub imię, którego nie znał nikt. Konie cofnęły się, wspięły na tylne nogi i zamarły w tej pozycji nieruchomo jak rzeźby. Jeźdźcy oddzielili się od koni i kilku z nich wystąpiło naprzód. Nagle cała droga rozbrzmiała dźwiękiem bębnów, tamburynów i piszczałek, a pośrodku tańczył ociężałe niedźwiedź bez łańcucha. Niedźwiedź futro miał żółte, oczy zaś niebieskie. Wieśniacy przestali się niepokoić. Muzyka i taniec rozgrzały ich i ożywiły, strach pierzchnął. Stłoczyli się na poboczach szerokiej drogi, śmiejąc się, klaszcząc i wykrzykując w zadziwieniu. Nie co dzień, powtarzali sobie, można było zobaczyć takie widowisko. Teraz z niedźwiedziem tańczyła dziewczyna w diademie z szafirów na jasnych włosach. Niedźwiedź traktował ją z pełną kurtuazją: jedną łapą obejmował lekko w talii, drugą trzymał za rękę i kłaniał się, gdy wymagała tego figura tańca. Dziewczyna była taka piękna, że chłopcy z wioski, zamiast jak zwykle trącać się łokciami i gwizdać, tylko wybałuszali na nią oczy z wypiekami na twarzach. Ś Oto piękno i niewinność. Ona jest księżniczką i jej krew jest jaśniejsza od pereł. Nawet niedźwiedź nie ośmieli

się jej skrzywdzić Ś recytował głos Kernika w rytm uderzeń bębna. Ś Jeśli chcecie, pokażę wam, co się jej przytrafiło. To, co się potem stało, było trudne do wytłumaczenia, chociaż wtedy wydawało się całkiem naturalne. Miejsce, gdzie stał Kernik ze swymi aktorami, przestało być polną drogą, pełną kamieni i kozich bobków, i zamieniło się w marmurowy krajobraz z wyniosłymi drzewami o gałęziach obwieszonych złocistymi jabłkami. Pomiędzy gałęziami fruwały ptaki o ogonach z zielonych i niebieskich płomieni. Pod drzewami przechadzała się jasnowłosa dziewczyna, zbierając opadłe jabłka do fartuszka wyszywanego klejnotami, a za nią szedł niedźwiedź wygrywając na piszczałce piękną melodię. Ś Obraz spokoju Ś zanucił głos Kernika Ś ale nie na długo. W tamtych stronach mieszkał smok. Wysoko w górze zahuczał grom. Zdawał się wypełniać i rozsadać całe niebo. Kobiety zaczęły krzyżeć. Ś Boicie się zobaczyć smoka? Ś ryknął Kernik. Ś Powiedzcie tylko słowo, a każe mu zawrócić. 13 Ś Nie! Ś zakrzyczał tłum w rozkosznym przestraszu. Ś Pokaż nam smoka! Wtedy Kernik ponownie wypowiedział tajemne słowo i smok się pojawił. Niebo stało się czerwone, potem całkiem białe. Z tej bieli wyskoczyła naraz błyskawica Ś ogromna bestia w diamentowej kolczudze. Fajerwerki tryskały jej z paszczy, a długi jęzor wił się jak wąż. Tłum cofnął się w popłochu. Niedźwiedź uciekł, ptaki się pochowały. Smok machnął ogonem jak wielki kot i zionął płomieniem na dach najbliższego domu; dach jednak się nie zapalił, straszliwy oddech smoka nie poparzył nikogo. Smok patrzył tylko na księżniczkę. Pochwycił ją w szpony, jak strzała wzbił się w niebo, złożył swoją ofiarę na najwyższym szczycie marmurowej góry i wpatrzył się w nią płomiennym wzrokiem, bijąc skórzastymi skrzydłami. Ś No, kto ocali piękną z łap potwora? Ś zapytał głos Kernika. Ś Są chętni? Jak gdyby w odpowiedzi na marmurowej równinie pojawił się błazen, bardzo gruby, z drewnianym mieczem u boku, jadący na niebieskiej kozie o dwóch głowach. Ś Nie martwcie się! Ś zawołał chełpliwie. Ś Zaraz uratuję księżniczkę! Niebieska koza zatrzymała się i błazen spadł. Koza ubodła go i błazen się przewrócił. Kiedy spróbował ponownie jej dosiąść, koza nagle uskokzyła i błazen po raz drugi znalazł się na ziemi. Jedna z głów kozy zaczęła gwizdać, a druga śpiewać tę samą melodię, podczas gdy właścicielka obu głów stała na trzech nogach oddając moc. Kiedy zobaczyła smoka, natychmiast otrzeźwiała. Śpiewająca głowa dostrzegła go pierwsza i umilkła. Gwizdająca głowa rozglądała się przez chwilę w zaskoczeniu, dopóki również nie dojrzała smoka. Wówczas koza przerwała również swoją trzecią czynność i rzuciła się do ucieczki, zanikając patrzącym z oczu. Ś Ej, smoku! Ś wydzierał się głupio błazen. Ś Gdzie jesteś? Wyjdź i walcz! Posiekam cię na strzępy, a z twojej skóry zrobię dywanik. Potem on także zobaczył smoka. Smok rozpostarł skrzydła. Błazen chciał umknąć w bezpieczne miejsce, ale trzykrotnie potykał się o własny miecz i przewracał, zanim mu się udało. Ludzie śmiali się, gwizdali i obrzucali go wyzwiskami, a smok machał ogonem. Ś To nie ma sensu Ś stwierdził głos Kernika. Ś Tam na górze księżniczka czeka na ratunek, a smok czeka na swego pogromcę. Na pewno znajdzie się w końcu rycerz godny tego zadania. 14 Tłum posłusznie zaczął krzyżeć: „Rycerz! Rycerz!” i po chwili na scenie pojawiła się jakaś postać. Zrzuciła z ramion czarny płaszcz, a tłum wydał okrzyk radości, ponieważ niewątpliwie był to oczekiwany rycerz. Miał złotą zbroję, złoty hełm ze srebrnym pióropuszem i zielono-złoty miecz w ręku. Jego oczy i włosy były bardzo ciemne, twarz piękna i szlachetna, o orlich rysach. Dziewczęta z wioski umilkły i wstrzymały oddech. Smok rozpostarł skrzydła, a rycerz spojrział na niego bez cienia strachu. Ś Zejdź na dół, smoku Ś zaproponował mu uprzejmie, dźwięcznym melodyjnym głosem. Ś Mam tu coś dla ciebie. Ostrze mego miecza. Smok zaryczał z wściekłością, robiąc taki hałas, jakby wszystkie zardzewiałe zawiasy w całym Korkeemie zaskrzypiały jednocześnie, i runął w dół jak burza. Rozpoczęła się prawdziwa walka. Młodzi wieśniacy również walczyli ze smokiem potraszając pięściami, wyrzaskując słowa zachęty, podskakując i przytupując w miejscu. Dziewczęta, przeżywając walkę całym sercem, chowały twarze w dłoniach i zerkały spomiędzy palców na widowisko. Najpierw smok powalił rycerza, potem rycerz powalił smoka. Wówczas smok zionął ogniem i

płaszcz rycerza zaczął się palić, więc młodzieniec musiał turlać się po ziemi, żeby ugasić płomień, a smok szarpał go wielkimi, zakrzywionymi pazurami. Wreszcie w narastającym grzmocie bębnow rycerz oparł się o pień drzewa, jakby omdlał od palącego dechu smoka; smok skoczył, a wtedy miecz rycerza błysnął wysoko w górze i rozplątał pierś potwora. Z rany wytrysnęła czarna posoka, smok upadł, ryknął, zatrzepotał skrzydłami i znieruchomiał, tylko z nozdrzy wypłynął mu ostatni obłoczek dymu. Publiczność tupiała i klaskała. Z marmurowej góry zjeżdżał już wysadzany klejnotami rydwan wioząc piękną księżniczkę. Uśmiechnięta dziewczyna zstąpiła na ziemię, złoty rycerz ucałował jej dłoń, a z nieba spadł deszcz kwiatów i słodyczy. Potem rozległ się na wpół znajomy dźwięk, przypominający zgrzyt paznokci, kiedy sztukmistrz strzelił palcami Ś i znowu była tylko szeroka droga oświetlona migotliwym blaskiem latarń, falująca góra namiotu, z którego wysypywali się akrobaci, drewniany smok ze szklanymi oczami, składający się z trzech części, i oszołomieni ludzie. 15 Kernik wystąpił do przodu, wsunawszy dłonie w szerokie rękawy szaty. Rozciągnął w uśmiechu umalowane usta, skinął głową Ś i oto wszyscy aktorzy stali za nim w szeregu, chociaż wciąż jakoś trudno było ich policzyć, wciąż nikt nie wiedział, ilu ich tam było. Albo ilu ich nie było. Tłum akrobatów, którzy byli smokiem, głowami i nogami kozy. Tylko troje wydawało się rzeczywistymi: gruby błazen, dziwnie podobny do złotego niedźwiedzia, piękny rycerz i prześliczna dama, trzymający się za ręce. A kiedy wszyscy razem nisko się uklonili, niewyraźne postacie ukloniły się również niewyraźnie, ale błazen zrobił to z przesadą, księżniczka z wdziękiem, a rycerz z przelotnym, czarującym uśmiechem. Ś No i jak, ludzie, zarobiliśmy na kolację? Ś zapytał Kernik. Ś Później będą wróżby, a poza tym pokaz jeszcze się nie skończył. Wieśniacy wrzaskiem wyrazili zgodę. Tacy artyści zasługiwali na najlepsze białe wino. Mikli i jego synowie pobiegli otworzyć wrota stodoły, kobiety na wyścigi zносиły drwa na opał, kociołki, jedzenie, nawet zabijały kurczaki, jakby nie pamiętając, że następnego dnia nie będą miały co włożyć do garnka. Żona Starego Asha nadchodziła spiesznym krokiem. Shaina cofnęła się od drzwi. Ś Niewolnico! Niewolnico! Ś krzyknęła kobieta. Pies przestał wylapywać pchły i zaszczekał zapalczywie. Rzucono na nas jakiś czar, pomyślała Shaina i lodowaty płomień przeszedł jej po kościach. Stodoła lYlikiego nie była tak gościnnie otwarta od trzech lat, kiedy odbywało się tam wesele jego najstarszego syna. Teraz część sprzętów ze środka wyrzucono na drogę, a na pozostałych siedzieli goście. Przyniesiono piwo w skórzanych bukłakach i miski z jedzeniem, a na kamiennej podłodze rozpalono wielkie ognisko. Nikt się nie zastanawiał. Nikt nie protestował. Z szaf i spiżarni wyciągano zapasy, które spoczywały tam od zimy, i nie żałowano niczego. Kernik, Wielki Kuglarz, w purpurze i złocie siedział na beli siana jak na tronie i uśmiechał się niczym wyrozumiały ojciec do ludzi, którzy zносили mu dary. Po lewej miał dziewczynę w szafirach, po prawej czarnowłosego aktora, który grał rycerza; pozostali członkowie trupy mieszały się z tłumem. Co jakiś czas któryś z akrobatów robił młynki, przeskakiwał przez obręcz lub tańczył wokół ogniska. Co jakiś czas niedźwiedź-błazen 16 podnosił się, przyłączał do nich i żonglował srebrnymi jajkami, które wyciągał z uszu, lub wydobywał węże z otchłannej paszczy. Aktorka-księżniczka wróżyła wszystkim. Wyciągała swe białe ręce i ujmowała w nie trwożne dłonie dziewcząt i mężatek, gorące dłonie młodych mężczyzn, którzy chcieli tylko jej dotknąć, zimne dłonie starców. Mówiła im o zdarzeniach z przeszłości, które były prawdą, i o zdarzeniach z przyszłości, w które wierzyli. Nikt się nie ośmielił uścisnąć lub ucałować jej chłodnych palców, nikt nie wpatrywał się zbyt długo w jej piękne oczy, które przypominały sadzawki wypełnione ciemnością. Niektóre z dziewcząt śmieje się sobie poczynają z młodym aktorem. Pozwalały mu się obejmować, przysuwały usta do jego twarzy, dotykały jego falujących włosów i ocierały się o niego jak łaszące się kotki. On śmiał się z nimi i żartował, prawił im komplementy i oddawał co ładniejszym pocałunki, ale wszystkie te uprzejme gesty nie miały w sobie prawdziwego ciepła, były tylko pozorem, jak cienie rzucane na ścianę. W końcu dziewczęta poczuły się

nieswojo i wycofały się ukradkiem. Z początku Shainę wypchnięto na środek stodoły, żeby podsycala ogień, pilnowała garnków i obsługiwała mężczyznę wołającym o piwo. Po jakimś czasie, kiedy już łatwiej było się wymknąć, zaczęła krok po kroku przesuwać się do wyjścia, gotowa do ucieczki w każdej chwili. Chciała biec do domu Starego Asha i schować się pod swoim wystrzępionym kocem. Od pierwszej chwili wyczuwała unoszący się w powietrzu zapach zepsucia równie nieomylnie, jak lis wyczuwa psy. A jednak nie potrafiła się zmusić, żeby odejść we właściwej chwili, wymknąć się ze stodoły i pobiec do domu, gdzie było bezpiecznie. Potem poczuła senność i przycupnęła w cieniu u wrót. Czy całe to złoto naprawdę było złotem? Czy prawdziwa była złocista zbroja i złoty miecz, i złoto połyskujące gdzieniegdzie w czarnych kędziorach młodego aktora? Dwukrotnie przeszła obok niego niosąc piwo dla Starego Asha i głupiego Miklego. Oczy młodego aktora skupiały w sobie światło latarni i jaśniały jak niebieskozielone gwiazdy, kiedy podnosił wzrok, ale zdawało się, że jej nie widzi. Wtedy przeszło ją ostrze bólu, ostrze ze stali, nie ze złota. Niemądra Shaino, niewolnico w chłopskiej zagrodzie, nie powinnaś nawet o nim myśleć, on jest wolnym człowiekiem i żaden nie może się z nim równać... Ale smok wydawał się żywy i budził lęk, jakże to mogło być? Kernik Ś Mistrz Magii, Złodziej Ról Ś i główny aktor siedzący po jego prawicy niczym młody ciemnowłosy bóg, do którego dziewczęta modlą się na wiosnę... 2 Czarnoksiężnik... 17

W nocy psy znowu wyły. Może naprawdę pojawiły się wilki, jak twierdził Stary Ash, jakieś spóźnione wilki albo po prostu diabły w wilczej skórze. . Shaina zasnęła i nawiedził ją sen. Sen miał twarz młodego aktora i jego głos, ale aktor nie odezwał się do niej, a jego oczy nie odpowiedziały na jej spojrzenie. Blade, zimne światło zakradało się pod powieki. Zapach wygasłego ogniska i zepsutego jedzenia był znajomy, ale towarzyszył mu obcy zapach siana i krów zmieszany z odorem skwaśniałego piwa. Shaina obudziła się i stwierdziła, że leży na podłodze obok wrót stodoły. Wszędzie wokół niej chrapali i mamotali ludzie pogrążeni w ciężkim śnie. Coś się stało ze światem. Shaina przesunęła się nieznacznie, tylko tyle, żeby wyrzeć na zewnątrz. Trwała szara, melancholijna pora przedświt. Smutne głosy ptaków odzywały się pośród wątlących drzew na zboczach góry i wśród wierzb nad strumieniem. Domy w wiosce stały ciche, przygarbione i posępne. Siedem, dziewięć albo trzynaście czarnych koni czekało jak na pogrzenie, a na ich grzbietach siedziało siedmiu, dziewięciu albo trzynastu jeźdźców w czarnych płaszczach. Shaina, niejasno uświadamiając sobie, że jest świadkiem czegoś, czego nie miała widzieć, rozszerzonymi ze strachu oczami daremnie wpatrywała się w zbieraninę zonglerów i akrobatów otaczających błazna-niedźwiedzia, daremnie usiłowała odnaleźć jasnowłosą dziewczynę i przystojnego aktora. Wszyscy jeźdźcy wyglądali równie anonimowo, znikła gdzieś cała ich kolorowa ostentacja i chełpliwa buńczuczność. Może klejnoty rzeczywiście były tylko szkiełkami, a Wielki Kuglarz Ś zwykłym oszustem jadącym na jarmark do Kost. Potem pierwszy promień słońca wystrzelił zza gór, na niebie rozlała się jasność i kiedy nie dająca się przeliczyć trupa ruszyła drogą, Shaina zauważyła, że obraz jest niekompletny, czegoś tu brakuje. Wyglądali zupełnie jak cienie, mężczyźni, niedźwiedź i dziewczyna, a jednak żadne z nich nie rzucało cienia. Serce skoczyło jej w piersi. Wiedziała, że powinna zrobić magiczny znak i splunąć, żeby odpędzić od siebie złe moce śmierci, ale mogła myśleć tylko o jednym: On też jest demonem. On też. A potem przypomniała sobie, jak patrzył na nią i nie widział jej, patrzył na nią ślepyimi oczami koloru dymu i morskiej wody. I przy-18 pomniała sobie, jak przeszło ją ostrze bólu, i to była prawda, ostry miecz przeszył jej serce zgodnie z okrutną obietnicą Barbayat, Szarej Pani.

3.

Shaina podeszła do studni. Zajrzała do wnętrza. Ale studnia okazała się równie marnym zwierciadłem jak wszystkie pozostałe. Nie rozumiała, co się stało, nie rozumiała samej siebie. Cała niepojęta tęsknota, która drażyła ją od dawna, cały



ten niepojęty ból otrzymał wreszcie imię, ale nie przyniosło jej to żadnej ulgi. Miłość jak żarłoczna bestia wpiła kły w jej serce. Shaina nie знаła dotąd miłości, była na to zbyt dumna, zbyt niezależna, zbyt zamknięta w sobie. Mężczyźni z wioski przychodzili i odchodzili, niektórzy całkiem do rzeczy, niektórzy silni i przystojni, niektórzy nawet przyglądali się jej z zainteresowaniem, chociaż była tylko niewolnicą Starego Asha. Ale wtedy odżywał w niej duch jej przodków, pamięć rasy, głos krwi szepczący o zapomnianej ojczyźnie. Głosy te kazały jej widzieć brutalność w miejsce siły, kazały jej dostrzegać obcość w każdym gościu i pozostawała niewzruszona. Obojętność była jej osłoną, a jednak, jak to się często zdarza w takich wypadkach, wystarczyło tylko jedno spojrzenie, jeden sen, żeby wyłamać zamknięte drzwi. Teraz, energicznie zamiatając podwórze, usprawiedliwiała się w myślach, tłumaczyła sobie, że to nie była jej wina, że czarownica z Zimnej Turni rzuciła na nią klątwę. Ten poranek rzeczywiście był tak dziwny, jakby nad wszystkim zaciążyła klątwa. Shaina, zajęta własnymi troskami, nie od razu zorientowała się, że w wiosce dzieje się coś złego. Wypełniała codzienne obowiązki usiłując ciężką pracą zagłuszyć niepokój, jak ktoś, kto naumyślnie zadaje sobie ból, żeby zapomnieć o bolącym zębie. Trzeba było pozamiatać i przynieść wody, rozpalić pierwszy ogień wymawiając nad nim odpowiednie słowa i chociaż zazwyczaj czynność tę nadzorowała żona Starego Asha i nakarmić kury, pewnie też wydoić krowy, jeśli Młody Ash czuł się nie najlepiej. W stodole Miklego raz czy dwa odbywała się już przedtem podobna uroczystość, ale zawsze następnego ranka wszyscy pracowali równie ciężko, jak co dzień: mężczyźni mimo bólu głowy wyruszali na pola, kobiety zrzedząc 2\*19 zabierały się do porządków. Ale dzisiaj wszyscy zaspali i choć słońce weszło już wysoko, w całej wiosce nie słyhać było nikogo oprócz Shainy i warczących psów. A kiedy wreszcie wieś się obudziła, zewsząd rozległy się głośne, jednomyślne narzekania. Po wyboistej drodze nadciągali grupkami mężczyźni i kobiety lamentując wniebogłosy. Psy zaczęły szczeleć, nie dojrane krowy muczały unisono jak rozstrojona orkiestra, ptaki w popłochu wzbijały się w niebo uciekając od hałasu. Mikli wymachiwał pięściami, a jego synowie wygrażali wszystkim razem i każdemu z osobna. Czyjś brat z Kost krzyczał, że wkrótce ktoś wyładuje; w więzieniu, jakaś kobieta piszczała, że została zniewolona, jakiś staruszek drżącym głosem opowiadał, że „oni” ukradli mu wszystkie kury, na co kilka oburzonych głosów zawołało, że kury to jeszcze nic, ale ci, co ukradli ich bukłaki z piwem, będą się mieli z pyszna. Trzeba się jednak było zająć gospodarstwem. Instynktowne, niepisane prawa ziemi tkwiły mocno w duszach wieśniaków, toteż wkrótce rozwścieczony, przeklinający tłum rozpadł się na pojedyncze strumyczki, spieszące do obór lub po rolnicze narzędzia. Stary Ash wpadł do domu miotając pogroźki, chwycił pajdę chleba i pobiegł wyciągnąć pług. Potem zjawiła się jego żona i zmierzyła Shainę ostrym spojrzeniem. i Wcześniej wstałaś, niewolnico. Słyszałaś, jak w nocy ktoś kradł kurczaki i piwo? i Bardzo przepraszam, ale nie słyszałam i odparła grzecznie Shaina. i Nie ma z ciebie żadnego pożytku i warknęła ze złością żona i jak zwykle wytargała Shainę za ucho. i Rusz się, obrządź kozy, a potem zabierz je na pastwisko. Młody Ash znowu śpiewa swoją starą śpiewkę. Co ja takiego zrobiłam, czym obraziłam bogów, że mi dali pijaka za syna i durną niewolnicę? Ruszaj, powiedziałam. Nie dostaniesz śniadania, i tak jesteś za tłusta. Niewolnik powinien być tak chudy, żeby można mu było policzyć zębra, a twoich zeber na pewno nie można policzyć. Shaina zrobiła, co jej kazano. Już dawno temu, kiedy miała zaledwie siedem lat, nauczyła się, że najlepiej było tak postępować. Mimo to czuła się niepewnie, a kiedy przechodziła przez wioskę, jej zmieszanie wzrastało. Wydawało się, że nikt nie pamięta wydarzeń ubiegłej nocy i ani odzianego w purpurę Kernika, Mistrza Magii, ani olśniewających 20 aktorów, ani dzikiej, rozpasanej biesiady, która nastąpiła później. O nie, nic takiego się nie wydarzyło. Do wioski wtargnęli złodzieje, zabrali kury, chleb i piwo, a potem zamknęli wieśniaków w stodole razem z garnkami, kośćmi z kurczaków i całą resztą i w każdym razie do takich wniosków dochodzili oszołomieni, rozwścieczeni ludzie odtwarzając minioną noc.

Tylko Shaina pamiętała, ale przezornie siedziała cicho. Zauważyła, że chociaż wieśniacy w swoim wojowniczym nastroju wydawali się nie rozumieć, że w nocy sami upili się do nieprzytomności, ich ciała pamiętały o tym doskonale. Wydoiła kozy, jak najszybciej wyprowadziła je z zagrody i pognała ścieżką prowadzącą w góry. Zamieszanie w wiosce wzburzyło ją do głębi, w głowie kłębiły się pytania i wątpliwości. Potem owiało ją czyste, rześkie górskie powietrze; obejrzała się i zobaczyła w dole nagle pomniejszoną wioskę, i przestała o tym myśleć. Żona Starego Asha w roztargnieniu zapomniała wręczyć jej koszyk z praniem. Shaina nagle się przestraszyła. Jeśli będzie siedziała beczynn timer, zakłęcie czarownicy Ś bo cóż to mogło być innego? Ś znowu ją dosięgnie; będzie widzieć jego oczy w błękicie nieba i w zieleni trawy, słyszeć jego głos, jego śmiech, przeżywać na nowo jego obojętność. Ś Ach, wy kozy Ś westchnęła Shaina Ś nawet nie wiecie, jak to łatwo być kozą! Ś Co robi koza, kiedy się zakocha? Cóż, sprawa jest prosta. Zwyczajna, gruboskórna koza nie ma pojęcia, co to znaczy, kiedy miecz przeszywa jej kozie serce. Potem zaczęła myśleć o kuglarzu i okazało się, że pamięta go słabo i niewyraźnie, jak gdyby w jej umyśle wyrosła ściana mgły, oddzielająca przeszłość od terażniejszości. Na równi z innymi uległa wpływom jego czarów Ś dlaczego jednak tylko ona zachowała pamięć? Dopiero teraz w pełni zrozumiała, jak silna jest magia Kernika, Mistrza Iluzji. Silna i przerażająca, zdolna wymieść z pamięci wspomnienia o nocy pełnej cudów równie łatwo, jak miotła zmiata z zaśnieżonej ścieżki ślady ptasich łapek. Kernik istotnie był kimś wzbudzającym strach i szacunek, dlatego najmądrzej i najbezpieczniej byłoby zapomnieć całkowicie o jego wspaniałym wjeździe do wioski i potajemnym odejściu, którego nie powinna była widzieć. Ale oczywiście Shaina nie mogła zapomnieć i dobrze widziała dlaczego. Ten młody aktor jadący obok maga. Być może młody aktor musiał służyć Kernikowi, może nawet należał do niego, był niewolnikiem tak samo, jak Shaina była niewolnicą. Shaina zaczęła się spierać z Shaina. 21 Ś Ty głupia dziewczyno, on nie rzuca cienia.

Ś Zgoda, i co z tego? Czy to jego wina? Jeśli jest niewolnikiem maga, nie może wybierać, czy chce mieć cień, czy też nie. Czy ja mogę wybierać, kiedy Stary Ash każe mi przynieść drewna? Ś Drewno i cień to nie to samo. A jednak Shaina wspominała ten jego brak z jakąś bezbrzeżną, niemal bolesną czułością; pragnęła odnaleźć jego cień i zwrócić mu go Ś w podarunku; pragnęła... I oto już pastwisko. Prawie nie zauważyła, jak tutaj doszła. Brązowozłote kozy rozbiegły się z przeraźliwym beczaniem. A dookoła wznosiły się góry, ostro rzeźbione w słońcu Ś Wielki Elf, Czarny Wierch... i Zimna Turnia. Zimna Turnia była całkiem blisko, Shaina na pewno mogłaby tam dotrzeć przed południem... Ś Nie, Szara Wiedźmo Ś powiedziała Shaina głośno Ś nie pójdę do ciebie. Lecz gdy spojrzała w dół, tam gdzie mały strumyczek płynął przez torfowisko wśród trawy wygryzionej przez kozy, ujrzała w wodzie jego twarz tak wyraźnie, jak nigdy nie widziała własnej twarzy. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała bezchmurne niebo, puste jak samotność. A kiedy wołała do kóz: „Uważajcie, tam jest stromo!” Ś albo: „Jedźcie na zdrowie!” Ś własne słowa powracały do niej echem i wydawało jej się, że słyszy: Miłość, miłość, miłość mnie trawi jak ogień. Na koniec przypomniała sobie, że nie pozdrowiła kamiennego bożka przy drodze, co bez wątpienia było złą wróżbą. A więc jestem zgubiona, stwierdziła filozoficznie. I tak muszę iść na Zimną Turnię. Oczywiście nie powinna odchodzić. Nie należało zostawiać stada. Ale kozy miały zajęcie, były zadowolone i nic im nie groziło. A wilki? Nie, nie, tu na górze nie ma wilków. A złodzieje? A jeśli kozy się pogubią? A jeśli się spóźni i dostanie bicie? Och, to będzie dopiero wieczorem, zostało jeszcze mnóstwo czasu. Cały dzień. Shaina pospiesznie ruszyła na przełaj przez górską łąkę, kierując się na zachód, w stronę niewielkiego, lśniącego ponuro jak kiel stożka góry, gdzie mieszkała czarownica. Chatka Barbayat, Szarej Pani, stała gdzieś na zboczu góry, chociaż nie zawsze w tym samym miejscu, gdyż dobrze było wiadomo, że czasem ci, co jej szukali, nie mogli jej znaleźć, podczas gdy ci, co woleli raczej trzymać się od niej z dala, jakby przez przypadek trafiali do jej drzwi. 22 Zimna Turnia w pełni zasługiwała na swoją nazwę. Czarne sosny

wczepiały korzenie w skaliste zbocza, mgła wisiała w powietrzu dzień i noc, przesłaniając słońce. W jaskiniach mieszkaly elfy i krasnoludki, na gałęziach drzew siedziały wrony, a wspinaczka była trudna i męcząca. Kiedy Shaina dotarła do skalnej półki stanowiącej naturalny most, który łączył górskie pastwisko z sąsiednią górą, zrobiło się o wiele później, niż się spodziewała. A kiedy przedostała się na Zimną Turnię, musiała jeszcze bardziej zwolnić, gdyż ścieżka była rzadko używana i zdradliwa. Zdawało się jej, że już bardzo długo wspina się z mozolem, czepiając się szorstkich gałęzi drzew, obserwowana przez nieruchome wrony. Potem zrobiło się tak ciemno i zimno, że w pierwszej chwili pomyślała, iż zapadła noc. Wreszcie ogarnęła ją złość. Zatrzymała się i zawołała: Ś Jeśli jest tu gdzieś Szara Pani, mam nadzieję, że to niedaleko, bo zaraz zawracam. Natychmiast pięć czy sześć wron zerwało się z drzew i odleciało z krakaniem. Shaina obejrzała się za nimi, a kiedy ponownie odwróciła głowę, zobaczyła wśród sosen polankę, której z jakiegoś powodu przedtem nie zauważyła. A na skraju polanki stał niski kamienny domek, przypominający omszały głaz, z przekrzywionym kominem, z którego unosiła się kręta smużka dymu. Shaina doznała wrażenia, jakby żaba skoczyła jej w piersi. Mimo to podniosła dumnie głowę jak córka księcia w Arkev i pomaszerowała przez polankę prosto do drzwi Barbayat. Drzwi były okrągłe, okrągłe jak koło. Shaina zastukała głośno, a drzwi otworzyły się na boki zamiast do środka. W środku zaś wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno wyglądać w izbie czarownicy. Czarne, drewniane kolumny przypominające ule podpierały niski strop. Każda kolumna wyrzeźbiona była na kształt jakiejś postaci, wysokiej, chudej, ponurej, z kościstymi rękami i ostrym, haczykowato zagiętym nosem. Niektóre z tych postaci miały brody, inne długie wasy, niektóre miały wysokie kapelusze, a niektóre płaskie; część nosiła płaszcze, mimo to jednak widać było wyraźnie, że kilka posiada ogon. W kamiennej izbie nie było okien. Z sufitu zwisał na żelaznym łańcuchu gustowny kandelabr zrobiony z siedmiu ludzkich czaszek, w których tkwiły zapalone świece. Na palenisku płonął niewielki ogień. W jego posępnym czerwonym blasku, słabszym od światła świec, ale za to docierającym do wszystkich kątów, majaczyły na 23 ścianach dziwaczne przedmioty z kości i metalu oraz symbole narysowane białą i żółtą gliną, które zdawały się nieznacznie poruszać, rozdzielać i znowu łączyć. Po wschodniej stronie paleniska siedział rudy lis o oczach z granatów. Po zachodniej stronie stał fotel na biegunach z jasnego brzoźowego drewna, a w nim spoczywało coś przypominającego szary głaz, kołysząc się leniwie. Shaina czuła suchość w ustach, ale zaczerpnęła tchu i oświadczyła: Ś Szara Pani przepowiedziała mi, że czyjeś spojrzenie przeszyje mnie jak miecz, i tak się stało. Szara Pani przepowiedziała mi, że przyjdę do niej błagać o pomoc, i tak się stało, chociaż czy będę błagać, to inna sprawa. Spodziewam się więc, że Szara Pani jest zadowolona i usatysfakcjonowana. Głaz przemówił: Ś Jak ci się podoba mój nowy naszyjnik? zapytał pies na łańcuchu. Ś Przepraszam Ś powiedziała szybko Shaina Ś ale tak nie jest. Ś Nie jest? Ś Na pewno nie. Ś Cóż, w takim razie zabierz swój łańcuch i odejdz, dziew-czyno-niewolnico, bo widzę jasno, jak on cię krępuje. Shaina zawahała się i wypaliła: Ś A więc dobrze, proszę cię o pomoc. Ś Skąd wiesz, że mogę ci pomóc? Ś zapytał głaz przesuając się lekko, aż jedno świdrujące oko zalśniło w blasku ognia. Ś Sama powiedziałaś, że znają cię w wiosce. Jedni mówią, że twoje czary działają, inni, że nie. Ś Zwykły czar nic ci nie pomoże Ś stwierdziła Barbayat. Ś Ty potrzebujesz silniejszego lekarstwa. Ś Tak Ś przyznała Shaina i niespodziewanie łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je siłą, a słowa, które popłynęły jej z ust, były jak te łzy, jasne, bolesne i pełne rozpacz. Ś On przyszedł i odszedł, i teraz dzieli nas góry... ale on nie rzuca cienia... Ś O tym wiem Ś rzuciła niecierpliwie Barbayat. Ś Czy myślisz, że cały ten śmietnik tutaj do niczego nie służy? Mam pewien kryształ. Patrzyłam weń. Widziałam Volkhavaara, który nazywa siebie Kerni-kiem, tego w purpurze, z paznokciami i z tym milutkim smokiem. Och, wypłynęłaś na głębokie wody i możesz utonąć. Wszyscy, którzy podróżują z Volkhavaarem, są jego własnością, twój młody człowiek również do

niego należy, mimo że ma takie piękne, czarne, falujące włosy i oczy barwy morza i dymu Ś ba! Lepiej już 24 włożyć rękę w paszczę wilka albo dać się rozszarpać niedźwiedziowi, niż kochać takiego jak on. Ś Matko Ś odezwała się Shaina Ś powiedziałaś mi, że do ciebie przyjdę, więc pewnie dostrzegłaś w tym jakąś korzyść dla siebie, bo inaczej nie zadawałabyś sobie fatygi. Cemu więc teraz próbujesz zamienić moje serce w lód? Ś Ponieważ Ś odparła Barbayat odwracając się do Shainy całym ciałem Ś będziesz tylko pragnąć go jeszcze bardziej, jeśli ci powiem, jakie to niebezpieczne i jak małe masz szansę, że znajdziesz na tej drodze coś więcej prócz własnej śmierci. Ś Nie musisz mi tego mówić Ś rzekła Shaina siadając ze znużeniem na twardej podłodze. Ś Przecież on odjechał, a jakże ja, niewolnica, mam za nim pójść? Nie mogę opuścić wioski. Jeśli odejdę, powiedzą, że uciekłam, i wypuszczą za mną psy. Raz jakiś człowiek ukradł świnie, a oni ścigali go z psami. Ten człowiek nie wrócił, zostały po nim tylko zakrwawione buty. Psy pochwyca każdego, kogo każą im ścigać ich właściciele. Pochwyca mnie. Ś Będziesz ścigana przez coś gorszego od psów, dziewczyno-niewolnico, to jest wyraźnie zapisane w gwiazdach. Coś ci jednak powiem: ludzie mogą zniewolić ciało, ale nie to, co w nim mieszka. Cisza. Lis zaczął się czochrać, języki płomieni lizwały ciemność. Shaina opuściła głowę na kolana. Czowała znużenie i przeogromny, rozkoszny smutek, jak dziecko usypiające wśród płaczu. W tej samej chwili skóra na niej ścierpła, ponieważ zrozumiała, że Barbayat zaraz wyjawi jej zakłęcie, które wszystko odmieni. Ś Co mieszka w ciele, Barbayat? Ś wyszeptwała w końcu, wymawiając imię czarownicy, chociaż wiedziała, że postępuje niemądrze. Ś Dusza Ś wyjaśniła Barbayat, a jej głos zlewał się z donośnym trzaskiem ognia i oba dźwięki stawały się jednym. Ś Ziemia ma duszę, każda góra i jezioro, każde drzewo i kwiat, każdy ptak, ryba czy zwierzę. To jest tworzywo, z którego biorą się wszystkie nasze radości i smutki. Miłość i nienawiść, a nawet magia ma swoje źródło w duszy. Taki jest porządek rzeczy. Na ziemi dusza przybiera kształt ciała, ponieważ ciało jest gliną, która ją więzi, płaszczem, który ją okrywa. Poza ziemią dusza się zmienia i nie będzie ci mówić, w jaki sposób, bo i tak nie zrozumiesz. Lecz nawet kiedy ciało żyje, dusza może wyjść z niego i szukać przygód na własną rękę. Jeśli twoja dusza opuści ciało, uzyska następujące właściwości: będzie wprowadzie nadal podobna do ciebie, ale stanie się biała i przezroczysta, całkiem jak te istoty, które 25 ludzie nazywają duchami. Nie będzie potrzebować ani jadła, ani napoju, ani powietrza; nic, co śmiertelne, nie zdoła jej wyrządzić krzywdy Ś drzewo, kamień czy żelazo; nie zranią jej zęby wilka ani szpony orła, nie zniszczy ogień ani woda, ani upadek z żadnej wysokości, gdyż dusza może latać bez skrzydeł, szybciej niż ptak, nawet poza czasem, i nie potrzebuje wytchnienia. Jak widzisz, potrafi sobie świetnie radzić pozbywszy się ciężkiego ciała. Lecz kiedy uwolnisz swą duszę, ujrzysz świetlistą nić, która wciąż wiąże się z ciałem na podobieństwo pępowiny łączącej noworodka z matką. Cienka i delikatna jak jedwab jest owa nić, która trzyma duszę, barwy srebra, ale mocniejsza niż najgrubszy powróż. Dokąd byś nie poszła, ciągnie się za tobą; nie powstrzyma cię, ale też nic jej nie rozerwie. Tylko śmierć może przeciąć tę więź, choć co prawda Pani Śmierć jest zawsze w pobliżu ze swoją kosą. Dusza może istnieć niezależnie od ciała, ale ciało bez duszy jest bezradne jak ślimak bez swojej muszli. Spójrz, a zobaczysz swoje ciało spoczywające jakby w głębokim uspieniu, ale przyjrzyj mu się z bliska: nie znajdziesz oddechu. Teraz powiem ci coś, co musisz zapamiętać przede wszystkim. Pierwszej nocy Ś powiedzmy, licząc od północy do wschodu słońca Ś ciało pozostanie nie zmienione. Jeśli wrócisz o świcie, nic się nie stanie. Jeśli jednak twoja nieobecność się przedłuży, nastąpi zmiana. Krew w żyłach zacznie płynąć wolniej, umysł ogarnie niemoc, członki osłabną. Powróciwszy wówczas będziesz chorować przez wiele miesięcy. Jeśli zaś nie wrócisz, wprędce wygląd twojego ciała zacznie wzbudzać niepokój. Domownicy wezwą uzdrowiciela lub kapłana i wkrótce nie będzie już powrotu. Będzie tylko czarna jama wykopana w ziemi. A kiedy ciało znajduje się w grobie, osamotniona dusza nie może zbyt długo przebywać na ziemi. Niewidzialne skrzydła uniosą ją z tego

świata do innego. Wtedy żegnaj, ziemio, żegnajcie, wiosny i zimy, smutki i radości, żegnaj na zawsze, ukochany. Ogień strzelił iskrami i zasyczał, a może to zasyczał głos Barbayat. Ś Jeśli jednak zachowasz ostrożność i jeśli bardzo tego pragniesz, niewolnico Shaino, to podczas gdy twoje ciało będzie spoczywało w wieśniaczej chacie, na pozór pogrążone we śnie, twoja srebrna dusza może szukać za górami tego, którego pokochało twoje serce, lecąc szybciej niż ptak. Dusza przemawia do duszy i dusza odpowiada. Kiedy go odnajdziesz, czyż możesz wątpić, że jego dusza przebudzi się i odpowie na twoją tęsknotę? Jak mógłby cię nie pokochać? Miłość taka jak twoja nie przychodzi, jeśli już przedtem nie istniała więź między wami, a on, choćby dotąd był ślepy, zrozumie to patrząc oczami swej duszy. A więc, dziewczyno, Barbayat wie, jak można uwolnić duszę. Ale będziesz musiała się uczyć przez siedem dni i przez siedem dni każe ci za to płacić. Lis polizał twarz Shainy. Wzdrygnęła się otwierając oczy; odetchnęła głęboko, serce załomotało jej w piersi. Słyszała każdą sylabę, mogłaby wyrecytować słowa Barbayat z pamięci. Ś Jeśli będę... niematerialna, bez ciała... w jaki sposób znajdę do niego drogę? Ś wyszeptwała. Ś Dusza przemawia do duszy, jak mówiłam. Ty go kochasz. Odnajdziesz drogę, choćby dzieliło was siedem gór i siedem rzek. Ś A jaka jest cena? Ś Jaka jest cena? Tak, tak Ś westchnęła Barbayat. Jej spojrzenie ponownie nabrało ostrości. Ś Może przestraszysz się i uciekniesz, kiedy ci powiem. Ale przypomnij sobie, że mogłam wziąć, co chciałam, kiedy ty tutaj drzemałaś z otwartymi oczami, zapatrzona w mojego pięknego lisa, mogłam cię nie obudzić i zrobiłabym dobry interes. Shaina podniosła się i zacisnęła dłonie. Jej oczy, orzechowe, niemal miedziane w blasku ognia, były otwarte szeroko i malował się w nich głód, ale usta miała mocno zaciśnięte. Ś Cóż więc to jest? Powiedz! Ś Przez siedem dni będziesz do mnie przychodzić. Siedmiu rzeczy będę cię uczyć. Siedem razy dasz mi się napić z twoich żył. Ś Moja krew! Ś wykrzyknęła Shaina. Ś Och, nie. Ś Ależ uspokój się Ś powiedziała Barbayat, głaz, czarownica, wampir, kołysząc się w swoim fotelu z brzoźowego drewna. Ś Dlaczego? Ś zapytała Shaina drżąc na całym ciele, ze zbielałą twarzą. Ś Żeby żyć Ś odparła rezolutnie Barbayat. Ś Właśnie w ten sposób od dawna już oszukuje Panią Śmierć. Kiedy przychodzi ze swoją kosą i stuka o północy do moich okrągłych drzwi, mówię jej: „Zaczekaj, pani” i znajduję dziewczynę, dziewicę, która potrzebuje rady lub zaklęcia, i pobieram opłatę. Tylko krew dziewczyc mi pomaga. Nie biorę dużo, one od tego nie umierają, a ja żyję. Dobrze jest żyć. Chyba każdy tak myśli. Shaina poczuła zawrót głowy. Nagle ujrzała młodzieńca przykutego do żelaznego koła; jego włosy były czarne, białe ciało pokrywały purpurowe rany, a twarz wyrażała tylko pustkę. 27 Ś Nie! Ś krzyknęła Shaina. Ś Tak. Volkhavaar Okrutny wyruszył w nową podróż. Wielu zginie na tej drodze, może także twój ukochany, jeśli go nie uratujesz. Ś Stwarzasz iluzje, żeby mnie oszukać, tak samo jak czarnoksiężnik. Ś Odejdź więc Ś rzekła Barbayat Ś nie ucz się niczego, pozwól mu odejść i znaleźć gdzie indziej miłość lub grób. Powiedz sobie, że twoje sny i marzenia są złudzeniem. Lepsze stęchłe piwo we własnym domu niż białe wino pośród wrogów. Shaina rozejrzała się dookoła. Zobaczyła lisicę. Zdawało jej się, że lisica mówi: „Kiedy byłam młoda i biegałam wolna po lesie, myśliwy złapał mego męża, ogłuszył go i zamknął w klatce. W jasną wiosenną noc, białą od księżyca, pobiegłam na to miejsce. Podkradłam się do ogniska, tak blisko, że słyszałam oddech myśliwego i widziałam, jak w blasku płomieni lśni nóż w jego dłoni. Przegryzłam pręty klatki, wyciągnęłam mego męża i zaniósłam do lasu, jak się nosi małe. Poraniłam sobie łapy, straciłam ząb, bolał mnie grzbiet i bałam się, ale nawet nie pomyślałam, że mogłabym postąpić inaczej. Taka jest miłość.” Shaina spuściła oczy. Zobaczyła własne dłonie, zaciśnięte w pięści. Jeśli mam wybierać, to dokonałam wyboru, pomyślała. Głośno zaś powiedziała: „Tak” i dodała uprzejmie: „Czy chcesz pić już teraz?” Barbayat zaśmiała się. Nie był to całkiem kobiecy śmiech. Ś Późno już Ś oświadczyła. Ś Jeden dzień nie robi wielkiej różnicy ani mnie, ani tobie. Wracaj do domu i przyjdź jutro. Shaina podeszła do drzwi. Czas minął szybko. Pomiędzy sosnami dwie czarne wrony zataczały kręgi nad czerwoną kulą zachodzącego słońca.

Rzeczywiście było późno. Nie zdąży do domu przed wschodem księżyca, czyli wróci później niż wczoraj. Na pewno dostanie bicie. Ś Kij rani grzbiet, nie serce Ś powtórzyła Shaina słowa czarownicy i stwierdziła, że się uśmiecha. Ś Przyjść jutro. Ś Przypuśćmy jednak, dodała w myśli, że Młody Ash nie upije się dzisiaj i rano sam zaprowadzi kozy na pastwisko? Shaino, powiedziała sobie, nie bądź głupia. To twoja rzecz dopilnować, żeby na pewno się upił. Potem zaczęła biec Ś przez polankę, w dół po zboczach Zimnej Turni, roztrzaskując czarne gałęzie, w dół, w dół, do skalnego mostu i dalej w dół, na górską łąkę. Schodziła o wiele szybciej, niż się wspinała, ale nie dosyć szybko. Słoneczny rydwan skrył się już za 28 horyzontem, a złocisty odblask na niebie przechodził w szybko pogłębiający się fiolet, kiedy wpadła na pastwisko. Nagła obawa o stado kazała jej przyspieszać kroku przez ostatni odcinek drogi, ale wszystkie kozy były na miejscu; zbite w ciasną gromadkę, przeżuwały trawę, pobekiwały i potrzasały głowami w przyjazny sposób. Popatrzyły na nią i powiedziały do siebie: „Shaina się zadyszała.” Była zadowolona, że je widzi. Z pośpiechu i od wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło, kręciło jej się w głowie. Przeszła przez torfowisko i zaczęła wołać na kozy, zaganiać je do domu. W tej samej chwili cztery wrony zerwały się z czterech rogów pastwiska i wzbily się wysoko pod złocistą, ciemniejącą kopułę nieba. Może tylko szukały robaków, ale mogła też je wysłać Szara Pani, żeby pilnowały stada pod nieobecność Shainy. Wampir czy nie wampir, z jakiegoś powodu Shaina ufała Barbayat. Ś Chyba jestem szczęśliwa Ś wyznała kozom. Nie czuła już bólu w sercu; jej serce płonęło. Nie mogła zrozumieć, dlaczego w obliczu niepewnego jutra i zagrożenia związanego z tą niesamowitą transakcją czuje się tak radośnie. Tej nocy kij wznosił się i opadał na plecy Shainy, ale Stary Ash nie bił zbyt mocno Ś w końcu niewolnica była jego własnością. Nie chciał jej zrobić krzywdy, ponieważ nie stać go było na kupienie drugiej. Ś Ta dziewczyna to nic dobrego Ś oświadczyła żona Starego Asha. Ś Dziwię się, że nie uciekła wczoraj ze złodziejami, ta szelma, ta niewdzięcznica. Wyraźnie sama miała ochotę złapać za kij, ale Stary Ash jej nie pozwolił. Shaina przyjęła karę jak zwykle spokojnie, bez krzyków i jęków. Wkrótce deszcz razów ustał i mogła pomyśleć o innych sprawach. Po kolacji zabrała resztki jedzenia na podwórze, żeby nakarmić psa. Tam natknęła się na Młodego Asha, który markotnie podpierał ścianę, naburmuszony, z wysuniętą dolną wargą. Na niebie księżyc jaśniał czystym, białym blaskiem. Góry wydawały się srebrne, a ich cienie hebanowe. W powietrzu czuło się tchnienie wiosny, słodkie jak zapach sosenu i ostre jak nóż. Shaina postawiła jedzenie przed psem, który zamiast okazać wdzięczność warknął i obnażył cienkie, brązowe kły. Słyszac brzęk naczyń Młody Ash mruknął złośliwie: Ś Boli cię grzbiet, niewolnico? Piecze i pali? Spodziewam się. Ś Tak, za pozwoleniem Ś odparła Shaina. 29

Ś To dobrze. Cieszę się, że nie tylko ja cierpię tej nocy. Ciebie pali grzbiet, a mnie wyschnięte gardło. Na moje buty, jeśli się nie napiję, do rana wyschną na wiór. Ś Przecież karczma jest obok na wzgórzu Ś zauważyła Shaina. Ś Ona mówi, że mam zostać w domu, ta stara czarownica, niech mi Matka Ziemia wybaczy. Mówi, że ma już dość mojego pijaństwa. Jakby to była moja wina, że poprzedniej nocy złodzieje siłą włali mi trunek do gardła. Co mogłem na to poradzić? Czy kiedy widziałas, żebyśmy byli pijany? Ś Ależ skąd Ś zaprzeczyła Shaina z oburzeniem. Ś Od wioski aż do Kost wszyscy wiedzą, że Młody Ash potrafi przepić każdego, a sam pozostaje trzeźwy jak lód. Młody Ash z satysfakcją podciągnął pas. Ś No właśnie. To samo zawsze mówię.

Ś Pewnego dnia Ś zaczęła Shaina przebiegle, przysuwając się bliżej Ś Młody Ash będzie panem domu. Wtedy jego matka może pożałuje, że nie była bardziej wyrozumiała. Kiedy będzie ubogą wdową, kiedy tylko ty będziesz mógł jej zapewnić kawałek chleba na starość, nie ośmieli się ci mówić: „Rób to, nie rób tego.” Ś Święta racja. Święta racja. Co za mądrała z ciebie. No to idę zaraz, a ją niech diabli porwą. Ś Młody Ash zaczął gwizdać piosenkę, którą zwykle podśpiewywał w drodze do karczmy; potem przerwał. Ś Jeśli zapyta, gdzie jestem... Ś Drobiazg Ś Shaina skromnie spuściła oczy Ś przecież pomagasz Guli naprawiać pług, prawda? Ś

Właśnie. Ś Młody Ash klepnął się po udzie, obdarzył Shainę serdecznym, niemal braterskim pocałunkiem i spiesznie ruszył wyboistą drogą, ścigany ciekawym spojrzeniem księżycy. Shaino, Shaino, wołały gwiazdy na czarnym, nocnym niebie, co ty robisz? Czyżbyś całkiem straciła rozum? Shaino, Shaino, terkotał kołowrotek żony Starego Asha, dlaczego twoje myśli kręcą się w kółko jak ja? Shaino, Shaino, wzdychał siennik, na którym później leżała przy palenisku, idź spać i zbierz siły na jutro. Shaino, Shaino, szeptał świt zaglądając w drzwi, obudź się! Oto wraca Młody Ash, opity piwem aż po dziurki w nosie, oto nadchodzi zza gór nowy dzień, dzień, w którym zapłacisz czarownicy własną dziewczicą krwią. Shaino, krzyczało jej serce, spiesz się! Spiesz!

4.

Cóż za awantura, jakie wrzaski i przekleństwa: to żona Starego Asha. Młody Ash leży i trzyma się za głowę: „Nigdy więcej. Przysięgam.” Shaina popędziła kozy, popędziła je na pastwisko. Shaina pobiegła dalej, do skalnego mostu. Kozy patrzyły na jej odejście, śmiały się i wyrozumiale kiwały głowami. Shaina prawie biegiem wspięła się na zbocze góry, gdzie mieszkała czarownica. Oto już szary domek z przekrzywionym kominem. Nie mogła pojać, jak to się stało, że tak szybko tu dotarła. Oto okrągłe drzwi, serce podchodzi jej do gardła, łomocze, nagli jej rękę. Ręka podnosi się i łomocze do drzwi. Shaina czuje, jak od stóp do czubka głowy przenika ją lodowaty chłód. Drzwi rozsuwają się na boki jak poprzednim razem i Shaina znowu widzi przed sobą izbę, jak poprzednim razem. Coś się jednak zmieniło. Na podłodze widniał magiczny znak narysowany białą gliną. Na ten widok Shaina zawahała się, ale wtedy spomiędzy czarnych kolumn-rzeźb, oświetlonych ponurym, czerwonym blaskiem, dobiegł ją cichy, twardy głos Barbayat: Ś Wejdz. Nie obawiaj się niczego. Pomyśl o nim i o jego falujących włosach. Shaina przestąpiła próg. Kandelabr z ludzkich czaszek nie był dzisiaj zapalony. Żelazna misa na żelaznym trójnogu stała pośrodku magicznego rysunku na podłodze, z misy unosił się dym pachnący kwiatami, a obok trójnogu stał wysoki stołek. Zamiast Barbayat w bujanym fotelu kołysał się lis. Shaina rozejrzała się dookoła, a potem spojrzała przez ramię i oczywiście właśnie tam stała Barbayat, w jednym miejscu, w którym nie powinno jej być, dokładnie w samych drzwiach. Ś Czy myślisz o nim? O jego oczach i włosach, o jego pięknym, młodym ciele? Czy myśląc o nim nie czujesz się lepiej? Wejdz i usiądź. Tak, ten stołek jest dla ciebie. Shaina przestąpiła białe linie czując mrowienie w żyłach i usiadła tam, gdzie kazała jej czarownica. Ś Na pewno się nie boisz? Ś zapytała Barbayat. Ś Nie Ś odparła Shaina.

Ś Może się rozmyśliłaś?

Ś Skądże.

Barbayat weszła pomiędzy narysowane linie i usiadła u stóp Shainy. 31 Ś Daj mi swój nadgarstek. Shaina zmieszała się.

Ś Mam kupować kota w worku?

Ś Właśnie tak. Coś ci powiem. To nie jest jednostronna wymiana. Kiedy trochę twojej jasnej krwi popłynie w moich szarych żyłach, zacznę cię lepiej rozumieć, a im lepiej cię zrozumieć, tym lepiej będę mogła nauczyć cię tego, co musisz wiedzieć. Ś Barbayat umilkła, podobna do szarego głazu leżącego na podłodze. Ś Mam ci powiedzieć jego imię? Ś Czyje imię? Ś Jego, młodego aktora. Czyżby interesował cię ktoś inny? Ś Skąd je znasz? Ś Mam pewien sprytny kryształ. Imiona łatwo odkryć. Inne rzeczy trudniej. No więc? Ś Tak. Tak, oczywiście, powiedz mi. Ś Ma na imię Dasyel Ś powiedziała czarownica, wzięła Shainę za rękę i ugryzła ją w nadgarstek. Shaina nie poczuła nic. Dziwny urok, jaki nią zawładnął, gdy usłyszała jego imię, dobrze spełnił swoje zadanie. Dym unoszący się z żelaznej misy jakby rozmywał jej myśli, wszystko odpływało gdzieś daleko, za Zimną Turnię, unosząc ją ze sobą. Dasyel, szeptał usypiająco głos w jej myślach, a miękkie wargi ssaly tak delikatnie, delikatnie... Zaczęła sobie wyobrażać, że maleńka szara czarownica jest jej dzieckiem, może również jego

dzieckiem, bezbronny, kochanym maleństwem szukającym pokarmu, który mu oddawała z radością i bez żalu... Zapragnęła pogłodzić siwe włosy Barbayat. Ś Obudź się, córko Ś powiedział jakiś głos. Shaina posłusznie otworzyła oczy i zobaczyła, że lis przycisnął swój zimny, wilgotny nos do jej szyi. Ś Czy to ty do mnie mówiłeś? Ś zapytała lisa Shaina. Lis ziewnął i usiadł obok niej na podłodze. Znak narysowany białą gliną zniknął. Ś Czyżbyś uważała, że już potrafisz rozumieć mowę zwierząt? Ś zapytała Barbayat tonem uprzejmej pogardy. Ś To ja do ciebie mówiłam, Shaino o kruczonych włosach. Wkrótce zajdzie słońce, ale jeśli się pośpieszysz, wrócisz przed nocą. Shaina wyprostowała się. Czuła lekki zawrót głowy, ale nic ją nie bolało. Lewy nadgarstek owinięty miała kawałkiem czystego, bielonego płótna. Ś Ale czy nauczyłaś mnie czegoś, Barbayat? Ś Pomyśl, głuptasku. Tutaj, widzisz tę wiedzę w swojej głowie? Ś Nauczyłam cię, kiedy spałaś, więc już tego nie zapomnisz. W ciemnej godzinie po północy musisz wypróbować wszystko, co ci powiedziałam. Shaina dotknęła ręką czoła, w zdumieniu odnajdując dziwne obrazy tłoczące się w jej myślach Ś zaklęcia i sposoby, które dała jej czarownica w zamian za łyk słonawego napoju. Ś Teraz wstań, córko Ś nakazała Barbayat. Ś Dasz sobie radę. Nie zdejmuj opatrunku, a gdyby ktoś cię zapytał, powiedz, że podrapałaś się o skały lub o krzaki jeżyn. Pod żadnym pozorem nie pozwól, żeby kapłan to zobaczył, inaczej obie będziemy miały kłopoty. Nie będzie ci brak tego, co zabrałam. Przyjdź znowu jutro. Shaina ruszyła do drzwi i obejrzała się. Popatrzyła na Barbayat bujającą się w swoim fotelu. Barbayat wyglądała jakoś inaczej, choć trudno to było określić. Czyżby się trochę wyprostowała, trochę zaróżowiła? Czyżby jej spojrzenie, wciąż równie ostre, nabrało trochę ciepła? Ś Tak, wyglądam lepiej, nie ma co Ś odezwała się Barbayat. Ś Nie każde wino jest równie dobre, a spośród tych dobrych niektóre są lepsze od innych. Ś Zrobię to, czego mnie nauczyłaś Ś powiedziała Shaina Ś i przyjdę jutro, tylko... Ś Tylko co? Ś Młody Ash może się dziś nie upić Ś a pozostało jeszcze pięć nocy. Barbayat kiwnęła głową. Ś Zostawiłam ci coś w głowie na wszelki wypadek. Widzisz to? Ś Ależ tak Ś zawołała Shaina ze śmiechem. Ś Rzeczywiście, cóż za zaklęcie! Na pewno się przyda. Na zewnątrz niebo pomiędzy rzeciami sosen prześwitywało czerwienią. Shaina zbiegła z góry i pospieszyła na pastwisko. Tym razem nie zdziwiła się, kiedy na jej widok cztery czarne wrony wzbily się w powietrze. Tego wieczoru nie było bicia. Wróciła do domu na czas. A więc najpierw czarodziejski blask ognia rozpalanego na nowo, następnie podawanie kolacji, zmywanie naczyń i wreszcie kołowrotek żony Starego Asha obracający się w kącie. Stary Ash zdrzemnął się przy piecu. Młody Ash poszedł się napić do dzbanu z wodą, jako że po wczorajszym piwie wciąż dręczyło go pragnienie. Zanurzył kubek w dzbanie, a Shaina wyszeptała cichutko: 3 Czarnoksiężnik...J 3 Ś Wodo, nie jesteś tym, czym ci się zdaje. Wodo, nie wypłynęłaś z zimnej ziemi, wypłynęłaś z tego, co rośnie w słońcu; zebrano cię, deptano po tobie, trzymano cię w beczce. Wodo, czy wiesz, czym jesteś? Wodo, jesteś słodkim białym winem. Młody Ash napił się, potem napił się jeszcze raz, a Shaina wiedziała, że w nocy napije się jeszcze ze dwa razy. Ś Wodo, jesteś bardzo mocnym winem, ale działasz powoli. Nie idź szybko do głowy. Nie pokazuj, czym jesteś, aż do rana. Ś Cóż to za diabelskie mamrotanie? Ś odezwała się żona Starego Asha podnosząc wzrok znad kołowrotka. Ś Na pewno rzucasz na nas wszystkich kłatwę. Pilnuj się, niewolnico, mam na ciebie kij. W nocy księżyc dryfował po niebie nisko jak tonący statek. Wiatr wzdychał. „Dasyel,” szeptał wiatr. „Słyszę cię,” odpowiadała Shaina i wyciągała ramiona w pustkę. Potem wymówiła słowa, których nauczyła ją czarownica, słowa, które miały uwolnić jej duszę. I rzuciła czar, posługując się głosem, rękami i myślą. Wkrótce poczuła ból między oczami, najpierw zimny, potem gorący, jak uprzedziła ją czarownica. Ś On jest pijany! Ś wrzasnęła żona Starego Asha o poranku. Ś Niech trupem padnę, jeśli wiem, w jaki sposób się dorwał do trunku... przysięgam, że od kolacji nie ruszył się nogą za próg. Shaina popędziła kozy, pobiegła pod górę, przez skalny most, na Zimną Turnię, do chatki czarownicy. Tego dnia i przez kolejne pięć dni. Ś Matko, czy jestem gotowa? Czy jestem dość mądra? Czy potrafię to zrobić? Ś Córko, tak, tak, jesteś i



potrafisz. Ś Matko, czuję zwątpienie. Czy mogę go znaleźć tak, jak mówisz, po prostu dlatego, że go kocham? Ś Czekaj i patrz. Nie będziesz wątpić, kiedy przyjdzie czas. Być może już teraz jakaś cząstka twojego Dasyela czuje, że wkrótce za nim podążysz. Może inni to czują. Może Volkhavaar Okrutny, Volkhavaar o Purpurowych Rękawach, może on również to czuje, więc strzeż się. Ś Nie boję się. Nieprawda, boję się. Nie będę o tym myślała^ Przez ostatnie pięć nocy czułam, że domowe demony przyglądają mi się, patrzą, co robię. Czułam, jak szepczą. One też się boją czarnoksiężnika. Będę się strzec. Ś Wstań zatem. Może już się nigdy nie spotkamy. 34

Ś Dopóki czary nie zawiodą.

Ś Dopóki słońce nie przestanie wschodzić Ś odparła Barbayat. Nadgarstek Shainy owinięty był świeżą, czystą płócienną opaską, już ostatnią. Umowa została dopełniona, a raczej dopiero zostanie dopełniona tej nocy, kiedy jej dusza opuści ciało... och, czy to możliwe? Tak. Codziennie wampirzyca wysysała z niej krew. Shaina przestała się już dziwić, że ta czynność, zamiast budzić w niej odrazę, stwarzała między nią a czarownicą poczucie dziwnej bliskości. Uprzejma forma, w jakiej się do siebie zwracały Ś matko, córko Ś nie wynikała ze zwykłej grzeczności. Osierocona niewolnica w jakiś sposób odnalazła rodzinę, bezdzietna czarownica w jakiś sposób zyskała potomstwo. Teraz Shaina spoglądała w twarz Barbayat z prawdziwym przywiązaniem i ufnością. Co myślała Barbayat, trudno było powiedzieć, ponieważ wciąż wyglądała jak głaz. Potem niespodziewanie czarownica wzięła Shainę za rękę i pocałowała ją w policzek jak matka, którą się stała. A kiedy się odsunęła, Shaina wytrzeszczyła oczy. W Barbayat zaszła wielka zmiana, chociaż widać to było tylko przez chwilę, zanim czarownica ponownie upodobniła się do omszałego głazu. Była wyższa, mniej zgarbiona, miała dumną postawę i szlachetne rysy; jej skóra była kremowa i gładka, jej oczy jasne, zielono-czarne i czyste jak oczy dziecka, ale promieniujące taką siłą i skupioną mocą, że wydawały się nie mieć wieku. Włosy, czarne jak u Shainy, spadały jej na plecy; rzeczywiście wyglądała zupełnie jak Shaina, miała urodę Shainy, jej żywotność, jej żelazny upór, jej dobroć; wszystko prócz niewinności, którą może mieć tylko młoda dziewczyna. Ś To są twoje czary, niewolnico Ś oznajmiła Barbayat. Ś To jest zaklęcie, które ty na mnie rzuciłaś. Teraz idź i wypróbuj moje czary w ciemnej godzinie po północy. Biegnij szybko, bo znowu się spóźnisz. A potem Barbayat ponownie stała się Barbayat, Szarą Panią, a przy palenisku zaszczekał lis. Shaina zbiegła z góry. Nie mogła już się doczekać nocy. Z powodu wilków, „złodziei" i tajemniczego, powtarzającego się w niezrozumiały sposób pijaństwa Młodego Asha w wiosce panowało wielkie zaniepokojenie, światła latarni paliły się do późna, a nawet posłano do Kost po kapłana. Wieś czuła, że dzieją się nadprzyrodzone rzeczy, ale na niewolnicę nikt nie zwracał uwagi. Na razie. Wkrótce cały dom chrapał. Shaina leżała obok wygasłego paleniska. Minęła północ, rozpoczął się schyłek nocy. 3\*35 Wymówiła zaklęcie, wyrecytowała słowa, wykonała gesty i znaki, oczyściła umysł, spojrzała przed siebie i w górę, poprzez krokwyie dachu, poprzez leżące tam mgliste demony, prosto w czarne niebo wysadzone klejnotami gwiazd. Zimno i gorąco, lód i ogień oparzyły skórę. Czuła ten dotyk nie tylko między brwiami, ale na całym ciele. Czuła, że rozwiera się pod nią otchłań, przepaść bez dna. Wiedziała, że jeśli rzuci się w tę głębinę, będzie zgubiona na zawsze. Coś w niej krzyczało, żeby przestać, zawrócić, wydostać się z tej okropnej jamy. Ale Shaina, oddychając głęboko i mamrocząc zaklęcia, parła przed siebie jak pływak przedzierający się przez wzburzoną wodę, dalej, dalej... Ostrze sztyletu przeszło brzuch, pierś, nogi i ramiona; topór rozłupał czaszkę. Czerwone światło uderzyło ją w oczy. Była ślepa, głucha i niema Ś nie mogła krzyczeć, nie mogła oddychać, nie mogła się poruszyć. Ponownie rzuciła się naprzód, mozolnie usiłując uwolnić tę rzecz wewnątrz niej. A wtedy... Metamorfoza. Dziewczyny w ptaka, w powietrze, w sen. Unosiła się w ciemnościach, nieważka, elektryczna, oszołomiona, smuga zimnego lśnienia. Spokój, och, jakież cudowny spokój ją ogarnął. Skończyły się ból, strach, walka,

skończyła się wreszcie niepewność. Spojrzała w dół. Ś Och, Shaino, Shaino Ś wyszeptała jej dusza.

Oto leżała jakby w uśpieniu, jej własna postać, zgodnie z obietnicą Barbayat, złączona z nią cienkim, srebrnym łańcuszkiem. Shaina po raz pierwszy ujrzała samą siebie, o wiele wyraźniej niż w zwierciadle. Po raz pierwszy poznała i pokochała samą siebie, pokochała czystą, prawdziwą, potrzebną miłością i zdobyła tę rzadką wiedzę o sobie, która idzie w parze z bezstronnością. A wraz z tą wiedzą powróciła pamięć o innej miłości. Ś Och, wiem, wiem... Dusza Shainy uniosła się lekko jak dym, w górę, w górę, przez dach, szybciej niż ptak, choć bez skrzydeł, zapłonęła i zwróciła się ku ukochanemu, pojmując natychmiast, gdzie on jest i jak może go odnaleźć. I nie pojmując nic z czyhającego niebezpieczeństwa, nic ze zbliżającej się agonii.

Część druga

CZARNOKSIEŻNIK I JEGO MOC

5.

Ponieważ gdzie są blaski, tam są i cienie, opowieść prowadzi teraz do Volkhavaara, który przybierał niekiedy miano Kernika, Księcia Kug-larzy, wielkiego Mistrza Magii i Władcy Ciemności. Za młodu miał Kernik żółtą skórę, gdyż jego matka była cudzoziemką. Przybyła zza odległych, wysokich gór niosąc go w brzuchu. Kiedy był mały, nie posiadał imienia, nikt bowiem nie zatroszczył się, żeby go jakoś nazwać. Uważano, że jest głupi i leniwy. Ale dzieciak przyglądał się wszystkiemu bardzo uważnie i po niedługim czasie umiał to obrócić na swoją korzyść. Matka wydała go na świat w samotnej wiosce, położonej tuż za Szczytami po stronie Korkeemu, gdzie ludzie przywykli do widoku handlarzy o żółtych twarzach i nie zwracali na nich większej uwagi. Jednakże ta kobieta mieszkając pośród nich wzbudzała zainteresowanie swoją skórą o barwie szafranu, włosami tak niezwykle czarnymi, że wydawały się niemal ciemnozielone, i oczami o innym odcieniu czerni, prawie przechodzącym w czerwień. Wkrótce kilku mężczyzn zaczęło ją odwiedzać w nocy, chociaż czynili to potajemnie, obawiając się kapłana i własnych żon. Kernik ze swojego nędznego posłania przy ogniu widział wszystko, co się działo. Miał wtedy jakieś siedem czy osiem lat, ale z powodu rozbieranego spojrzenia sprawiał wrażenie, że nic do niego nie dociera. Wprędce jednak mężczyźni, którzy odwiedzali żółtoskórą matkę, odkryli, że żółtoskóry dzieciak włóczy się za nimi po górskich ścieżkach. I chociaż dzieciak wyglądał na niedorozwiniętego, potrafił 37 dać im wyraźnie do zrozumienia, że jeśli nie będą robić, co im każe, zawiadomi o wszystkim kapłana. Mężczyźni zauważyli wówczas po raz pierwszy, że było coś śliskiego i nieprzyjemnego w tym chłopcu. Mimo że tak mały, budził w nich strach, więc robili to, czego żądał. Właściwie nie żądał wiele, zazwyczaj były to dziwaczne, niemądre polecenia: „Przynies mi ten kamień i połóż go przy drzwiach”, „Kaszlnij trzy razy idąc drogą” Ś niemniej, bez względu na ich błahość, mężczyźni wypełniali je posłusznie, a dzieciak rządził nimi żelazną dłońią. Naturalnie taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Pewnej nocy któryś z mężczyzn wychodząc z chałupy żółtoskórej kobiety nie trafił na stopień i złamał nogę. Pod wpływem bólu i strachu wygadał, gdzie był, i pospiesznie wymienił wszystkich pozostałych. Kobiety ze wsi rzuciły się na obcą jak wilczyce i wyгнаły ją razem z dzieckiem. Oboje wędrowali przez wiele mil, zanim zeszli z gór i przebyli szeroką dolinę. Musieli się przeprawić przez rzekę i matka zapłaciła przewoźnikowi w swój zwykły sposób. Po drugiej stronie wznosiły się skaliste wzgórza porośnięte lasem. Gdzieś w tym lesie niedźwiedzie zjadły matkę Kernika, chociaż on sam ocalał. Może kościsty, wychudzony malec wydawał się im niesmaczny. Straciwszy matkę Kernik utrzymywał się przy życiu zbierając jagody i wykradając jajka z gniazd. Nauczył się chwytac ptaki i

jaszczurki, czatując w ukryciu przez całe godziny, jeśli było trzeba, żeby w wybranej chwili skoczyć ze zręcznością kota. Pożerał złapane stworzenia na surowo, krew ściekała mu po brodzie, pióra i łuski lepiły się do palców. W końcu dotarł do drugiej wioski, równie ubogiej i opuszczonej jak ta, w której się urodził. Wioska, szara od mgieł, zbudowana ze zwalonych pni sosen, znajdowała się na zboczu samotnej góry w pół drogi do szczytu, nagiego i najczęściej zakrytego przez chmury. Kernik całkiem zdziwił się podczas miesięcy spędzonych w lesie. Podkraść się do wsi ostrożnie i czujnie jak wilk. Po niedługim czasie na drodze pojawiły się dwie czy trzy dziewczyny oraz stara kobieta, które szły nabrać wody ze studni. Zobaczyły go i oczywiście przestraszyły się na jego widok. Kernik z pewnością wyglądał bardziej jak zwierzę niż jak człowiek, i to jak dzikie zwierzę ze swoim niezwykłym kolorem skóry, czarnymi skołtunionymi włosami, brudnymi paznokciami przypominającymi orle szpony i ostrymi zębami drapieżnika. Niemal doszczętnie zapomniał ludzkiej mowy, ale zachował całą dawną przebiegłość; w ciągu swojej krótkiej, podejrzonej kariery 38 , zdołał w jakiś sposób się nauczyć, jak najłatwiej zmiękczyć serce kobiety. Upadł na ziemię i zapłakał. Dziewczeta, które chciały już biec po swoich mężów i braci, zawahały się. Stara kobieta krzyknęła. Była bezdzietną wdową i zawsze pragnęła mieć dziecko. Teraz, poniewczasie, jakiś dobry duch lasów odpowiedział wreszcie na jej błagalne modły i spełnił jej życzenie. Oto stał przed nią mały chłopiec ś syn. Mógł być wstrętny, odrażający, mógł przypominać zwierzę, ale był w potrzebie, a ona mogła mu pomóc. Jej niemądre serce stopniało i zapłonęło uczuciem. Wyciągnęła do niego ramiona i zaprowadziła go do swego domu. Kernik został wykąpany, obcięto mu paznokcie i włosy, i ubrano w samodział. Mieszkał w domu starej kobiety, która nadała mu imię, ale zapomniał je. W krótkim czasie za pomocą rozmaitych podstępnych sztuczek owinał ją sobie dookoła palca. Miał wtedy dziewięć czy dziesięć lat, ale przeznaczone mu było spędzić jeszcze cztery lata w wiosce na zboczu góry. Wystarczył tylko jeden rok, żeby wszyscy go znienawidzili, a wielu zaczęło się go lękać, trudno jednak było cokolwiek mu zarzucić. Ponownie nauczył się ludzkiej mowy i zawsze wyrażał się bardzo grzecznie. Jeśli spotkał kobietę niosącą ciężki kosz z praniem, pomagał jej, nosił siekiere za drwalem, pomagał w rąbaniu drewna i karmił kurczęta ś chociaż najbardziej lubił ukręcać im szyje, kiedy miały iść do garnka. Nie można było na niczym go przyłapać, a jednak zawsze miało się wrażenie, że ten chłopiec właśnie popełnił jakiś zakazany i nienaturalny występki lub ma zamiar coś takiego zrobić, jak tylko człowiek odwróci się do niego plecami. Czasami pękały siekiery, które Kernik wcześniej miał w rękach; czasami po jego wyjściu w jedzeniu znajdowano robaki. Młode kobiety wzdrygały się na jego widok. Twierdziły, że ten chłopak zagląda im pod spódnicę; wprawdzie było to zupełnie naturalne, lecz zachowanie Kernika nie miało nic wspólnego ze zwyczajną, rozchichotaną, nieprzyzwoitą ciekawością innych chłopców, chociaż one same nie miały pojęcia, na czym polega różnica, i wcale nie chciały tego wiedzieć. Dzieci natomiast nie cierpiały go z całego serca. W pojedynkę lub we dwójkę schodziły mu z drogi, ale kiedy zebrało się ich więcej niż troje, nabierały odwagi, żeby na niego pluć, wymyślać i czasem rzucać kamieniami. Kernik uciekał wówczas ile sił w chudych nogach. Schroniwszy się w lesie lub wśród skał dosłownie wylizywał swoje rany, z suchymi oczami, niczym wilk-samotnik. Zdarzało się, że 39 przy łapywał któreś z dzieci w lesie, a wtedy szarpał je za włosy i szeptał im złe, okrutne słowa, słowa, które powracały w ciemnościach budząc przerażenie. Taka okrutność nie zostawiała widocznych śladów. On, Kernik, był dostatecznie sprytny na swój sposób. Poza tym zawsze mógł ugłaskać starą kobietę, swoją przybraną matkę, za pomocą płaczu, sterroryzować ją bezczelnym śmiechem albo też jednym z tych swoich spojrzeń rzucanych z ukosa, które budziły w niej nieokreślony lęk. Wioska czciła jednego boga, jedno osobliwe bóstwo mieszkające na czarnym wierzchołku góry, imieniem Takerna. Raz w miesiącu stary kapłan Voy zanosił na górę ofiary wieśniaków i zostawiał je na skalnej półce u końca wąskiej ścieżki, w pobliżu szczytu. Voy był starym, nadętym głupcem; wyróżniało go poczucie własnej

ważności, reumatyzm i skłonność do narzekania. Pewnego ranka, zanim jeszcze słońce weszło nad górą Takerny, Voy wyszedł z domu z koszyczkiem pełnym podpłomyków, miodu i cienkiego piwa, które miał zanieść bogu. A tam, przed drzwiami, stał ten dziwny, żółtoskóry leśny chłopiec, wyszorowany, starannie odziany i pełen uniżenia. Ś Ojciec Ś powiedział Kernik kłaniając się kapłanowi Ś masz przed sobą długą drogę, a twój koszyk jest ciężki. Zrób mi ten zaszczyt i pozwól, żebym ci towarzyszył i podniósł twój ciężar. Ś No, sam nie wiem, chłopcze. Góra jest poświęcona bogu. Ś To prawda, ojciec, nigdy w to nie wątpiłem. Ale wydaje mi się, że nie powinieneś stawać przed obliczem boga zmęczony i zasapany. Ktoś mniej ważny od ciebie mógłby nosić za tobą ofiary. Te słowa przekonały kapłana. Spodobał mu się również pomysł, żeby czyjeś inne ramiona przejęły ciężar z jego zreumatyzowanych rąk. Przystał na propozycję i wygłosiwszy krótkie pouczenie o tym, jak chłopiec powinien się zachowywać Ś czego Kernik wysłuchał z godną pochwałą uwagą i szacunkiem Ś wręczył mu koszyk. Wyruszyli razem. Kernik był bardzo ostrożny. Nie ukradł nic spośród darów. Nie wyśmiewał się z kapłana za jego plecami, jak to czynili inni chłopcy. Pomagał mu uprzejmie na stromych odcinkach drogi. Zadawał grzeczne, rozumne pytania dotyczące rytuału stosowanego wobec boga. Raz czy dwa Voy, uwolniony od bólu w ramionach i ożywiony górskim powietrzem, opowiedział przestarzały dowcip, a chłopiec śmiał się z zapalem. Kapłan popadł w sentymentalny nastrój. 40 Co za głupcy z tych wieśniaków, rozmyślał. Nawet nie próbują zrozumieć tego dziecka, odtrącili go tylko z powodu koloru skóry, który przecież, choć tak osobliwy, nie sięga zbyt głęboko, cha, cha. On po prostu potrzebuje odpowiedniego traktowania Ś a ja, z moją wiedzą i doświadczeniem, mogę mu to zapewnić. Poza tym żaden inny chłopiec w wiosce nigdy nie zaofiarował mi pomocy ani nie okazywał należytego szacunku, do którego mam prawo. Wkrótce znaleźli się na ostatnim odcinku drogi, wysoko ponad linią drzew, gdzie podejście było wyjątkowo strome i urwiste. Chłopiec, który przez cały czas podtrzymywał kapłana pod ramię, teraz się zatrzymał. Ś Och, ojciec, nie ośmielę się pójść dalej. Jesteśmy zaledwie o parę kroków od boga. Voy znalazł się w kłopotcie. Opierając się na tej silnej, niezmordowanej ręce mógłby dojść na sam szczyt. Ś Nie obawiaj się, chłopcze Ś powiedział wspaniałomyślnie. Ś Jeżeli jesteś z mną, nic ci nie grozi. Kernik podziękował mu wylewnie i widocznie pozbywszy się strachu, pomógł kapłanowi pokonać trudne podejście do miejsca, gdzie stał kamienny postument. Podczas gdy kapłan sapał przyciskając ręce do piersi, Kernik rozglądał się nieznacznie. Góra nie była wysoka, ale ta półka pod samym szczytem, wąska i spłaszczona, wydawała się dotykać nieba Ś bezkresnego nieba, które rzadko bywało błękitne, burzliwego nieba, gdzie kłębiły się wściekle tumany zimnej, białoszarej, porannej mgły, a słońce wyglądało jak otwarta rana. Ze wszystkich stron zbocza opadały stromo kryjąc się w czarno-zielonym sosnowym lesie, daleko w dole widać było dym oznaczający górską wioskę. Przed Kernikiem stał ołtarz, nad którym wznosił się niewielki, z grubsza ociosany posąg ledwie przypominający człowieka lub bośa. Kernik, który zawsze miał nosa do tych rzeczy, wyczuł pustkę panującą na szczycie. Z pewnością owe miejsce nie było zamieszkane ani nawet nawiedzane przez żadną obecność. Na kamiennym stole leżały resztki ofiary z zeszłego miesiąca, ale to kruki i wrony w nich grzebały, nie bóg. Stary Voy szybko wyładował jedzenie z koszyka, odmówił krótką modlitwę, zamachał bezładnie rękami i odwrócił się, wyraźnie zamierzając natychmiast wracać. Ś Bardzo prosty rytuał Ś zauważył Kernik. Ś Czy to jest bóg, ojciec? 41 Ś Szz. Tak. Ś On jest bardzo stary Ś stwierdził Kernik Ś i dość zniszczony. Czy nigdy nie prosi o nic innego prócz chleba i miodu? Kapłan przyjrzał się chłopcu z lekką podejrzliwością, ale Kernik wydawał się prawdziwie zaintrygowany. Ś Na przykład o co? Ś Coś żywego Ś odparł Kernik. Ś Krew.

Kernik sam nie wiedział, jak to się stało, że owa myśl zaświtała mu w głowie. Może już wtedy posiadał jakieś magiczne zdolności, dziedzictwo przodków zza wielkich gór, skąd pochodziła jego matka o szafranowej skórze. W każdym razie nie miał zamiaru zmarnować tej szansy, choć wydawała się tak znikoma i nieprawdopodobna. Po pierwszej wycieczce na górę Takerny Kernik zachował milczenie, ale wiele rozmyślał. Kamienie były bardzo stare, rzeźba jeszcze starsza. Coś się tam pojawiała w czasach, kiedy jeszcze rytuał był potężny i skomplikowany, a ofiara bardziej znacząca. Poszedł z kapłanem tylko po to, żeby wkraść się w jego łaski, ponieważ Voy jako duchowy przywódca wioski mógł się okazać użyteczny w przyszłości. Ale podczas tej wyprawy Kernik odkrył pewną niezmienną prawdę, prawdę starą jak świat. Kapłani głosili, że bogowie stworzyli ludzi, ale mylili się. To ludzie stworzyli bogów, najpierw lepiąc ich z gliny i wykuwając w kamieniu, a po wtóre i najważniejsze Ś wierząc w nich, wierząc w nich ślepo i bezwzględnie. W następnym miesiącu Kernik pojawił się w domu kapłana cztery czy pięć razy. Za każdym razem przynosił coś ze sobą Ś rybę wyłowioną ręką ze strumienia, bochenek, który zwędził z pieca starej kobiecie („Matka myślała, że może potrzebujesz świeżego chleba”), drewno ukradzione z podwórza („Narabiałem dREW dziś rano”). Voy był wzruszony, pochlebiony. Odpowiadał na pytania chłopca; wszystkie dotyczyły teraz kamiennego bożka. Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, kapłan nauczył chłopca rytuału Ś potem pełnego rytuału, starszego od samej wioski, modlitw, których starsuszek ze swoimi skłonnościami do zadyszki nigdy nie pofatygował się odmówić. Pamięć Kernika była jak nóż: przyszpilała fakty i nie pozwalała im uciec. Zapamiętał każde słowo. 42  
1

Kiedy przyszedł dzień następnej wyprawy, Kernik jak poprzednim razem czekał na kapłana przed domem. Razem wspięli się na skalną półkę. Kapłan odklepał modlitwę, wyłożył jedzenie i ruszył w dół. Wtedy Kernik odkrył, że zostawił na górze szalik. Wyjął go, żeby otrzeć twarz po wspinaczce, po czym celowo upuścił go obok świętego kamienia. Błagał o wybaczenie, poprosił, żeby Voy zechciał odpuścić na kamieniu, że to nie potrwa długo, a potem spiesznie zawrócił. Cień przepływającej chmury padł na niego, kiedy samotnie stanął przed ołtarzem. Wówczas coś poczuł albo zdawało mu się, że poczuł: coś czekało. Zbliżył się i spojrzał prosto w niewyraźne oblicze bóstwa. Ś Takerno Ś szepnęła. Ś Czarna Panie, Wielka Panie, Panie Wiatru, Panie Nocy i Ciemności. Oni zapomnieli, ale twój sługa nie zapomniał. Jestem twoim prawdziwym kapłanem. Wrócę tu, aby złożyć ci hołd, na jaki zasługujesz. Ś Potem ukląkł i pokłonił się nisko, dotykając czołem ziemi, a wtedy Ś czyżby to była tylko jego wyobraźnia? Ś powietrze drgnęło, jakby poruszone wielkim, niewidzialnym skrzydłem. Odprowadził kapłana do wioski, pożegnał go z szacunkiem i oznajmił, że teraz musi pomóc swojej dobrej przybranej matce. Lecz zamiast wrócić do domu, pobiegł do lasu na polowanie. Zanim nadszedł wieczór, złapał trzy króliki i zamknął je w małej drewnianej klatce, którą sporządził podczas miesiąca nauki. Potem położył się pod drzewem, zjadł kromkę chleba z kiełbasą, którą ze sobą zabrał, i zdrzemnął się, ponieważ czekała go pracowita noc. O zachodzie słońca był już na nogach i po raz drugi w tym dniu wspinał się na szczyt góry. Mimo całej swojej chudości był silnym chłopcem. Takim uczyniło go życie, które prowadził. Zapadła już ciemność, kiedy dotarł do stromeego podejścia przed ołtarzem, ale zatrzymał się jeszcze, czekając, aż wzejdzie księżyc. Króliki w klatce zachowywały się niespokojnie, jakby odgadywały, biedactwa, co je czeka. Kernik nie zwracał na nie uwagi. Zwierzęta i ludzi traktował z jednakową pogardą. Tylko dla kotów miał coś w rodzaju sympatii: podobała mu się ich niezależność, nie był obojętny na ich wdzięki, ale najbardziej podziwiał ich okrucieństwo. Dawniej łapał czasami myszy i zabawiał się wypuszczając je na jakimś podwórzu, gdzie mogły być koty. Jakież to fascynujące, myślał, ten nieśmiertelny widok kota igrającego z myszą. 43 Wkrótce wzeszedł księżyc, mglisty księżyc o pustych oczach. Kernik podniósł klatkę z królikami i wkroczył do przybytku bóstwa. Rytuał wypowiedany w całości był długi, ale Kernik nie opuścił ani jednej frazy. Podczas gdy planety

zeglowały po niebie, on wypowiadał słowa, wykonywał gesty, potem skłonił się głęboko i ucałował stopy posągu. Na koniec wyjął mały myśliwski nóż, który wcześniej ukradł, i przeciął tętnice na szyjach królików. Trysnęła krew i namaściła posąg boga, gęsta i czarna w świetle księżyca. Ciało Kernik zostawił bogu na pożarcie. Przyklękawszy ponownie twarzą do ołtarza, przemówił: *Ś Wielki Panie Takerno, zrobiłem wszystko tak, jak powinno być zrobione. Wyniosę cię wysoko i znowu uczynię cię bogiem, potężnym bogiem, którego będą czcili i bali się w całym Korkeemie i we wszystkich przyległych krainach. Ale po to, bym mógł tego dokonać, ty w zamian musisz obdarzyć mnie siłą. Dar za dar, o Niezwycięzony. Uczyni mnie władcą ludzi, a ja uczynię cię Królem Ziemi. Cała namiętność Kernika, namiętność chłopca, mężczyzny i bestii drżała w jego głosie. Zdawało się, że sama dusza chłopca, zamieniona w płomień, wyrwa się spomiędzy warg w formie modlitwy. Trząsał się na całym ciele, porwany przez potężną falę mocy zrodzonej z tęsknoty, która wezbrała w jego wnętrzu. A kiedy w bladym, nikłym świetle gwiazd spojrzeł na posąg, wydało mu się, że zamazana twarz boga stała się nieco wyraźniej, nieco lepiej widoczna, jakby opadły z niej lata zniszczeń i powróciła dawna moc. Kernik powlókł się z powrotem do wioski, wyczerpany długą drogą; namiętność pozbawiła go sił. W trzy dni później powrócił. Serce mu zabiło, ponieważ po królikach został tylko kłęb sierści i kości, jaki mogła zostawić sowa. Potem pomyślał, że może ucztował tu jakiś kruk, chociaż to wydawało się nieprawdopodobne. Podchodząc jednak bliżej zobaczył, jak niewiele zostało z jednego kruka, który próbował ukraść ofiarę boga. Kernik rzucił się do stóp posągu w ekstazie radości, triumfu i satysfakcji. Wola Kernika była potężna. Przekonał się o tym. Potęgą swej woli ożywił boga, a bóg objawił się, by go wynagrodzić. Otaczała go boska aura, chroniła boska moc. Dzieci przestały rzucać w niego kamieniami. Wyczuwały jego nowo objawioną siłę i zmykały przed nim nawet wtedy, kiedy spotykały go w licznej gromadzie. 44 .*

Dziwne rzeczy zaczęły się dziać w wiosce. Nikt tego nie rozumiał. Kurczęta wałęsające się po podwórzu nagle przestawały dziobać i wybiegały na drogę, wskakiwały na płoty lub na beczki z deszczówką, jakby gonił je lis. A kto wtedy przechodził w pobliżu, jeśli nie Kernik? Nierządki psy zaczynały szczekać, szarpać się i niemal urywać z łańcuchów, chociaż nikogo przy nich nie było *Ś* prócz Kernika. Młoda dziewczyna kąpiąca się w strumieniu za wioską zobaczyła wodnika, jak cały sinozielony wynurzał się z wody, żeby ją pochwycić, i biegła rozebrana przez wioskę do domu, a za nią szedł Kernik śmiejąc się głośno. Wreszcie mężczyźni zwrócili się do kapłana. *Ś* Co za bzdury wygadujecie o tym dzieciaku. To dobry chłopiec. Ja nie mam z nim kłopotów *Ś* oświadczył Voy. Zauważono, że Kernik często znikał z domu, również w nocy. Odwiedzał boga co pięć dni, jak wymagało stare prawo. Za każdym razem lała się krew. Posąg był teraz czarny i lśniący jak dżet, kontury czyste i wyraźne; nawet róg, który trzymał, i runy wyryte na jego piersi były jak nowe. Potem nadszedł dzień, kiedy sam kapłan miał wyruszyć na górę. Kiedy otworzył drzwi, za progiem czekał na niego żółtoskóry chłopiec, jak przy poprzednich dwóch okazjach. Kapłan, choć nie powiedział tego mężczyznom, którzy przyszli ze skargą, czuł się lekko zirytowany, że w zeszłym miesiącu Kernik ani razu nie przyszedł go odwiedzić. Chłopiec przemówił jednak bez wahania: *Ś* Czcigodny panie, jakże się cieszę, że cię widzę. Nie mogłem do ciebie przyjść, ponieważ moja biedna, droga przybrana matka była chora. *Ś* Nic o tym nie słyszałem *Ś* powiedział kapłan opryskliwie. *Ś* No cóż, sam widzisz, jaka ona jest *Ś* odparł Kernik smutnym głosem *Ś* zawsze lekceważył swoje zdrowie i nikomu się nie poskarżył. Kapłan zmarszczył brwi, wkrótce jednak rozchmurzył się pokonany przez pełną szacunku gorliwość chłopca. Znowu razem wyruszyli w drogę *Ś* Kernik niósł kosz, a kapłan sapiąc opierał się na jego silnym ramieniu. Voy szedł powoli i droga dłużyła się bardziej, niż Kernik był przyzwyczajony, ale na jej końcu czekała nagroda. Wstawał szary, pochmurny świt. Wreszcie wspięli się na skalną półkę, a wówczas kapłan wybałuszył oczy i szczęka mu opadła. *Ś* Jakże... *Ś* wydyszał *Ś* ...jakże, na Matkę... jak to możliwe...? 45 *Ś* Zechciej chwilę poczekać *Ś* powiedział Kernik.

Podszedł do posągu, pokłonił się i ucałował jego splamione krwią stopy. Potem przemówił: *Ś Tym razem to nie jest królik, Czarny Panie. Tym razem, jak widzisz, to jest człowiek. Fałszywy kapłan; ten sam, który zawsze był zbyt leniwy, żeby służyć ci tak, jak powinno ci się służyć. Ś Za jego plecami kapłan zakrztusił się wydając odgłos przypominający skwierczącą świecę, ale Kernik zignorował to i ciągnął donośnym głosem: Ś On jest za duży dla mnie, o Nieogarniony. Z wioską też sobie nie poradzę bez twojej pomocy. Okaż swą moc, o Panie nad Pany. Weź go sam. Ś Po czym przezornie odskoczył na bok i przypadł do kamienistej ziemi. Z początku wydawało się, że nic się nie dzieje. Kernik czuł, że wnętrze zamieniają mu się w kłębowisko zimnych, oślizłych robaków. Zacisnął palce na kamieniach w straszliwym rozczarowaniu. Potem gdzieś w dali z wolna jał narastać dźwięk przypominający ryk nadlatującego smoka, ale dobywał się z wnętrza góry. Dźwięk przybliżał się, potężniał, wypełniał niebo i ziemię; skała wibrowała pod Kernikiem, oczy oparzył mu czarny płomień, czarny jak noc, a jednak oślepiający blaskiem nie do zniesienia. Kiedy Kernik odzyskał wzrok, poczuł, że nozdrza wypełnia mu zapach pieczonego mięsa. Przed ołtarzem płonąła pochodnia, pochodnia wysokości Voya. Kernik schodził z góry. Szedł sam.*

Nad jego głową błyskawice przecinały purpurowe niebo.

U jego stóp wioska w przerażeniu kuliła się wśród sosen.

Psy przemykały się pod ścianami, ptactwo zbijało się w stada. Kobiety wznosiły modły. Nawet domowe demony pochowały się głęboko w fundamentach, skąd dochodziły ich skomlące jęki. Nikt nie wiedział, dlaczego padł na niego taki strach, każdy wiedział tylko, że się boi. A potem Kernik zszedł z góry. Sam. Kernik zatrzymał się w samym środku wioski. Wzniósł do góry kościste, żółte ramiona i roześmiał się złośliwie z czystej satysfakcji. Zwyciężyłem, mówił ten śmiech, więc strzeżcie się! Potem zawołał: *Ś Kapłan nie żyje. Zabrał go Takerna, Czarny Bóg. Ja jestem nowym kapłanem. Chodźcie i przyjrzyjcie mi się. 46 I z jakiegoś powodu wieśniacy, chociaż wcale nie mieli takiego zamiaru, zbiegli się ze wszystkich stron. Krąg ludzi o poszarzałych twarzach wpatrywał się w odrażającego chłopca. Potem któryś z mężczyzn drgnął, po nim drugi, trzeci. Wyciągnęli ręce po kije, noże, topory Ś co tam mieli pod ręką Ś i zaczęli zbliżać się do niego. Więc Kernik stworzył iluzję. Nie pierwszy raz to robił. Był już lis pośród kurcząt, rabuś, na którego czekały psy, wodnik, który przestraszył nagą dziewczynę. Kernik odkrył, że spośród zdolności, którymi obdarzył go bóg ze szczytu góry, ta była najważniejsza, stanowiła najcenniejszy dar. Teraz wykorzystał ją w pełni, zwierając swój umysł jak pięść, aż pot pokrył mu czoło. Oto co ujrzeli wieśniacy: Kernik urósł. Raptem miał osiem stóp wzrostu. Odziany był w purpurę i czerń, w szatę utkaną z barw burzliwego nieba. Zewsząd otaczały go wijące się błyskawice i białe węże, którym z pysków kapał zielony jad. Już sam ten widok był wystarczająco okropny, ale nagle na miejscu Kernika pojawiło się coś jeszcze gorszego Ś ogromny, czarny wilk ze szkarłatnymi oczami, wielki jak koń, z rozwartą paszczą jak czerwona róża najeżona srebrnymi kolcami. Wieśniacy cofnęli się i padli na kolana. Mężczyźni wypuścili z rąk zaimprovizowaną broń, kobiety błagały o litość, psy skomlały żałośnie. Dla Kernika była to chwila całkowitego triumfu nad wieśniakami, jego zemsta za wszystkie obelgi, szyderstwa i obrzucanie kamieniami, a także za to, co było najgorsze ze wszystkiego, nie do wybaczenia: za ich żądanie, żeby stał się taki sam jak oni. Kiedy obrócił ciężki, kudłaty wilczy łeb w stronę swojej przybranej matki, tej, która go przysparzała i żywiła, warknął i płonąca ślina pociekła mu z paszczy. Serce starej kobiety nie wytrzymało; upadła i skonała w parę chwil, a Kernik triumfował. Duch lasów mimo wszystko nie okazał się dla niej łaskawy. Moc Kernika nie rozwinęła się jeszcze w pełni. Podtrzymywanie iluzji przez dłuższy czas stanowiło dla niego wielki wysiłek. Toteż kiedy się przekonał, że doprowadził wieśniaków tam, gdzie chciał, pozwolił czarom zniknąć i powrócił do swej prawdziwej postaci. Ś Widzicie teraz Ś oznajmił Ś co możemy ja i mój pan Takerna. Róbcie więc to, co wam każę. Zrozumiano? Nikt nie odpowiedział, ale też nikt się nie sprzeciwił. Kernik i jego bóg przejęli władzę. 47 W dzieciństwie,*

kiedy Kernik szantażował mężczyzn, którzy odwiedzali jego matkę Ś nierządnicę o szafranowej skórze Ś wyznaczał im dziwaczne, bezsensowne zadania, mające jedynie symbolizować jego władzę. Teraz, w wieku trzynastu lat, wydawał wieśniakom polecenia równie dziwaczne i niezrozumiałe, ale już nie bezsensowne, o nie. Zmartwychwstanie boga świętowano teraz co trzeci dzień. W pozostałe dni mężczyźni z wioski zastawiali w lesie sidła, łapiąc w nie różne leśne stworzenia przeznaczone na ofiarę, oraz warzyli piwo, które później zanosili na górę i wypijali przed obliczem Takerny. Takerna bowiem Ś czy może Kernik? Ś upodobał sobie ciemne sprawy: gwałtowne uczucia i mroczne namiętności. Początkowo wieśniacy byli urażeni i pełni obawy. Potem ich nogi przywykły do wspinaczki, ich dusze Ś zmuszone przez brutalną konieczność Ś przywykły do obfitego rozlewu krwi, a żołądki przyzwyczały się do mocnych trunków. Nie wszystkim, ale wielu przypadł do gustu ów nowy, osobliwy tryb życia. Czyż ta trzecia noc nie była wspaniała? Tam, na polance przed ołtarzem, za sprawą Kernika lub boga czuli, że to było wspaniałe Ś grzeszne, rozkoszne, podniecające. Monotonna, odwieczna rutyna rządziła ich życiem od narodzin aż do śmierci, tego bowiem wymagała reguła przetrwania. Las, pory roku, rośliny i zwierzęta, gospodarstwa i żony trzymały ich w niewoli. Tam zaś, na górze, radośnie zrzucali z siebie jarzmo. Wkrótce pijackie tańce pod okiem bóstwa przeradzały się w orgie. Kobiety jęcząc z pożądania padały w ramiona mężczyzn Ś jakichkolwiek mężczyzn Ś mężów i synów innych kobiet, a nawet własnych ojców, synów i braci. To nie miało znaczenia. Służyli Takernie, a on wybaczał wszystko, cieszył się z każdego występku. W zamian zsyłał im piękną pogodę, obfite zbiory, ryby w strumieniu, piwo i uciechy nierządu Ś wszystko to były jego szczodre dary. Takerna był bogiem, a Kernik Ś jego prorokiem. Napotkawszy Kernika na drodze wieśniacy kłaniali mu się, jak poprzednio kłaniali się kapłanowi. Był przeklęty i błogosławiony. Znosili mu dary Ś jedzenie, nową odzież Ś a on prowadził ich na górę. Trwało to przez cały rok. Potem przyszedł nieurodzaj. Musiało do tego dojść, skoro wieśniacy zamiast orać ziemię myśleli tylko o czekających ich pijackich rozkoszach lub odpoczywali po zabawie; nie zginali już grzbietów w ciężkiej pracy jak niegdyś. Kury i kozy wyzdychały Ś nawiedziła je zaraza. Od tej samej zarazy umierały dzieci. Nastąpił mróz i śnieg okrył górę. Kiedy głód zajął w oczy wieśniakom, zaczęli wspominać 48 lepsze czasy, tęsknić za ciepłym kątem i pełnym brzuchem, opłakiwać dawnych bogów Ś łagodnych, niewymagających bogów, którzy zadowalali się kawałkiem chleba i krótką modlitwą. Przyszli więc do Kernika, który mieszkał samotnie w domu starej kobiety. Weszli do środka niechętnie, popatrując na niego spode łba. Izbę wypełniały klatki ze zwierzętami, najlepsze sery i kołaczki Ś dary mieszkańców wioski Ś i obecność Kernika czy też boga. Kernik znał radę na ich kłopoty. Muszą ofiarować bogu coś więcej niż krew królików i rozpustne obrzędy, a wtedy bóg znowu im pomoże. Czego żądał bóg? Kernik będzie musiał go o to zapytać. Teraz idźcie, a za godzinę przyjdźcie po odpowiedź. Okazało się, że Takerna żądał ofiary z dziewicy, która miałaby być zabita na jego ołtarzu. W owym czasie imiona Kernika i Takerny stały się już dla wieśniaków jednym, i nie tylko imiona. Obaj Ś posąg i żółtoskóry chłopiec Ś współdziałali ze sobą i żaden nie mógł istnieć bez drugiego. Bóg potrzebował Kernika, by nie zgasła jego ciemna moc. Kernik potrzebował boga, by nie zgasła ciemna moc w nim samym. Tak więc obaj mieli te same cele i pragnienia. Jeśli Kernik żądał ofiary, to żądał jej również bóg. Ale tym razem bóg podsunął chłopcu ten pomysł. Kernik nie odczuwał żadnego pociągu do kobiet. Był niedojrzały fizycznie i taki już miał pozostać. W swoim czasie jego umysł pochłoniął całą ogromną, nie wykorzystaną energię płynącą z lędźwi i na zawsze przeznaczył ją do innych zadań. Na kobiety Kernik spoglądał z pełną fascynacją odrazą Ś ponieważ tak się od niego różniły. Tylko śmierć i zabijanie dawały mu rozkosz; nie była to rozkosz zmysłowa, ale bezgraniczna ekstaza wypełniająca po brzegi jego okrutną duszę. Wiedział, że w chwili, gdy jego nóż pograży się w ciele dziewczyny, przeżyje prawdziwy orgazm, orgazm całkowitej dominacji. Przekazał wieśniakom odpowiedź boga, stojąc na pokrytej szronem drodze i wykorzystując całą swoją zdolność stwarzania iluzji. Śpiewał,



deklował i hipnotyzował ich, aż się zgodzili. Mieli wybrać dziewczynę przez losowanie. Przyglądał się temu zachłannie, czując, jak ślina napływa mu do ust. Rozległ się krzyk, matka upadła z płaczem na ziemię. Wyprowadzono córkę, białą jak płótno, z pociemniałymi oczami. Przyszła noc i Kernik powiódł wieśniaków na górę Takerny. Pochodnie płonęły jak czerwone kwiaty, barwiąc śnieg pod stopami. 4 Czarnoksiężnik<sup>49</sup> Podeszli do ołtarza i położyli na nim dziewczynę. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, tylko obracała głowę z boku na bok, jakby usiłując przebudzić się z koszmarne go snu. Mężczyźni przytrzymali ją za ręce. Pochodnie zaskwierczały. Wszedł księżyc. Kernik stanął nad dziewczyną ze wzniesionym nożem, przemawiając do bóstwa cichym, pełnym miłości głosem. I wtedy to się stało. Nikt się niczego nie spodziewał. Wystarczyła zaledwie chwilka, żeby runęło królestwo Kernika. Był pewien młody człowiek zaręczony z dziewczyną. Przed trzema laty rzucał w Kernika kamieniami i mimo wszystkich czarów nie zapomniał do końca o nienawiści, jaką niegdyś darzył żółtoskórego chłopca o posępnym wejrzeniu. Teraz miłość i strach o dziewczynę wybuchły w nim całą niepowstrzymaną siłą młodzieńczych uczuć. Z chrapliwym krzykiem rzucił się pomiędzy pochodnie, przeskoczył ołtarz i chwycił Kernika za rękę, w której tamten trzymał nóż. Kernik, twardy jak rzemień mimo niepozornego wyglądu, wykręcał się i wił w uścisku, ale nie zdołał się uwolnić. Tuż przedtem, zanim trzasnął mu nadgarstek, puścił nóż i wyciągnął ręce do czarnego kamienia, który był bogiem. Po posągu pełzały czerwone, diabelskie odblaski, jaśniejsze od światła pochodni. Spod ziemi dobiegało głucho dudnienie. Ś O Wielki Panie... Ś zaczął Kernik, ale nie dane mu było dokończyć. Twarz młodego człowieka wypełniało obłędne przerażenie i narastająca furia. Wyglądał jak zwierzę zapędzone w pułapkę, które warcząc rzuca się prosto na włócznie myśliwców i wyszczerzone zęby psów... Odepchnął Kernika, dopadł do posągu i porwał go w ramiona. Rzeźba nie była połączona z ołtarzem i choć ciężka, dawała się poruszyć. Młodzieniec zatoczył się do tyłu, mocując się z kamieniem, jak gdyby walczył z żywym przeciwnikiem. Wydał zwycięski okrzyk, płomień pochodni rozblysnął w jego oczach. Wymówił imię dziewczyny, a ona usiadła na ołtarzu i popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Tłum wstrzymał oddech. Tylko Kernik krzyknął Ś nieartykułowany, zwierzęcy wrzask, który przeklinał i błagał równocześnie. Teraz młodzieniec odwracał się, odwracał się w stronę przepaści, gdzie zbrocze opadało stromym uskokiem, najeżone ostrymi głazami, straszące zawrotną wysokością... Podniósł posąg w górę. Zamierzał zrzucić go ze skały. Dziewczyna krzyknęła wysokim, przenikliwym, ptasim głosem. 50 Posąg runął w dół. Spadał.

Razem z nim spadał młodzieniec. Nie wydał żadnego odgłosu. Jeszcze przez chwilę widać było jego przeraźliwie białą twarz i przeraźliwie czerwone oczy. Z całych sił przyciskał posąg do piersi. Daleko w dole, pośród ciemnych, wyniosłych sosen widniał wielki, odkryty pokład kamienia. Tam roztrzaskał się posąg wraz z młodzieńcem. Nastąpił wstrząs i ogłuszający huk. Na czarnym niebie eksplodowały czarne gwiazdy. Odłamki kamienia wystrzeliły w górę i spadały na ziemię jak grad. Wieśniacy upadli na twarze osłaniając głowy rękoma. We wnętrzu góry przetoczył się grzmot i ucichł. I wszędzie zapanowała głęboka cisza, jakiś bezmierny spokój. Powietrze było nieruchome i martwe, jakby jakaś żywa, wibrująca obecność odeszła stąd na zawsze. Kernik szlochał rozciągnięty na ziemi przed ołtarzem, z którego uciekła dziewczyna. Płakał nad swoim osamotnieniem i pustką, którą wyczuwał każdym nerwem ciała. Z niego też uchodziło życie. Krew stygła mu w żyłach, szpik tężał w kościach. Bóg umarł, a moc Kernika umarła razem z nim. Potem w martwej ciszy, która okryła całą górę szczelnym kloszem, nad Kernikiem wyrosła jakaś postać, wiotka i blada jak dym Ś jego niedoszła ofiara, dziewczyna, dla której oddał życie młodzieniec. Dziewczyna znajdowała się w owym niezwykłym stanie kontrolowanej histerii, jaki zazwyczaj poprzedza kolejny wybuch rozpacz y. Wyciągniętą ręką wskazała Kernika, który leżał wstrząsany płaczem, bezradny, odarty ze swej chwały. Ś Ty też umieraj Ś wyszeptała. Ś Plugastwo. Diabeł. Jeden po drugim mężczyźni i kobiety podnosili

się z ziemi, z twarzami pozbawionymi kolorów, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Teraz zrozumieli, jak zostali oszukani. Zapomnieli o swoich grzesznych przyjemnościach, pamiętali tylko ostateczny wynik – puste spiżarnie, umierające dzieci, ostre kły mrozu kłuszące ich ciała. Opadło z nich zaklęcie, a pragnienie zemsty rozpaliło zastygłą krew. Ręce wyciągnęły się po kamienie, ujęły rękojeści noży, jak poprzednim razem. Teraz jednak Kernik nie mógł przywołać iluzji, aby okryć swą nagość. Ocaliła go tylko własna szybkość i zwinność, drobne, giętkie ciało i stopy równie chwytny jak dłonie. Zbiegł z góry. Uciekał przez wioskę. Wieśniacy ścigali go zaciekle, ślizgając się i potykając na kamieniach i śniegu, a pochodnie w ich dłoniach zamieniały się w rozmażane plamy purpury i srebra.

4\*51 Kernik dobiegł do lasu i wpadł pomiędzy drzewa. W piersi paliło go żywym ogniem, ale nogi niosły dalej, jakby obdarzone własną wolą. Od czasu do czasu widział z daleka światło pochodni myszkujejące wśród drzew, słyszał nawoływania i dźwięczne ujadanie psów. Znalazł szeroki, częściowo zamrożony strumień i pobrnał jego korytem, rozbijając lód rękami i nogami; chyba udało mu się zmylić trop, ponieważ głosy psów ucichły w oddali. Zdawało mu się, że idzie tak przez całą noc. Przed świtem, powłócząc nogami, wędrował ponurą krainą wśród wysokich pni drzew, ze szklistym spojrzeniem, językiem wywieszonym jak u wilka i śliną ciekącą z otwartych ust. Tutaj las się przerzedzał, ale Kernik ledwie to zauważył. Skalna ściana, czarny otwór – kryjówek. Wczołgał się do niej, upadł na twarz i znieruchomiał. Myśliwi nie znaleźli go tego dnia ani następnego, ani później, chociaż szukali jeszcze przez parę dni. Wieś czuła, że spadło na nią przekleństwo. Powróciło, żeby dokonać swego dzieła wdzięku jakiejś obłąkanej pokuty. Dziewczyna – niedoszła ofiara Kernika – powiesiła się. Potem znowu spadł śnieg, ów biały, nieproszony gość, i wielu umarło z głodu lub z zimna. Góra stała się miejscem o złej sławie; nie odwiedzał jej nikt, tylko sosny jęczały na wietrze.

7.

Kernik leżał w jaskini przez cały dzień i przez całą noc. Kiedy wreszcie wyszedł na zewnątrz, wygłodzony i zeszywniały, w bladym, zimowym słońcu rozpostarła się przed nim ogromna biała równina. Wszystko okrywała cienka warstewka śniegu, przypominająca nalot soli. Kernik roztarł ręce dla rozgrzewki. Później schwytał nieostrożnego królika; zrobił to swoim starym sposobem – niczym kot – i zjadł go jak dawniej: na surowo, wypluwając futro i kości. Z łatwością odnalazł w sobie dawne nawyki, owe niebezpieczne umiejętności, których wyuczył się w lesie, kiedy miał dziesięć lat. Ale nie było powrotu do przeszłości. Poznał czarodziejską moc i upił się nią jak winem. Miał teraz czternaście lat, ale wyglądał na więcej. Marzenia wydobyte na światło dzienne jak obnażone, poszarpane nerwy torturowały jego serce nieustającym bólem. Nie było przed nimi ucieczki. Czasami gryzł własne ciało, żeby odpędzić te wspomnienia.

52 Całą zimę przeżył na równinie. Chwytał i zjadał różne zwierzęta, a z ich skór sporządził sobie odzienie. Znalazł inną jaskinię. Mieszkał tam jak wilk, bez ognia, i na podobieństwo wilka, okryty skórami pomordowanych zwierząt, miażdżył kości spiczastymi zębami. Nastąpiła wiosna, lekka i jasna jak zielony płomień. Kernik nie zwracał uwagi na wiosnę ani na kwiaty, które jak złote gwiazdy zakwitły wokół wejścia do jego skalnej kryjówki. Wyruszył w drogę, zmierzając do odległego łańcucha wzgórz. Wkrótce zrobiło się tak ciepło, że mógł sypiać na trawie pośród złotych gwiazd, ze srebrnymi gwiazdami nad głową. Potem trafił do obozowiska złodziei. Oczywiście nie wiedział, że to byli złodzieje. Zobaczył dwa brązowe namioty, pięć uwiązanych kuców, ognisko, nad którym obracał się rożen z pieczenia. Był wczesny zmierzch; miękki, przejrzysty półmrok okrywał ziemię. Zapach pieczonego mięsiva podrażnił nozdrza Kernika, który przywykł do dobrego jedzenia mieszkając w górskiej wiosce. Miał zamiar coś ukraść, ale nie dotarł daleko. Złodzieje, wierni zasadom swego rzemiosła, wystawili czaty. Kernika natychmiast odkryto, złapano i sprowadzono na dół. Nie protestował.

Nauczył się paru rzeczy Ś przezorności, schlebiana. Z drugiego namiotu wyszedł ogromny mężczyzna. Był niezwykle gruby, a przy tym silny jak wół. Miał kędzierzawe brwi i wąsy, grube wargi i fałszywy srebrny kolczyk w jednym uchu. Kernik odgadł, że ma przed sobą przywódcę bandy. Pokłonił się. Herszt się roześmiał. Spodobał mu się Kernik Ś mały, żylasty, złośliwy; dostatecznie chudy, żeby przecisnąć się przez najwęższe okno. Przez całe pięć lat Kernik włóczył się z bandą złodziei, przemierzając wzdłuż i wszerz Równinę Yolkyanu. Przybrał nowe, bardziej odpowiednie imię, tak jak poprzednio wziął imię od czarnego boga. Teraz nazywał się Volk. Nosił włosy splecione w warkocz, podobnie jak czterej pozostali członkowie bandy, i sprawił sobie miedziany kolczyk. Zaspokajał wszystkie swoje mroczne namiętności Ś pociąg do zabijania i zadawania bólu, zamiłowanie do okrutnych żartów, pogardę dla całej ludzkości, żądze bogactwa Ś wszystkie prócz jednej. Herszt ufał mu i często powierzał dowództwo nad bandą, podczas gdy sam popijał lub zabawiał się z kobietami. Kernik-Volk był sprytny i przebiegły; mówił mało; tajemne, długo tłumione pragnienie wycisnęło na nim swoje piętno. 53 Och, tak, ohydny szczur bezustannie kasał jego serce. Niegdyś był pomazańcem boga. Niegdyś był prorokiem, wyniesionym nad innych ludzi, wilkiem, diabłem, czarownikiem i mistrzem iluzji. Myślał o tym, kiedy zabijał. Nóż przemawiał za niego. Mordując kupców, żołnierzy i niemądre, gadatliwe dziewczki, zabijał w nich wciąż na nowo chłopca, który dawno temu skoczył w przepaść z posągami w ramionach. I tak Kernik odkrył, że nie odnajduje już w zabijaniu radości ani zaspokojenia. Chciał zabijać, ale nie do końca Ś i nie miał już żadnej mocy, żadnej siły. W miastach widywał niekiedy świątynie wielu bogów, ale nigdzie nie spotkał czarnego boga, swego opiekuna. W ciągu tych pięciu lat niejeden raz czuwał do późnej nocy, w ponurych ciemnościach walcząc o odzyskanie utraconej mocy. Ale bez boga jego wysiłki były daremne. W ten sposób nauczył się nowej lekcji: nauczył się, jak dźwigać ciężar nie do zniesienia. Czekająca go jeszcze inna lekcja. Na równinach Yolkyanu wznosiło się ogromne miasto, miasto z kamienia, rozłożone na brzegu rzeki zwanej Wielką. Miasto nazywało się Svatza. Rano, w południe i wieczorem z wież jego trzech świątyń rozlegało się bicie dzwonów; mieszkał tam również pewien bardzo bogaty człowiek, któremu złodzieje od dawna zamierzali złożyć wizytę. Szczęście nie może trwać wiecznie. Kapryśna bogini, Pani Fortuna, na koniec pozbawiała ich swych łask. Bogaty człowiek wyczuł, co się święci, i zastawił pułapkę. W walce zginęli czterej członkowie bandy, herszta zaś powieszono na miejskim rynku w samo południe, przy dźwięku dzwonów. Kernik-Volk został skazany na inny, dłuższy rodzaj śmierci. Wtracono go do słynnych lochów Svatzy, czarnych jak smoła, zalanych wodą kanałów, położonych poniżej koryta rzeki; rzadko ktoś stamtąd wracał, a ci, co powrócili, mieli członki bez czucia jak drewno i mózgi zamienione w gąbki nasiąknięte wodą. Niewiele światła docierało do lochów Svatzy, tyle zaledwie, ile potrzebowały do życia szczury o ciemnym pigmentem i żaby-albinosy. Miejscami woda była głęboka na trzy stopy i więcej. Nie dochodził tu dźwięk dzwonów, słychać było tylko bezustanny szum i kapanie wody. Z początku te odgłosy wydawały się przesączać do mózgu. Później już się ich nie słyszało. Więzienie było podzielone na prymitywne cele, byle jak wygrzebane w nadbrzeżnym mule i podparte zardzewiałymi żelaznymi słupami-54 mi. Czasami ściana osiadała, grzebiąc pod sobą wrzeszczących ludzi i uciszając ich na zawsze. Co czternaście dni żołnierze gubernatora zjawiali się w lochach Svatzy i przechodzili między celami, rzucając więźniom stęchły chleb i na wpół zgniłe ochłapy mięsa. Więźniowie pili wodę zbierającą się w zagłębieniach ścian. Często chorowali i umierali; często też wariowali. Nieszczęśnicy, o których świat zapomniał, oślepli, o skórze białej jak kreda, siedzieli po kątach, śpiewając lub mamrocząc coś do siebie. Przez pierwsze trzy dni zamknięty w celi Kernik szalał. Przebywając z bandytami i nożownikami zaraził się ich gwałtownym usposobieniem. Walił pięściami w ściany i wrzeszczał, a zewsząd odpowiadał mu stłumiony pomruk rozpaczony i nienawiści, równie mało przypominający ludzkie głosy jak bełkot rzeki. Na koniec Kernik się uspokoił. Przygniatająca cisza tego żywego grobu z

wolna, podstępnie zawładnęła jego duszą. Potem zobaczył fosforyzującą żabę, która przycupnęła pod przeciwległą ścianą, i od razu zapomniał o wszystkim. Sprężył się i skoczył. Był tak szybki, że udało mu się schwycić żabę. Wkrótce pożarł łapczywie gorzkie mięso, pomimo obrzydliwego zapachu bardziej pożywne od ochłapów rzucanych przez żołnierzy. Potem złapał następne żaby. Kernik powrócił do dawnego trybu życia. Szum wody nie przytępił jego zmysłów, tylko je uspił. Kernik stał się blady i milczący. Stopniowo zaczął odkrywać w głębinach swej duszy własne królestwo. Wędrował po niezbadanych ścieżkach swego umysłu równie niestrudzenie, jak dawniej wędrował po ziemi. Odmawiał też modlitwy, długie, długie modlitwy. Powtarzał słowa magicznego rytuału, które wypowiadał przed bogiem góry. „Takerno, mój Mistrzu i Panie, ratuj mnie, pomóż mi, a znów staniemy się jednym, znów będziemy rządzić, ty i ja.” W głębi serca nie miał żadnej nadziei. Wypełniał tylko zwykły rytuał, będący wytworem szalonego, całkowicie odciętego od świata umysłu. Czas mijał. Długi czas. Lata. Może dziesięć, może dwadzieścia. W więzieniu łatwo stracić rachubę czasu, zwłaszcza w podziemnym więzieniu Svatzy. Człowiek starzeje się, choćby na początku był nie wiedzieć jak młody; starzeje się nieprawdopodobnie szybko. Skóra się marszczy, kości się krzywią, ciało obwisa jak łachman. Starość to ruina ciała i znużenie ducha. Więzienie Svatzy przyspieszało oba te 55 procesy. Teraz już nie można było dokładnie określić, ile lat ma Kernik. Kernik-prorok, Kernik-złodziej, Kernik Volk, zjadacz żab, odpra-wiacz modłów. Jego żółta skóra zbielała jak martwa kora osiki. Paznokcie urosły, stały się długie i czarne. Skazany na samotność, zamknął się w sobie i Ś przeżył. Poznał samego siebie tak, jak niewielu zostało to dane. Pewnego dnia drzwi jego celi stanęły otworem. Tak po prostu. Światło pochodni poraziło mu oczy. Ś Wstawaj, łajdaku! Ś krzyknął jeden z żołnierzy; do tego czasu Kernik zdażył już dobrze poznać ich głosy. Wstał. Ś Widzisz, panie nadzorco Ś ciągnął głos z dumą i satysfakcją Ś czyż nie mówiłem, że jest silny i twardy? Matka Ziemia tylko wie, od jak dawna tu siedzi, a jednak wciąż rozumie rozkazy, a jego członki pozostały całkiem sprawne. Ty, otwórz usta, pan nadzorca chce zobaczyć twoje zęby. Spójrz, panie, zachował wszystkie. Zdobywa świeże mięso. Łapie szcury i zjada je, sam widziałem. Szybki jest jak kot. A nie mówiłem? Kernik, oślepiiony przez łzy płynące mu z oczu, dostrzegł obok sylwetki żołnierza niewyraźny cień, który skinął głową. Ś Wychodzić Ś powiedział żołnierz. Ś Tak, ty. Szybko, zanim się rozmyślę. Okazało się, że stary książę Korkeemu umarł i w Arkev włada nowy książę. Nowy książę zamierzał dobudować do swego pałacu trzy wieże z białego kamienia, a pokłady tego kamienia znajdowały się na równinie Yolkyanu na zachód od Svatzy, pośród wzgórz. Była to płaska, smagana wiatrem wyżyna. Bloki twardego kamienia, spiętrzone w strome zbocza, tkwiły pomiędzy warstwami bardziej kruchego materiału. Praca była ciężka, klimat okrutny. Ludzie spadali z chwiejnych rusztowań, a ci, co tego uniknęli, dławili się delikatnym, białym, zalepiającym płuca pyłem, który buchał ze ścian kamieniołomu za każdym uderzeniem kilofa. Do tej pracy wysyłano tylko przestępców i niewolników Ś bezwartościowy osad społeczeństwa Ś wybierając najsilniejszych spośród nich. Niektórzy przeżywali w kamieniołomach do dwóch lat, pod koniec plując różową flegmą; słabsi nie przeżywali nawet dwóch miesięcy. Kernik, złodziej, który wytrzymał więzienie Svatzy, był idealnym kandydatem. Gdy wywleczono go z lochu w oślepiający blask słońca, słońca, którego nie widział od niezliczonych lat, świat postrzegany przez 56 jego oczy cały był jednym drgającym, nieznośnie jaskrawym płomieniem. . Skuty łańcuchem z pięćdziesięcioma innymi ludźmi, noga przy nodze, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, został wyprowadzony z miasta. Wędrował szerokim gościńcem i wąską, wyboistą dróżką, przechodził w bród spienioną rzekę. Tęsknił za nocą, za odpoczynkiem dla oczu. Przebywanie na świeżym powietrzu jeszcze go nie cieszyło. Rany od łańcuchów, rany na twarzy wyżarte przez wodę płynącą z oczu i z nozdrzy. Raz dziennie kromka chleba. Żadnych szans, żeby coś złapać, z powodu łańcuchów. Pogrążony w otchłani samotnej, bezbrzeżnej, oszalamiającej rozpaczy. Postrzegający jedynie swój własny, wewnętrzny świat, pocieszający się własnymi

myślami, nadśluchujący chłodnego, czystego głosu, który przemawiał doń łagodnie jak do dziecka. Dotarli do kamieniołomów. Wzgórza, niemal całkowicie odarte z zieleni, przypominały barwą zimowy pejzaż pozbawiony śniegu. Z szarego, nieprzyjemnego nieba opadała biała mgła, miękka jak łabędzi puch, otulając ludzi. Kawałek czarnego chleba, kubek wody. Zdjęcie łańcuchów. Wreszcie każdy został uwolniony od swego towarzysza, spętany tylko linką przewleczoną przez obręcze na kostkach nóg, dostatecznie luźną, żeby umożliwić chodzenie, na tyle krótka, żeby uniemożliwić ucieczkę. Kernik położył się na brzuchu. Wzrok już mu się poprawił. Wysoko na bezdrzewnym zboczach dostrzegł w trawie jakieś poruszenie. Króliki? Żołnierze jedli wołową pieczeń i pili czerwone wino. Kernik jał cał po calu przesuwać się w górę. Linka nie robiła hałasu, to dobrze. Na wzgórzu stał kamień wysoki na jakieś dwie stopy, czarny kamień o dziwnym wyglądzie. Jeśli zdoła do niego dotrzeć, kamień skryje go częściowo przed wzrokiem żołnierzy. Tam będzie mógł zaczekać, dopóki króliki znowu się nie pokażą. Kernik dotarł do kamienia. Dotarł do swego przeznaczenia i przez chwilę nie zdawał sobie z tego sprawy. Potem w jego głowie rozległ się szum. Głos przemówił do niego. „Spójrz.” Kernik spojrzał w górę. Kamienna ręka trzymała kamienny róg, a nad nią widniała twarz o okrutnych, sępich rysach, czarna jak dżet, znajoma i ukochana jak tkliwe oblicze matki. Kernik padł na ziemię obejmując stopy bóstwa. Załkał; dygotał całym ciałem; ale wypłakał już wcześniej wszystkie łzy i jego oczy pozostały suche. 57 Ś Takerno, Takerno, mój panie, mój ukochany mistrzu, nieśmiertelny czarny władco, odpowiedz na moje modlitwy. Tym razem nie było żadnego rytuału, żadnych ustalonych form, tylko czyste uniesienie wylewające się z niego potokiem niepowstrzymanych słów. Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony pomruk. Naraz piekący ból rozdarł mu plecy. Ś Wstawaj! Zabierz ręce! Ś Kernik przetoczył się na grzbiet i stanął na drżących nogach. Bicz owinał mu się wokół ramion jak wąż, nadzorca patrzył na niego szczerząc zęby. Ś Pobożniś z ciebie, co? Modlisz się? Niedługo już będziesz miał się o co modlić. Ś Takerna Ś wyszeptał Kernik zwracając się do boga, ale nadzorca usłyszał. Ś Z dzikich okolic przyszło to imię. Dowiedz się, prostaku, że ten niepozorny jegomość ma równie niepozorny kącik w Arkev dla swoich prymitywnych i dzikich przymiotów. Wątpię jednak, czy książę o nim pamięta. Słońce, Księżyc i Gwiazdy są bogami w miastach. W Arkev jest świątynia ze złotym dachem poświęcona Słońcu i w południe można zobaczyć, jak rydwan boga odpoczywa na samym szczycie najwyższej wieży. Chociaż ty i tak nigdy tego nie ujrzysz, nędzniku. Ś Takerna Ś powtórzył Kernik. Ś Nie Ś zaprzeczył nadzorca. Ś Sovan, tak go nazywają w mieście księcia. Sovan Tovannazit. Wielkie imię dla takiego ladaco. A teraz złaż z tego przeklętego wzgórza, chytrusie, zanim cię obedrę ze skóry. Kernik wykonał rozkaz. Potykał się idąc, a kiedy upadł, nadzorca dla zabawy śmignął go batem. Kernik czuł, że otacza go jakaś dziwna, czarna aureola, promieniująca ciepłem silniejszym od ciepła słońca, czarne światło, które nie raziło jego oczu Ś obecność boga. Nawet tutaj, w swoim drugim wcieleniu i pod innym imieniem, Takerna mimo wszystko pamiętał swego kapłana. Kernik został odprowadzony na miejsce i wkrótce potem wraz z innymi zanurzył się w białą mgłę zalegającą nad kamieniołomem. Z pasją wymachiwał kilofem, jakby nagle zapałał miłością do białego kamienia i zapragnął go uwolnić. Słońce stało nisko, bursztynowe cienie kładły się na wzgórzach, wieczorny wiatr kasał przez odzież ostrymi zębami. Kernik również szczerzył zęby w uśmiechu. Rozkoszne, elektryzujące prądy podniecenia przenikały jego zmaltretowane ciało i kołły ból zranionego serca. Tuż przed zachodem słońca odwrócił się do swojego sąsiada, krzepkiego osiłka o gęsto owłosionym ciele. Patrzył na niego i myślał. 58 Zwarł swój umysł jak pięść, podobnie jak czynił przedtem, i poczuł obecność boga narastającą w nim i wokół niego. Włochaty mężczyzna wrzasnął i odskoczył na bok, jego zamglone bólem oczy w jednej chwili napełniły się trwogą. Kernik sprawił, że ów człowiek zobaczył w skalnej ścianie coś, czego nie powinno tam być, może paszczę smoka albo drapieżną bestię szykującą się do skoku. Bliskość Takerny ożywiła na nowo moc. Kernik odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie obłąkańczy wrzask furii i radości. Bat opadł na

jego plecy raz, drugi, trzeci. Nie dbał o to. Wkrótce zapadnie noc. Noc, czarna wdowa, nadeszła krocząc po wzgórzach. W barakach mężczyźni, chwilowo uwolnieni od harówki, trzęsąc się z zimna i przeklinając zapadali w ciężki sen. Kernik czuwał. Jego oczy jarzyły się słabą, czerwonawą, zwierzęcą poświatą jak dogasające węgle. Bardzo dobrze widział w ciemnościach. Przed wejściem siedziało dwóch żołnierzy grając w kości. Kernik wpatrzył się w nich intensywnie. Nagle żołnierze zerwali się na nogi, zasalutowali i odbiegli. Zdawało im się, że zobaczyli oficera i otrzymali rozkaz. Teraz wejście do baraku było puste. Kernik wymknął się na zewnątrz. Poruszał się jak cień, a wschodzący księżyc przydawał mu drugi cień, kładący się na nierównym gruncie. Łatwo było wspiać się po kryjomu na wzgórze, pozostawiając za sobą kamieniołomy i wielki, jasno oświetlony dom, gdzie mieszkali żołnierze. Dotarł do posągu, upadł mu do stóp i przycisnął wargi do kamienia. Potem ukląkł i począł recytować słowa starożytnego rytuału, nie opuszczając ani jednego. Przybył w chwili, kiedy ofiara miała się spełnić. Wyczuwał pod palcami oczekiwanie kamienia. Nie przyniósł żadnego stworzenia, które mógłby zabić, ale to nie miało znaczenia. Wiedział, czego potrzebuje, żeby rzucić ostateczny czar, który nieodwołalnie zwiąże go z bogiem Ś przedtem był zbyt niecierpliwy, zbyt niedoświadczony, żeby to zrozumieć. Krew, którą rozleje, musi być jego własną krwią; musi złożyć w ofierze siebie samego. Instynkt podpowiadał mu, że ta śmierć nie będzie naprawdę śmiercią, że to, co leży po drugiej stronie, okaże się spełnieniem, celem, do którego dążył od dawna. Nie mógł zdobyć żadnego ostrego narzędzia, jako że całą broń 59 trzymano z daleka od niewolników. Słusznym było jednak, aby jakiś dziki, brutalny akt przypieczętował ofiarę. Nie zwracał uwagi na ból, kiedy przegryzał sobie arterię w przegubie ręki, podobnie jak wilk odgryza sobie łapę, żeby się uwolnić z potrzasku. Ból nic nie znaczył. Krew sama trysnęła na posąg bóstwa i wszystko odplynęło. Kernik leżał w ciemnościach. Szarpały go ogniste szpony, kasał go srebrny dziób, ale dziób i szpony szarpały i darły jakby z miłością, a on z miłością się temu poddawał. Potem przyszły kolory i sny, i wielki wiatr przelatujący przez skorupę jego ciała, więc wiedział, że jest pusty. Na końcu przyszedł bóg. Tego nie dało się opisać słowami. Kiedy otworzył oczy, wschodziło słońce. Brzydkie wzgórze połyskiwało gdzieś tam przelotnym blaskiem, jakby w ziemi tkwiły żyły złota. Kernik wstał, przeciągnął się, popatrzył prosto w słońce, jak może patrzeć tylko orzeł. Czuł moc. Och, tak, czuł ją. Nie okrywała go jak przedtem, ale stanowiła część jego istoty. Popatrzył na swoje ręce, bezkrwiście białe jak kamień z kamieniołomów. Uśmiechnął się i wsunął na palce pierścienie ze srebra i złota. Odział się w szatę koloru burzy, wyhaftowaną w dwadzieścia słońc. Odkrył, że nie musi się już kłopotać podtrzymywaniem iluzji; raz stworzona trwała tak długo, dopóki nie zapragnął jej zmienić. Obejrzał się na posąg Takerny. Z początku wstrząsnął nim widok sterty czarnego gruzu, w którą obrócił się bóg, ale tylko z początku, zanim nie zrozumiał. Potem popatrzył tam, gdzie padały promienie słońca, szukając czegoś, czego nie znalazł. Ani na kamieniach, ani na trawie, nawet w jasnym świetle poranka. Kernik nie rzucał już cienia. W dole, wśród baraków, krzatali się ludzie. Dwaj żołnierze pokazywali go sobie; potem pojawił się nadzorca. Cóż, mój najukochańszy panie, pokażemy im, kim jestem? Kernik wznosił ramiona. Zamieniły się w skrzydła. Podniósł głowę. Zamiast twarzy miał okrutną ptasią maskę z zakrzywionym dziobem. Kernik stał się sokołem i sokół wzbił się w powietrze, wzleciał wysoko w czyste, błękitne niebo ponad wzgórzami. Ludzie na dole krzyczeli, pokazywali go rękami i uciekali. Wysoko w niebie sokół wydał urągliwy okrzyk. 60

To już nie była tylko iluzja, to była rzeczywistość. Gdyż Kernik frunął okryty piórami, Kernik-Takerna-Volk frunął patrząc skośnymi oczami prosto w słońce, wysoko ponad pokorną ziemią i szczątkami czarnego boga,\*i tak narodził się mag Volkhavaar.

W owym roku Volkhavaara i czarnego boga wydarzyły się też dwie inne rzeczy. Na wielkim targu niewolników, w mieście położonym daleko na zachód od Korkeemu siedmioletnia dziewczynka została wystawiona na licytację i wkrótce sprzedana. Przyprawdzili ją tu piraci z rozbitego statku, nie odznaczający się łagodnością. Jej włosy były długie i czarne jak skrzydło kruka, oczy miały barwę lisiej sierści. Była chuda i wynędzniała od trudów podróży i okrutnego traktowania, ze strachu i rozpacz, ale stała w łańcuchach wyprostowana, z podniesioną głową, jak mogłaby stać najbardziej dumna i nieugięta władczyni po przegranej wojnie. Ś Znasz swoje imię, smarkata? Ś warknął na nią nowy właściciel. Ś Shaina, za pozwoleniem Ś odpowiedziała mu grzecznie i z godnością. Daleko na północy, w bogatym mieście stał biały dwór, gdzie mieszkał szlachetny Parvel ze swoją żoną i synami Ś pierwszym, drugim, trzecim, czwartym i piątym. Kiedy twój ojciec ma pięciu synów, nie jest jeszcze tak złe. Najlepiej oczywiście, jeśli jesteś najstarszy, nie najgorzej też, jeśli jesteś drugi lub trzeci. Jeśli jesteś czwartym synem, masz trochę mniejsze szansę. Ale jeśli jesteś najmłodszy, to już za dużo tego dobrego. Dasyel, syn Parvela, liczył sobie lat trzynaście. Był szczupłym, ciemnowłosym chłopcem o pięknych manierach i twarzy, która już wtedy przyciągała spojrzenia dziewcząt i wywoływała wrogość niektórych chłopców. Ale Dasyel odznaczał się miłym, spokojnym, zrównoważonym usposobieniem, miał dobry słuch i dobrą pamięć do pieśni i opowieści Ś uzdolnienia, których jeszcze nie cenił Ś i żaden cień nie mącił jego myśli, może tylko w snach, gdzie zbierają się cienie. Nie pragnął stać się kimś wyjątkowym, nie czuł potrzeby, żeby czegoś dokonać i wywyżżyć się nad wszystkich ludzi Ś po prostu chciał odnaleźć własną drogę. Piąty syn bogatego człowieka niewiele miał do 61 roboty, żadnych rywali, żadnej możliwości rozwinięcia ambicji. Nie żywił niechęci do swoich braci, więc nie miał zamiaru prosić bogów, żeby ich zabrali i zostawili mu dom, pieniądze i pozycję. Dlatego też od najmłodszych lat zwykł wybiegać wzrokiem w dal, poza biały dom ojca, poza miasto, poza lasy i wzgórza, ku odległym horyzontom, wołającym go: Dasyelu, oto droga, którą tylko ty możesz pójść. Pewnego dnia droga wyłoniła się za horyzontu i dotarła do miasta. Przez miasto przechodziło wielu wędrowców: świątobliwi mężowie, kapłani słońca w szkarłatnych szatach i wyznawcy pomniejszych kultów w prostych, szarych habitach, lekarze i uzdrowiciele zachwalający cudowne leki na ból zębów i impotencję, handlarze futer i ozdób, wędrowni śpiewacy o dzikim spojrzeniu Ś szczególnie interesujący Dasyela Ś dźwigający na plecach swoje jednostrunne instrumenty. Tego zaś dnia, późną wiosną, przybyła trupa aktorów. Dali przedstawienie wieczorem na miejskim targowisku. Dyrektor trupy uderzył w ziemię laską z białego drewna. Pochodnie płonęły na słupach oświetlając fantastycznym blaskiem tęczowo barwne kostiumy, złote maski słońca i srebrne maski księżycy, powykrzywiane miecze, w których rękojeściach kolorowe szkiełka lśniły jak szmaragdy i topazy. Całe miasto zebrało się, żeby ich oglądać. Przyszli także wszyscy synowie Parvela. Dwaj najstarsi rozpierali się przed frontem gospody w krzesłach wyniesionych do tego celu. Trzeci i czwarty zalecali się do trzech aktorek. Piątemu nakazano wracać do domu i nie wałęsać się do późna w tłumie, wobec czego wlaź na dach gospody. Usłyszał pieśń. Śpiewała najmłodsza aktorka. Wielki brązowy mężczyzna przygrywał jej na piszczałce. Dziewczyna miała około piętnastu lat. Lekko uderzała w struny zielonej cytry, jej głos był wysoki, lecz czysty jak głos ptaka. Dasyel trochę się w niej zadurzył, ale chodziło o coś więcej. Pieśń kojarzyła mu się z wolnością, z szerokim gościńcem, który przemierza cały Korkeem i biegnie dalej, przez krainę bez granic Ś ojczyznę aktora. W dźwiękach pieśni usłyszał głos, który mówił: Oto jestem, ja, twoja droga. Pójdź za mną albo utracisz mnie na zawsze. Miał przed sobą odpowiedź na wszelkie wątpliwości, spełnienie wszystkich marzeń, chociaż dotąd tego nie rozumiał. Teraz pomyślał o domu rodzinnym, o ojcu, o matce, o braciach... ale pamiętał tylko dzieciństwo, które przeminęło. Równie łatwo jest być samotnym w licznej rodzinie, jak w pojedynkę Ś może nawet łatwiej. 62 Toteż kiedy aktorzy

przed świtem wyjechali z miasta na swoich malowanych wozach, Dasyel ruszył za nimi i dogonił ich w dziesięć mil i jeden wschód słońca później. Dyrektor trupy imieniem Jy był brodatym, popędlivym mężczyzną, posiadającym cztery swarliwe żony, bezpiecznie ulokowane w czterech różnych stronach świata. Ś Wynoś się, ty młody głupcze Ś wrzasnął na Dasyela, kiedy go zobaczył. Ś Myślisz, że trudnię się dobroczynnością? Ś Nie, panie Ś powiedział szybko Dasyel. Ś Zarobię na chleb. Będę robił wszystko, co mi rozkażesz. Mogę doglądać kuców, składać i rozkładać dekoracje... och, potrafię ugłaskać każdego podejrzliwego karczmarza. Wiesz, panie, nauczyli mnie tego moi bracia. Ś Na Gorący Brzuch Matki Ziemi, niech mnie piorun trzaśnie! Czyżby? W każdym razie teraz gadasz jak nakręcony. Poza tym wysławiasz się dwornie i uczenie, jakbyś był jakimś arystokratycznym szczeniakiem. Ś Bo i jestem Ś przyznał Dasyel. Ś Ale każdy może się nauczyć czegoś nowego. Ś Oho! Język masz obrotny, jakbyś go na osełce ostrzył Ś ryknął Jy, bardziej ubawiony niż dotknięty, i wybuchnął śmiechem. Byстрыm okiem aktora zauważył od razu, że ten chłopiec ma twarz, która może przyciągnąć tłumy widzów, zwłaszcza za parę lat. A w dodatku ten głos, oczywiście jeszcze niedojrzały, ale czysty i dźwięczny jak metal o ciemnej barwie. Ś Umiesz śpiewać, ty uciekinierze? Ś Trochę Ś odparł Dasyel. Ś O, jacy to jesteście skromni! Ś Nie uczyłem się śpiewu.

Ś Założę się, że nie uczyłeś się również grać, ale myślisz, że możesz być aktorem. Dasyel uśmiechnął się i stary kuglarz mógł sobie wyobrazić, jakiego spustoszenia dokona ten uśmiech na rynku pełnym kobiet. Ś Posłuchajmy więc ballady o Seevie i Szklanej Górze Ś zaproponował Jy. Może sądził, że szlachecki syn nie zna tak popularnej pieśni. Jeśli tak, to Dasyel go zaskoczył. Jy rozsiadł się na wozie z laską kuglarską na kolanach i kubkiem wina w ręku, nadstawiając uszu. Chłopak nawet się nie zaczerwienił; recytował znakomicie, niech go diabli, a spójrzcie tylko na dziewczyny Ś na te twarde, otrzaskane z życiem dziewuchy, które powinny były mieć więcej rozumu Ś jak pożerają go oczami. 63 Ś Wystarczy Ś oświadczył Jy. Ś Niezły jesteś. Jak na szlacheckiego szczeniaka. Wyglądasz trochę za bardzo kwitnąco, ale parę słotnych dni o pustym brzuchu i parę nocy w zapchlonych łózkach wyleczy cię z tego. Będziesz doglądał kuców, jak sam powiedziałeś. I będziesz mi usługiwał, a jak się nie sprawisz, uszy ci oberwę. Może za sześć miesięcy wypuszczę cię między ludzi. Jeśli nie rozedrą cię na strzępy, to może zostaniesz członkiem mojej trupy. Dasyel wędrował w tej kompanii przez dziewięć lat. Co jakiś czas kompania się zmieniała; czasami ktoś spotykał trupę zmierzającą w kierunku Ś geograficznym bądź dramatycznym Ś który bardziej mu odpowiadał, a wtedy porzucał wozy Jy, żeby przyłączyć się do tamtych; dziewczęta wychodziły za mąż, młodzi ludzie mieli dość wędrowności i znajdowali sobie jakieś stałe zajęcia, starzy umierali. Na ich miejsce przychodzili inni aktorzy. Byli też wierni stronnicy Jy, jego stała armia. Na przykład Roshi, wielki, gruby, spalony słońcem mężczyzna, tryskający wesołością, z głową pełną melodii,, które pod jego zręcznymi palcami płynęły jak srebrny strumień z piszczałki przytkniętej do roześmianych ust. Roghi, ten najlepszy z ludzi, znajdujący na drodze wróbla .ze złamanym skrzydłem, opiekujący się nim i wypuszczający go na wolność po wyzdrowieniu; Roshi zabawiający dziecko karczmarki; Roshi mówiący kulawej dziewczynie, że jej twarz jest jak kwiat, żeby osłodzić odrobiną radości jej gorzkie życie. I oczywiście sam Jy, jowialny, brodaty, surowy i twardy jak głaz, jeśli nie zdarzyło mu się wypić za dużo w karczmie. W ciągu tych lat były też sukcesy i porażki, miłości, kłótnie, jedna czy dwie bójki, przyjaciele i kłopoty; dziewczęta z jasnymi oczami, role pełne pięknych słów, pogubiony dobytek, skradzione kuce, koła odpadające od wozów i wiele słotnych dni o pustym brzuchu oraz zapchlonych łóżek, zgodnie z obietnicą Jy. Dasyel stał się aktorem Ś aktorem z krwi i kości Ś w ciągu jednego roku. Miał coś więcej niż łatwość uczenia się gestów i słów, coś więcej niż przystojną twarz Ś miał talent. Posiadał ów czarodziejski dar, ów wewnętrzny blask, który był tak potrzebny w tej niepewnej karierze. Trwał wiernie przy Jy, ponieważ Jy był jego ojcem. Prawdziwym ojcem Ś tym, który go



stworzył. Jy wyuczył go rzemiosła, a poza tym czasem wymagał opieki. Były przecież te cztery żony, a prócz tego gospody z winem. A droga prowadziła wciąż dalej i dalej, dokładnie tak, jak Dasyel przeczuwał. 64 r

Przemierzył góry i lasy, rzeki i równiny. Widział morze błękitne jak dym i morze ciemnogniatowe z furii. Widział miasta i gospody. Widział Świątynię Słońca i Świątynię Księżyca w Arkev. Może nawet przechodził obok małej czarnej kapliczki Sovana Tovannazit i nie zwrócił na nią uwagi. Drogi ludzkich losów prowadzą w różne strony. Pewnego dnia, kiedy Dasyel grał rycerza i łamał serca kobiet w jakiejś wiosce pośród zimnych wzgórz, czarnowłosa niewolnica rzucała ziarno kurczętom. Pewnej nocy, kiedy Dasyel spotkał się z przystojną kobietą w mieście na zachodzie, czarnowłosa niewolnica po raz pierwszy położyła się spać pod dachem Starego Asha, z uszami piekącymi jeszcze od uszczypnięć, których w przyszłości miała jej nie szczędzić żona Starego Asha. A pewnego ranka, kiedy Shaina prała koszule w strumieniu przepływającym przez kozie pastwisko, a Dasyel z Roshim podkuwali kuca gdzieś na wschodnim krańcu Równiny Yolkyanu, Volk Yolka-vaar, który nie rzucał cienia, stał w wielkim oknie snując własne myśli lub myśli należące do czarnego boga.

9.

Przez te dziewięć lat, kiedy młody aktor Dasyel wędrował gościńcem, a niewolnica Shaina harowała po cudzych domach, Kernik Volk Volkhavaar powracał do życia rozkoszując się jego smakiem. Dziewięć lat to wcale nie było za dużo. Wiedział, że odrodziwszy się za sprawą boga będzie żył długo, niemal w nieskończoność. Nie był nieśmiertelny Ś nawet jego bóg musiał kiedyś umrzeć Ś ale był wieczny. Nie był również wszechmocny, chociaż w ciągu tych dziewięciu lat wielu sądziło inaczej. Władca Iluzji, Mistrz Przemian, Książę Oszustów. Nie, on Ś Volkhavaar Ś nie był wszechmocny. Nie potrafił czynić wszystkiego. Potrafił tylko sprawić, że tak się wydawało. Początkowo, pijany wolnością, wolny od wszelkich więzów, łańcuchów, ograniczeń, mieszkał wszędzie i nigdzie, przemierzając całą Równinę Yolkyanu. Czasami wkraczał do samotnej wioski, odziany w szkarłatną szatę kapłanów słońca, a wtedy na stołach pojawiała się jadło i napitki. Radował się patrząc, jak wieśniacy znoszą mu to, co mają najlepszego Ś ci sami ludzie, którzy w owych czasach, kiedy był żółtoskórym chłopcem, ofiarowaliby mu tylko wymysły i szturcharice. 5 CzarnoksiężnikOD Uwielbiał robić z nich głupców za pomocą zaklęcia iluzji sprawiającego, że zapominali o nim i pamiętali tylko bandę złodziei czy innych opryszków, którzy przemocą zabrali im żywność. Często odwiedzał tę samą miejscowość przez siedem dni pod rząd, każdego dnia witany na nowo przez nic nie pamiętających ludzi, i każdego dnia na nowo wyciągano zapasy: „To wszystko, co nam zostało, świątobliwy ojczy. Złodzieje zabrali resztę.” Objadał ich do cna i śmiał się w kułak, ocierając usta rękawem, raz szkarłatnym, raz purpurowym. Zawsze lubił okrutne żarty. Ten żart nigdy mu się nie znudził. Popełniał gorsze czyny. Zmieniał kształt Ś sokół, wilk, czarny koń, szarozielony szczupak z Wielkiej Rzeki. Może to również była iluzja, złudzenie, które jakimś dziwnym sposobem mamilo nie tylko postronnych obserwatorów, ale i jego samego. Może to tylko czło-wiek-Volk rzucał się na jagnię i rozszarpywał je swoimi długimi, wilczymi zębami, może tylko człowiek-Volk ulegał złudzeniu, że ściga małą rybkę w głębinach rzeki... Ale przecież naprawdę zaspokajał głód, smakował ciepłą i zimną krew, szybował po niebie na mocnych, wąskich skrzydłach sokoła, tańczył na tylnych nogach w blasku księżyca pod postacią czarnego konia o głosie z chropawego srebra. Któż wie? Jeśli złudzenie jest doskonałe, któż mógłby powiedzieć, co jest rzeczywiste? Ze szczątków czarnego posągu nad kamieniołomem zabrał odłamek kamienia. Początkowo nosił go na szyi na rzemyku. Sprawił, że kamień świecił i błyszczał, a rzemyk wyglądał jak łańcuch ze złota. To był jego talizman, przekaźnik mocy. Ponieważ jego moc miała granice. Odkrywał je stopniowo. Nadal potrzebował obecności boga. Gdyby ośmielił się zapomnieć o Takernie, czarnym Takernie, który wchłonał w siebie jego krew i jego cień, a w

zamian przelał weń moc zawartą w kamieniu, utraciłby swą siłę. Może jego słabość polegała tylko na tym, że nie ufał sobie w wystarczającym stopniu, brakowało mu wiary w to, czym się stał. Czymkolwiek była ta moc, używał jej z rozwagą, pamiętając, by za każdym razem, kiedy wypowiadał zaklęcie, rzucał czar lub stwarzał iluzję, czynić to w imię Takerny, swojego mistrza i pana. Tym się podpierał. Każdy człowiek, nawet człowiek pozbawiony cienia, kapłan-mag Ciemności, potrzebuje światła jaśniejszego niż jego własne. Ś kogoś, komu mógłby dziękować, do kogo mógłby się modlić i na kogo mógłby złożyć ciężar swych przewin. 66 Volk Volkhavaar zamieszkał wreszcie w kamiennej wieży, starej wieży strażniczej na brzegu Wielkiej Rzeki. W niektóre dni na miejscu wieży widać było ruiny, nad którymi krążyły stada wron, albo zwykle kamienne osypisko na szczycie wzgórza. Kiedy indziej obcy wędrujący tą drogą dostrzegali z oddali srebrną iglicę, pałac ze złota, kryształowe okna, szmaragdowe drzwi... „Któż tam mieszka, na Matkę Ziemię?” „Psst, nie pytaj o to. Nazywają go Czarny Koń albo Pan Wilków. Napada na nasze stada, porywa młode dziewczęta i tratuje je srebrnymi kopytami. Zmiłuj się nad nami, o wielki.” I składano u stóp wzgórza ofiary: chleb, wino, mięso, ryby. Jak żyją czarodzieje? Jak spędzają dni, skoro posiadają prawie wszystko i nie cierpią żadnych niedostatków? O czym marzą, jeśli w ogóle marzą? Trudno jest przeniknąć wzrokiem zasłonej ciemności. Niekiedy na wysokiej wieży Yolkyanu mag słyszał uderzenia kilofów dochodzące hen, spoza wzgórz, z kamieniołomów, które omal nie stały się jego przeznaczeniem. Biały kamień dla Arkev. Pewnego dnia Arkev go pozna. Ziarno zasiane w jego duszy przez niewolę czekało, aby rozwinąć się w czarny kwiat. Nigdy nie zapomniał, jak nadzorca wyśmiewał się z jego boga, nie zapomniał opowieści o zaniedbanej świątyni, zaćmionej przez świątynie Słońca i Księżyca. Nie marnował niczego; rozumiał, że każdy impuls, każde zaspokojone pragnienie przybliża go do tego miejsca. Jego pragnienia. Zmęczył się zabijaniem służąc w bandzie złodziei, ale wciąż dręczyła go owa potrzeba niszczenia. Począł więc niszczyć rzeczy i ludzi na inne sposoby, eksperymentując, żeby się przekonać, który sposób dostarczy mu najwięcej satysfakcji. Szybko odrzucił rozmaite rodzaje tortur. Z natury obojętny na ludzkie cierpienie, wkrótce przestał odnajdywać w tym przyjemność. Cierpienia duchowe interesowały go bardziej, ale nie całkiem o to mu chodziło: zranione serce wyraża swój ból słowami. Coś w Volku pragnęło pozbawić innych ludzi wszelkich słów i myśli. Niewolnicy, którzy wypełniali jego rozkazy, musieli być właśnie tacy: bezbarwni, bezduszni, ożywiający się tylko na jego polecenie. Stwarzał już różne rzeczy z powietrza: zwierzęta i ptaki, demony, które kusiły lub przerażały. Ale to były tylko cienie. Wyobraził sobie ludzi, mężczyzn i kobiety, zamkniętych w pokojach, leżących bezwładnie jak porzucone zabawki, czekających na jego głos. Ludzie-marionetki, których można dotykać, obejmować, pieścić; istoty, które oddychają, jedzą i piją, 5\*67 istoty z żywego ciała, zdolne odczuwać rozkosz i ból, a mimo to całkowicie zależne od woli maga... Przystąpił więc do dzieła. Niczym dziwne, mądre i zepsute dziecko zaczął kolekcjonować lalki. Wybierał tylko najlepsze. Dziewczyna, którą zobaczył niedaleko miasta Yevdor. Pod postacią sokoła przysiadł na szczycie pagórka i przyglądał się jej. Przyniosła do strumienia dwa gliniane dzbany. Napełniła je. Umyła włosy. Włosy miała złociste, koloru słońca. Była bardzo ładna. Jakiś mężczyzna mógłby jej pożądać. Wilk pragnął kasać jej ciało, koń wolał ponieść ją na swoim grzbiecie, krzyczącą ze strachu, wśród sosen wyciągających czarne gałęzie jak szpony, i zrzucić ją w przepaść. Volkhavaar chciał prowadzić ją na łańcuchu z opali, przyglądać się, jak inni mężczyźni gapią się na nią pożądliwie, i mówić: Ona należy do mnie i jest mi obojętna, a jednak patrzcie, jak posłusznie wypełnia każde moje życzenie, a kiedy nie ma mnie w domu, leży bez ruchu, z pustymi oczami, na swoim jedwabnym łożu. Kiedy oddaliła się od strumienia, poszedł za nią i zawołał: Ś Dziewczyno! Odwróciła się zaskoczona. Przed nią stał wysoki mężczyzna w purpurowej szacie, o surowej, bezkrwistej twarzy. Jego puste oczy jarzyły się dziwnym blaskiem. Były za duże. Pochłaniały pół twarzy, pochłaniały cały świat. Poszła za nim stąpając bosymi stopami po

twardej ziemi. Na wzgórzach jej nogi zaczęły krwawić od ostrych kamieni. Wszedł księżyc. Czarny koń o grzywie lśniącej jak dżet poniósł ją na grzbiecie, pędząc jak wiatr, przeskakując przepaście, przepływając Wielką Rzekę. Ś Takerno! Ś krzyknął Volk w swojej wieży. Ś Wielki Panie Nocy! Wzywał Takernę, wywoływał jego obraz, zaklinał go na ten odłamek kamienia, który nosił na szyi. Oto na podłodze stanął posąg boga, taki sam, jak na szczycie góry nad wioską, taki sam, jak na wzgórzu przy kamieniołomach. Volk po raz drugi rzucił czar przez siebie stworzony, czar zrodzony z długich rozmyślań, żądz i ponurej determinacji. Złożył dziewczynę z Yevdor na stopach posągu i jasnym ostrzem przeciął jej nadgarstki. Zrozumiał wreszcie, czym było to, co dawał, co ofiarował, co zabrał bóg. Zabijając zwierzę ofiarowywał mięso, zabijając człowieka ofiarowywał coś innego. Nie było to życie zawarte w ciele ani mądrość 68 zawarta w umyśle Ś ani nawet cień, ponieważ cień był tylko symbolem, nie istotą rzeczy. Przez wschodnie okno zajrzał świt koloru włosów dziewczyny. Ś Wstań Ś rozkazał jej Volk. Wstała. Jej twarz była biała jak marmur, oczy ciemne jak las. Zobaczyła go lub wyczuła i wyczuwając w nim także obecność bóstwa pokłoniła mu się, aż jej włosy zamiotły podłogę. Była piękna jak sen i równie pusta jak nie napełniony puchar. Takerna, czarny bóg, pochłonął jej duszę. Trupa Jy zeszła ze wzgórz i przebyła w bród Wielką Rzekę na Równinie Yolkyanu. Jy był teraz starszy, starszy i mądrzejszy o całe dziewięć lat, a także bardziej pijany niż przed dziewięć laty; w jego brodzie pojawiły się siwe pasma. Pośród wozów jechała konno nowa aktorka o twarzy pięknej jak kwiat i języczku ostrym jak brzytwa. Z tyłu jechało sześciu żonglerów i akrobatów oraz z tuzin dobranych aktorów: tu dwóch się kłóci, tam trzech leniuchów próbuje wziąć udział w bójce nie złącząc z koni, ówdzie biegnie chłopak z całym naręczem przyborów, które spadły z wozu, a oto grubas Roshi, wydobywający z puszczalki tony słodkie jak słowicza pieśń. Ś Przeklęta hałastra! Ś żary czai czule Jy. Ś Niewarta tego, co zjada. Gdzie jest ten łajdak Dasyel, syn Parvela, potomek suki i beznogiego muła? Dasyel przeprosił aktorkę Ś jechał oczywiście obok niej, gdzież by indziej? Ś i zbliżył się do Jy. Ś Czego chce mój biedny wujaszek? Ś Chce? Czy muszę zaraz czegoś chcieć? Nie mogę po prostu cię przywołać, ja, książę wszystkich aktorów? Ś Bukłak z winem masz po prawej ręce Ś powiedział Dasyel uspokajająco Ś a bukłak z piwem po lewej. Ś Bukłak z piwem zaraz wylądzuje na pewnej części twego ciała, której przez delikatność nie będę wymieniał. Popatrz no w górę, ty łotrze skończony. Co tam widzisz? Ś Coś błyszczący Ś odparł Dasyel. Ś Może to karczma? Ś Bezczelny młokosie, twój wzrok jest równie kiepski jak twoje piosenki. Ś W takim razie to stara wieża. Ś Tak Ś oświadczył Jy wdychając głęboko Ś masz rację. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę dach ze złota. 69 Wkrótce napotkali dwóch wieśniaków wędrujących wolno drogą na wschód, w stronę odległej Svatzy. Ś Hej, wy tam, co to za budowla stoi na wzgórzu? Ś wrzasnął do nich Jy. Wieśniacy poszeptali coś do siebie. Ś Nie wymawiaj imion Ś przypomniał jeden.

Ś To jego pałac Ś powiedział drugi. Ś Jaskinia wilka. Tego czarownika. Ś Ach, jakiś stuknięty magik, tak? Ś zagrzmiał Jy, z perwersyjną przyjemnością przyglądając się, jak wieśniacy trzęsą się i krzywią ze strachu. Obrócił się na wozie w stronę wieży, niepozornej teraz i zrujnowanej w blasku słońca, i ryknął swoim potężnym głosem: Ś Wybierz się do miasta, staruszk! Przyjdź zobaczyć najlepszą aktorską trupę w Korkeemie! Jak nas zobaczysz, oko ci zbieleje, panie znad Wielkiej Rzeki! Wieśniacy wzięli nogi za pas. To samo powinien był zrobić Jy.

Następnego dnia w mieście Svatza był dzień targowy. Wozy, kozy i świnie wypełniały wszystkie zaułki. Żołnierze wałęsali się beczynn timer, a zuchwał timer ladacznice przechadzały się po ulicach kołysząc biodrami. Słynne lochy nadal rozciągały się pod ziemią jak czarne robaki; te same lochy, które zabrały Kernikowi tyle lat życia, podczas gdy wysoko na wzgórzu bogaty pałac gubernatora błyszczał w słońcu bielą ścian. Jy mlasnął językiem przeczuwając obfite zyski. Dali jedno przedstawienie w mieście w południe, po czym, jak należało się

spodziewać, wezwano ich do pałacu gubernatora, gdzie mieli grać na wielkim kamiennym dziedzińcu o północy. Ś Gęś na kolację Ś rozmarzył się Jy Ś a do tego jabłka i czerwone wino. Ś Może tylko chleb z serem, jak u poprzedniego gubernatora Ś wtrąciła aktorka o ostrym języku Ś a do tego kubek mleka. Ś Brrr! Ś otrząsnął się Jy, a gruby Roshi zaśmiał się współczująco. Dostali jednak dobrą kolację, ponieważ gubernator przyjmował gości tego wieczoru Ś trzech kuzynów żony, na których chciał zrobić wrażenie. Księżyc wzbijał się w niebo jak srebrna kula zawieszona na sznurach z gwiazd. Wokół ścian dziedzińca zapalono pochodnie, a na wzgórzu naprzeciwko pałacu zgromadziło się pół miasta, żeby obejrzyć przedstawienie po raz drugi. Tłum szumiał i brzęczał jak ul pełen pszczół. 70 Gubernator Svatzy zasiadł w swoim rzeźbionym krześle czekając, żeby go zabawiano, kiedy nagle ktoś załomotał do drzwi. Służący pobiegł otworzyć. Ś Panie, ktoś przyszedł. Ś Kto taki?

Ś Nie chce podać swego imienia.

Ś Jesteś pewna, moja droga Ś zwrócił się gubernator do żony kwaśnym tonem Ś że to nie żaden z twoich krewniaków, o którym zapomniano? Nie, nie przypuszczani. Odeślij tego człowieka Ś dodał pod adresem służącego. Ś Być może przyjdziemy go jutro, o ile będziemy w odpowiednim nastroju. Zimny powiew musnął kark gubernatora. Odwrócił się mimo woli i ujrzał jakąś wysoką, ciemną postać stojącą w oświetlonym wejściu Ś niezwykle wysoką i cienką. Przybysz skinął mu głową gestem, na jaki mógłby się ośmielić tylko ktoś równy lub stojący wyżej. Ś Wybacz, że przeszkadzam Ś powiedział Ś jesteśmy prawie sąsiadami, ale chyba jeszcze się nie zaznajomiliśmy. Dowiedziałem się, że goście tu aktorów dzisiejszej nocy. Ś Istotnie, ale nie pojmuję... Ś zaczął gubernator. Ś Wiadomo ci zapewne Ś ciągnął obcy postępując krok do przodu, aż czerwony blask pochodni oświetlił jego białą jak śnieg twarz i zgasł w pustych oczach Ś że zostałem zaproszony. Ś Zaproszony? Ś powtórzył gubernator. Poczul ucisk w gardle. Rozpoznał pewien opis, przypomniał sobie pewną opowieść dotyczącą pewnej osobistości, którą można spotkać w różnych miejscach, nierzadko w pobliżu, na Równinie Yolkyanu... Czyżby to łańcuch z czystego złota błyszczał pod tą upiornie białą twarzą? Czyżby to rubiny lśniły na tych przeraźliwie chudych palcach, bezkrwistych i zakończonych długimi paznokciami? O miłosierni bogowie... Ś Czy chciałbyś poznać moje imię? Ś uprzejmie zapytał gość. Ś Nazywam się... Ś Nie, nie, naprawdę nie trzeba. Nie wymawiaj go, proszę. Zaraz każę przynieść krzesło... albo dwa? Kto tam stoi za tobą? Nie, nie, nieważne, wszystko jedno... przynieście dwa krzesła... kilka krzeseł! Obcy Ś choć nie całkiem nieznany Ś uśmiechnął się grzecznie. Gubernator sapał wydając rozkazy, jego żona zbladła jak kielich białego wina. Trzech kuzynów zadrżało, dygoczące kolana służących stuknęły o siebie jak kastaniety. Na wzgórzu zapadła kompletna cisza. Słyszać było, jak każda z czterdziestu pochodni syczy i trzaska na ścianach. Tylko aktorzy oczekujący, aż dzwony w mieście wybiją 71 północ, pozostawali w błogiej nieświadomości. Jeszcze nie wiedzieli, że zaproszenie Jy zostało usłyszane i przyjęte. Volk Volkhavaar zasiadł w krześle obok gubernatora. Może odczuwał satysfakcję na myśl, że tu oto trzęsie się i dygocze człowiek, który niegdyś, dawno temu, posłał go do więzienia Svatzy. Za krzesłem Volkhavaara stały dwa stworzone przezeń demony pod postacią czarno odzianych służących z zakapturzonymi głowami i dłońmi w rękawiczkach. U jego boku siedziała dziewczyna ubrana w biel i srebro, z siatką z szafirów na jasnych włosach. Siedziała nieruchomo jak rzeźba, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Ś Moja córka. Nazwałem ją Yevdora Ś oznajmił mag. Gubernator, wciąż obawiając się imion, udał, że nie słyszy. W tej samej chwili na wszystkich wieżach świątyni Svatzy zaczęły bić dzwony. Na trybunie ustawionej pośrodku brukowanego dziedzińca pojawił się Jy. Skłonił się na cztery strony świata i zastukał w ziemię laską z białego drewna. Opity winem, spęczniały od jadu, z siwiejącą, zmierzwioną brodą, przecież z miejsca przykuł do siebie powszechną uwagę i nie dostrzegł czarnej postaci obok gubernatora. Wyszedł aktor wygłaszający prolog, przebrany za słońce; był to gruby Roshi w żółtych szatach i masce słońca, cały

błyszczący od szklanych klejnotów. Tej nocy grano sztukę dla arystokratów, opowieść o bogach i pasterzach; tylko ubodzy wieśniacy domagali się zawsze księżniczek i królów. Srebrna bogini księżyca, porzuciwszy swego męża, boga słońca, upodobała sobie prostego pasterza ze wzgórz i poczęła z nim dziecko. Chłopiec, który przyszedł na świat w jaskini i wychował się wśród wieśniaków, wyrósł wkrótce na młodego bohatera, półczłowieka i półboga. Słońce, rozgniewane tym jawnym dowodem swojej hańby, zesłało ciemność, która okryła ziemię. Nasz bohater wyruszył, aby odnaleźć boga za zasłoną chmur, wśród krętych dróg nieba. Udaremniał intrygi, zabijał potwory i zdobył sobie gwiazdną księżniczkę za żonę, zanim uzyskał przebaczenie ojczyzna i uwolnił świat z uścisku nocy. W tym przedstawieniu zaprzęgnięto do akcji wszystkie możliwe akcesoria, by dodać mu blasku. Bogini księżyca opuszczała się z góry na srebrnych sznurach, fajerwerki zastępowały gromy ciskane przez słońce, a na pochodnie nasypano prochu, żeby ich płomień przybrał sinofioletową barwę jak przy zaćmieniu. Dasyel w osobie 72 pasterza-bohatera zamienił swój obszarpany kozuch na wspaniałą gwiazdzistą zbroję i dar gwiazdnej księżniczki i walczył z tęczowo barwnymi potworami, ziejącymi z paszcz czerwonym dymem, a każdy skrywał trzech, a nawet czterech aktorów. Śmiertelna trucizna wylana na ziemię zamieniała się w szczury. Tłum na dziedzińcu i tłum na wzgórzu do tego stopnia dał się porwać akcji i olśniewającym efektom, że niemal zapomniał o tajemniczym zagrożeniu. Jak zwykle wszędzie rozlegały się piski, westchnienia i okrzyki zachwytu. Kobiety pożerały oczami Dasyela, a gubernator wpatrywał się pożądliwie w gwiazdną księżniczkę z twarzą jak kwiat, zastanawiając się, czy...? Kiedy Roshi tupnął nogą i z jego ramion wystrzeliły cztery złote fajerwerki, żona gubernatora wydała cichy okrzyk, a potem udawała, że to nie ona, i rozglądała się wokół wyniośle, szukając wzrokiem tego, kto krzyczał. Tak więc magia spotkała się z magią, jasność z ciemnością. Volk Volkhavaar również patrzył, jak zwykle nie tracąc z oczu żadnych szczegółów. W głębinach jego duszy coś lekko drgnęło. Widział moc, może nieprawdziwą, może tylko niezręcznie udawaną, ale rywalizującą z jego własną mocą. Widział, jak ludzie zapominają o strachu, który w nich wzbudził, w obliczu przerażających i radosnych wydarzeń na scenie. Popatrzył na Jy, kuglarza z magiczną laską, na młodego aktora o falujących czarnych włosach i twarzy, której widok przyprawiał każdą kobietę o bicie serca. Być może poczuł ukłucie zazdrości, on, który nigdy nie był kochany i podziwiany, on, który wzbudzał tylko litość, strach i nienawiść. Być może. Co więcej jednak, dostrzegł otwierające się przed nim pole do nowych żartów, gotowych jak na zawołanie. Wreszcie Roshi-słorice przebaczył Dasyelowi-bohaterowi i jego srebrnej matce. Pochodnie ponownie rozbliły czerwonym płomieniem, a scena zajaśniała światłem. Wśród powszechnej radości, przy dźwiękach harf, bębnów i piszczałek bohater i księżniczka zostali sobie zaślubieni, a z nieba buchnęły kaskady gwiazdzistych fajerwerków. Tłum na wzgórzu ryczał w uniesieniu, gubernator uśmiechał się rozkazując przynieść sakiewkę, aktorzy kłaniali się i pokazywali jeden na drugiego skromnie odżegnując się od braw, kiedy Volk Volkhavaar podniósł się z krzesła i jak prosta czarna kolumna dymu przepłynął przez dziedziniec aż do sceny. Wszedł na podium, gdzie stał Dasyel z aktorką, dostatecznie blisko, żeby dostrzec dziury we wspaniałej zbroi i gwiazdzistej sukni, czarny 73 sceniczny makijaż wokół oczu, młode, nieskazitelne twarze obojga o skórze gładkiej jak metal i brązowej od słońca. Volk uśmiechnął się do aktorki, a ona cofnęła się o pół kroku. Volk zmierzył Dasyela surowym spojrzeniem; Dasyel nie zrobił nic, tylko popatrzył na niego swoimi szeroko otwartymi, ufnymi oczami koloru morskiej wody z niezachwianym spokojem. I Volk poczuł ten sam prąd pożądania, nie fizycznego, ale niemniej gwałtownego, jaki ogarnął go na widok dziewczyny z Yevdor. Rozejrzał się za Jy. Jy stał ze swoją laską na odległym krańcu sceny. Wreszcie dotarło do niego, że coś tu było nie w porządku. Ta przekłeta cisza powróciła w zupełnie niewłaściwym momencie, a gubernator wyglądał tak, jakby zsiąkał się w swoje wytworne pantalone. Kim był ten makabryczny przybysz? Jy zastąpił mu drogę. i Witam cię, panie. Jestem Jy, dyrektor trupy. Czy masz

jakieś zastrzeżenia? A może jesteś we wspaniałomyślnym, szczodrym nastroju? Casy, można by rzec, są ciężkie i każdy twój dar... Ś Zdaje mi się Ś przerwał mu Volk Volkhavaar Ś że jesteś czymś w rodzaju czarnoksiężnika, mistrzu Jy. Jy zaśmiał się. Ś Ja? Och, bez wątpienia, bez wątpienia. Jy, Wielki Kuglarz, Jy, Mistrz Iluzji, tak też mnie nazywają. Władca Akrobatów i Aktorów, Król Śmiechu, Najwyższy Kapłan Rozrywki. Nie myśl, że się przechwalam. Spytaj kogo bądź. Ś A to jest twoja czarodziejska różdżka. Ś Volk Volkhavaar dotknął lekko kuglarskiej laski. Ś Jak sądzisz, czy ja również mógłbym robić czary, gdybyś mi jej pożyczył? Jy spuścił wzrok i ujrzał tę odrażającą, bezkrwistą rękę z długimi, czarnymi szponami owiniętą wokół drzewca jak jadowity robak. Ś Proszę, weź ją, panie Ś odparł, odruchowo cofając dłoń. Volkhavaar ujął laskę. Stuknął nią o ziemię. Wykrzyknął słowo lub imię, którego nie znał nikt: Takerna. Natychmiast płomienie wszystkich pochodni pociemniały i zaczęły promieniować jakimś niemożliwym do opisanania, jaskrawym, czarnym światłem, w którym wszystkie twarze wyglądały jak twarze topielców. Tłum zatrzęsł się konwulsyjnie, ale nikt nie uciekł. Nikt się nie ośmielił. Ś Jak ci się to podoba? Ś zapytał Volk. Ś Nieźle jak na początek. Ponownie uderzył laską o ziemię. Z laski wytrysły promienie koloru krwi. Tam, gdzie padły promienie, pojawiały się fantastyczne zwie-74 rzęta, zwierzęta o sześciu lub ośmiu nogach, trzech lub czterech głowach, z węzowymi ogonami i poczwarnymi oczami. Volk zaśmiał się, nie tak, jak śmiał się Jy. Strzelił palcami i jego paznokcie zgrzytnęły o siebie. Niebo nad głowami stało się oślepiająco białe. Z góry nadleciał ogromny czarny łabędź z ognistym dziobem. Cień jego skrzydeł zakrył dziedziniec, pałac, całe wzgórze. Powstał wielki krzyk. Osłaniano głowy rękami. Łabędź przeleciał nisko i poszybował na północ, wielki jak cztery konie, o piórach cuchnących dymem i nocą. Volk okręcił się w miejscu. Wyciągnął ręce w stronę aktorów, jakby ich błogosławiąc. Aktorkę okryła suknią z płomieni. Dziewczyna pisnęła i zaczęła je gasić rękami. Dasyel złapał ją za ramię. Cienki, blaszany miecz w jego dłoni stał się węzem, wąż wił się i kasał, ale Dasyel trzymał go mocno. Gruby Roshi zmienił się w ogromnego złotego niedźwiedzia, stojącego na tylnych łapach. Ś A teraz Ś odezwał się Volk Volkhavaar skłoniwszy się nisko przed Jy Ś powiedz mi uczciwie, co o tym myślisz. Mów szczerze, nie obawiaj się zranić moich uczuć. Jy odzyskał głos. Ś Twoje talenty, panie Ś rzekł ochryple Ś są... niezwykle. Brak mi słów pochwały. Ś Zawstydzasz mnie Ś powiedział Volk. Przełamał laskę Jy na pół i rzucił oba kawałki w powietrze. Jeden stał się robakiem, a drugi żabą. Żaba rozdziawiła pysk, połknęła robaka i na dłoń Volka spadła cała, nieuszkodzona laska. Volk po raz drugi strzelił palcami. Światło pochodni zmieniło się z czarnego na czerwone, niebo pociemniało, powróciły gwiazdy. Wszystkie przerażające rzeczy zniknęły, a Roshi znowu był człowiekiem. Volk zerknął na młodego aktora. Już nie jest taki spokojny, ten synalek bogatego człowieka, ani taki pewny siebie. Volkhavaar zszedł ze sceny i ruszył w stronę rzędu krzeseł. Żona gubernatora zemdlała, ale nawet trzej kuzyni nie zatroszczyli się, żeby ją ocucić. Jasnowłosa dziewczyna podniosła się z miejsca, a dwaj „słudzy” Volka ruszyli za nią. Ś Ee, wybaczn, wielmożny panie. Volk stanął. Odwrócił się i skłonił. Ś Do usług, mistrzu Jy. Ś Moja laska Ś przypomniał Jy głosem, który z każdą chwilą nabierał mocy. Ś Zdaje się, że wciąż ją trzymasz. 75 Wszystkie lata pijaństwa Jy na koniec doszły w nim do głosu. Popełnił największą omyłkę w swojej karierze. Ś Czy jesteś całkiem pewien, mistrzu Jy, że chcesz odebrać swoją laskę? Być może wtedy Jy zrozumiał swój błąd, ale było już za późno. Ś Chyba że znajdziesz dla niej lepsze zastosowanie, szlachetny panie. W takim wypadku oczywiście... Ś Ależ skąd Ś odparł Volk. Ś Chcesz odzyskać swoją własność, więc ją otrzymasz. Wydawało się, że rzucił laskę, a może to laska dostała skrzydeł? W połowie swej napowietrznej drogi przestała być drewnianą laską. Zamieniła się w miecz z hartowanej stali, z czubkiem ostrym jak igła. Miecz wbił się w pierś Jy z taką siłą, że ostrze wyszło mu między łopatkami. Jy zatoczył się od uderzenia, ale stał dalej. Potem spuścił wzrok, dotknął drgającej rękoności i upadł ciężko na

zimne kamienie dziedzińca. Ś Gdzież jest ten przeklęty chłopak? Ś wymamrotał. Ś Jest tutaj, wuju Ś odpowiedział Dasyel.

Ś Czy to płaszcz zarzuciliście mi na głowę? Tępy synu mulicy, przecież srebrna tkanina zabrudzi się na ziemi. Czy nie masz rozumu? Ś Jy, posłuchaj mnie Ś przerwał Dasyel. Ś To nie miecz cię uderzył, tylko laska. Nie ma żadnej krwi. Tylko złudzenie. Teraz otrząśnij się z tego i wstań. Ś Nigdy nie rzucaj wyzwania czarnoksiężnikom Ś powiedział Jy sennym, pełnym smutku głosem. Ś Nie miecz, mówisz, ty łotrze? Co za różnica, skąd wieje wiatr, z północy czy z południa, jeśli wieje tak silnie, że strąca jabłka z drzew. Wracam do brzucha Matki Ziemi. Skończyły się dla mnie gospody. Ś Jęknął. Ś Co to za woda kapie mi na twarz? Ech? Gadaj, ty szelmo. Czy ktoś tu płacze? Ś To deszcz Ś odparł Dasyel. Oczy Jy zwęziły się i wpatrzyły w niego.

Ś Kłamstwo jest rzemiosłem aktora Ś fuknął Ś więc dlaczego nie kłamiesz jak należy, ty młody głupcze? Ś Potem zaczerpnął powietrza i wydał z siebie ostatnie tchnienie. Dasyel wstał. Łzy spływały mu obficie po twarzy rozmazując czarny sceniczny makijaż. Nie był jedynym w trupie Jy, który płakał. Żona gubernatora odzyskała zmysły i wpadła w histerię. Trzej kuzyni i gubernator kłócili się zawzięcie. Tłum na wzgórzu pierzchł w popłochu jak przed burzą. 76 Po Yolku Volkhavaarze i jego kompanii nie zostało ani śladu. Ś Dasyelu Ś odezwała się aktorka głosem stłumionym przez Izę Ś nie próbuj go ścigać. On jest naprawdę tym, za kogo go mają. Ś To pewne Ś przyznał Dasyel. Ś Nie myśl, że mam zamiar walczyć z czarnoksiężnikiem. Ale w jego duszy tłum przodków wyciem domagał się zemsty, krwi za krew, zgodnie z niezłomną tradycją wszystkich szlacheckich rodów na wschodzie, zachodzie, północy i południu Korkeemu. Nieważne, jak głośno przemawia w człowieku głos rozsądku i tchórzliwej mądrości Ś porywcze demony serca zawsze będą wołać głośniejsze.

10.

W mieście Svatza odbywał się pogrzeb Jy. Aktorki sprzedawały złote wisiory i malowane brosze otrzymane od miejscowych wielbicieli, aktorzy sprzedali najlepsze buty, ozdobne czapaki i pierścienie pochodzące z tego samego źródła. Svatza chciała zbojkotować uroczystość ze strachu przed czarownikiem. Aktorzy na to nie pozwolili. Jy spoczął w grobie z całym ponurym ceremoniałem. Kiedy kapłan zaczął mamrotać swoje modły, Dasyel wystąpił do przodu, uciszył go i wygłosił improwizowaną, melodyjną mowę pożegnalną z jakiejś sztuki, a w jego czystym głosie dźwięczały srebro i brąz. Na zachodzie Volk czekał w swojej wieży. Czekał na Dasyela.

Kiedy Dasyel nie przyszedł, Volkhavaar uśmiechnął się, na wpół zły, a na wpół ubawiony. Taki młody i wyniosły, ten szlachetny aktor, taki przezorny i opanowany. Pająk snuje sieć. Volk także. Tej nocy aktorzy odprawiali stypę nad grobem Jy. Były ciastka i czerwone wino, i zapalone lampki. Jy spoczywał w ziemi w swoim najlepszym odzieniu, ze złotą monetą na jednej powiece i srebrną na drugiej, z utrefionymi wąsami i brodą. Nikomu nie wolno płakać na stypie, bo duch zmarłego obudzi się i zacznie narzekać, a nie ma ludzi weselszych i bardziej rozhukanych od aktorów, kiedy się o to postarają. Tuż przed północą pomiędzy pagórkami grobów pojawił się szczupły, skradający się cień. Podkraść się do miejsca, gdzie odbywała się stypa. Wkrótce natknął się na Roshiego, który z zaczerwienionymi oczami popijał samotnie pod drzewem, i zapytał go cichutko: 77 Ś Czy Dasyel jest z tobą? Muszę z nim mówić, to sprawa życia i śmierci. Roshi podniósł wzrok i ujrzał śliczną twarz spoglądającą na niego spod kaptura. Śmierć jest smutna, a któż mógłby pocieszyć Dasyela lepiej od takiej dziewczyny? Ś Zaczekaj tu, ślicznotko. Pójdę po niego. Ś Roshi mrugnął do niej niewesoło i odszedł. Dasyel był pijany. Czuł, że tego mu właśnie potrzeba. Kiedy Roshi szepnął mu coś do ucha, Dasyel podniósł się i poszedł za nim. Co prawda w jego stanie kobieta była ostatnią rzeczą, na jaką mógłby mieć ochotę, ale być może wino podziało na niego w ten swój wypróbowany, niezawodny sposób. Roshi jako

człowiek uprzejmy z natury, a ponadto pogrążony bez reszty we własnym smutku, zostawił Dasyela samego pod cmentarnymi drzewami, gdzie czekała zakapturzona dziewczyna. Ś Dobry wieczór Ś skłonił się przed nią Dasyel. Ś Jestem zaszczycony mogąc powitać młodą damę. Dziewczyna zsunęła kaptur z głowy i postąpiła krok do przodu, w krąg światła, a wtedy ją poznał, rozpoznał nawet szafiry w jej złocistych włosach. Towarzyszka maga. Ś Och, Dasyelu Ś powiedziała miękko. Ś Dasyelu. Ś Odeszłaś daleko od domu, pani Ś zauważył Dasyel czując, że trzeźwieje w stanowczo zbyt szybkim tempie. Ś Może powinnaś tam wrócić. Ś Dasyelu, wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia, zanim mnie osądzisz. Czy przypuszczasz, że ponoszę winę za zbrodnię mojego pana? Czy przypuszczasz, że z własnej woli poszłam z nim do pałacu gubernatora i z radością patrzyłam, jak was potraktował? Czy myślisz, że śmiałam się i klaskałam w ręce, kiedy zabił waszego dyrektora? Nie, Dasyelu, płakałam, ale płakało moje serce, nie oczy. Nie ośmieliłabym się płakać w jego obecności. Ś Podniosła swe oczy na Dasyela, ciemne oczy pełne prawdziwych łez. Ś Spójrz na mnie. Czy myślisz, że jestem szczęśliwa? On odziewa mnie w piękne szaty i zdobi klejnotami moje włosy, ale wykradł mnie z domu mojego ojca, gdzie żyłam szczęśliwie i niewinnie. Nigdy nie powiedział mi dobrego słowa. Znaczą mniej od jego ulubionego kota. Za każdym razem, kiedy go rozgniewam, wymierza mi karę. Ś Zbliżyła się do Dasyela i rozpięła rękaw swej jedwabnej sukni, a tam, na białej skórze ramienia, widniał okropny ślad, jakby wypalony ogniem. Ś Kiedy byliśmy w wieży Ś ciągnęła Ś zaczęła mówić o śmierci waszego 78 dyrektora, śmiał się i chełpił swoim czynem. Nie potrafiłam ukryć przed nim swoich myśli, więc wziął płonące polano z kominka i to mi zrobił. Ocet zamienił się w wino. Ś Pani, czy nigdy nie próbowałaś od niego odejść? Yevdora spuściła oczy i zapięła rękaw sukni. Ś Widziałeś jego moc. Jak myślisz, daleko mogłabym uciec? Któż udzieliłby mi schronienia? Któż by się ośmielił? Ś Jutro Ś powiedział Dasyel Ś ruszamy na południe. Jedź z nami. Ś Ważysz się na zbyt wiele Ś odparła. Ś On by nas wszystkich zabił. Ś Najpierw będzie miał ze mną do czynienia Ś oświadczył Dasyel. Odezwał się w nim gniew przodków. Dziewczyna była bardzo piękna, nigdy dotąd nie spotkał równie urodziwej. Odegrał w swoim życiu zbyt wiele bohaterskich ról; przez sześć lat wygłaszał przed tłumem porywające tyrady. Tym razem sztuka była rzeczywistością. Ś Nie obawiaj się Ś rzekł ujmując jej zimną dłoń. Ś Zaufaj mi, bo możemy już nigdy się nie spotkać. Ś Tak, dzielny Dasyelu, słodki, dobry Dasyelu. Ufam ci. I jest wyjście. Ale tylko jedno. Musisz zabić Volka Volkhavaara. Wiem, jak to zrobić Ś istnieje tylko jeden sposób. Kiedyś on mi to powiedział, ofiarował mi ten sposób drwiąc z mego strachu. Ma on pewien nóż. Nóż ten spoczywa w czarnej, żelaznej szkatułce w czerwonym pokoju na wieży. On używa go do składania ofiar swemu bogu, czarnemu bogu Takernie. Ostrze tego noża kocha smak krwi i gdyby mogło, zabrałoby również jego krew. On włada tym nożem dzięki swoim czarom, ale kiedy śpi... Jeśli weźmiesz ten nóż, zakradniesz się do łoża Yolka i zatopisz ostrze w jego ciele, żadne zaklęcie świata nie zdoła go ocalić. Ś Yevdora ponownie podniosła wzrok na twarz Dasyela. Ś Mój dzielny panie, czy jesteś dość dzielny, aby to zrobić? Dasyel wytrzeźwiał, ale nie do końca. Dawne pragnienie zemsty odżyło z wielką siłą, piękność dziewczyny rzuciła nań urok, a wszystkie bohaterskie postacie, w które kiedykolwiek się wcielał, zawładnęły jego wyobraźnią. Człowiek może postępować zgodnie ze swymi przekonaniem, dopóki pozostaje sobą, ale kiedy dawne, zapomniane marzenia dochodzą w nim do głosu, wówczas jest to już zupełnie inny człowiek. Ś Młoda damo Ś odezwał się Dasyel Ś lepiej zostań tu, póki nie wrócę. Powiedz mi, gdzie jest ta czerwona komnata i gdzie sypia twój pan. 79 Ś Nie Ś odparła. Ś Nie jestem wojownikiem, ale mimo to nie zostawię cię samego w potrzebie. Przeprowadziłam ze sobą jednego z koni czarownika. Zawiezie nas szybciej niż każdy inny wierzchowiec, nawet niosąc podwójny ciężar. Chodź, pokażę ci. Dasyel zerknął między konary drzew. Stypa nadal trwała, ogień płonął, a Jy wciąż leżał cicho, z powiekami przyciśniętymi złotą i srebrną monetą. Dasyel odwrócił się i poszedł za Yevdorą pomiędzy groby. Wkrótce w zimnym świetle księżycyca odnaleźli konia. Dasyel skoczył na siodło, dziewczyna usiadła



za nim i objęła go w pasie smukłymi ramionami. Dasyel ujął wodze, a koń skoczył do przodu i pognął przed siebie mrocznymi ścieżkami nocy. Wierzchowiec naprawdę był szybki. Jego kopyta pożerały przestrzeń, z równą łatwością przemierzał gładki gościniec i skaliste bezdroże. Aktorzy na wozach zaprzężonych w kucyki podróżowali o wiele wolniej; pokonanie odległości pomiędzy wieżą nad Wielką Rzeką a bramą miasta Svatza zajęło im większą część dnia. Koń przepłynął rzekę. Zimna woda zmoczyła nogi Dasyelowi aż do ud uściskiem lodowatym jak dotyk samej Śmierci. Księżyc zaszedł, świeciły tylko gwiazdy. Wzgórza okryła owa wielka cisza, która wypełnia ostatnią godzinę nocy. Wieża, kiedy dotarli do jej podnóża, wydawała się ciemna, stara i zrujnowana. Zsiadli z konia i dziewczyna zaprowadziła Dasyela przez łukowatą bramę pozbawioną drzwi na dziedziniec, z którego czterdzieści stopni wiodło do wąskiego wejścia w murze. Dasyel przyjrzał się tym schodom. Czuł, że krew zastęga mu w żyłach bez żadnej widocznej przyczyny. Cóż, jesteś na miejscu, powiedział sobie. Graj teraz, skoro sam sobie wybrałeś tę rolę, Dasyelu, synu Parvela. Zdawało mu się, że czuje bliskość śmierci, lodowatą jak fale rzeki. Na próżno usiłował zbagatelizować całą sprawę. Ucieczka na nic się nie zda. Spojrzał na dziewczynę. Podczas jazdy wciąż szeptała mu do ucha, obejmując go jak kochanka, opowiadała, że u szczytu schodów znajduje się czerwona komnata i żelazna szkatułka, że tuż obok, za kotarą, śpi Volkhavaar. A on we wszystko uwierzył. Nagle zaczęło mu się wydawać, że tylko głupiec albo dzieciak dałby wiarę jej słowom. Ale było już za późno, żeby zawrócić, ponieważ jakaś ciężka, bezlitosna dłoń opadła mu na 80 plecy, popychając go ku schodom. Pierwszy stopień, drugi, trzeci... Kręciło mu się w głowie, ale mimo to się nie potknął. Oto wąskie wejście. Drzwi stały otworem. Oto czerwona komnata, czerwony jedwab na ścianach, czerwone świece palące się czystym, czerwonym płomieniem, czerwone kamienne płyty w podłodze, czerwone szyby w oknach przesiewające ciemny, gorączkowy blask. A pośrodku, na krześle wykutym z czerwonej miedzi, siedział Volk Volkhavaar zwrócony ku niemu twarzą, na jego kolanach zaś spoczywał żelazny nóż. Ś Witaj, panie aktorze i synu szlachcica. Przejdź przez próg, jeśli łaska. Dasyel zorientował się, że wypełnia polecenie. Za nim wszedł ktoś jeszcze Ś Yevdora. Minęła Dasyela, jakby był niewidzialny, podeszła do Volkhavaara i stanęła przed nim. Ś Nie wiń tej dziewczyny Ś odezwał się Volkhavaar. Ś Ona jest moim cieniem, moim jedynym cieniem, bowiem Ś jak widzisz Ś nie mam innego. Robi wszystko, co jej każę. Yevdoro, odwróć się do naszego gościa. Ś Yevdora odwróciła się. Ś Yevdoro, płacz. Ś Yevdora zapłakała. Ś Yevdoro, śmiej się. Ś Yevdora wybuchnęła śmiechem. Ś Yevdoro, powiedz temu młodemu aktorowi, jak go kochasz. Ś Yevdora upadła na kolana i wypowiedziała słowa miłości głosem drżącym od uczucia. Ś Yevdoro, powiedz temu młodemu aktorowi, jak go nienawidzisz. Ś Yevdora wstała, podeszła do Dasyela, obrzuciła go plugawymi wymysłami i splunęła mu pod nogi. Ś Yevdoro, śpij. Ś Yevdora znieruchomiała, jej spojrzenie stało się puste. Ś Jak widzisz Ś powiedział Volkhavaar Ś Yevdora jest wspaniałą aktorką i gra bardzo realistycznie, ponieważ wierzy we wszystko, co jej mówię. Dasyel był oszołomiony, brakło mu tchu, umysł ogarnęła mgła; lodowata trucizna z wolna rozpełzała mu się po żyłach. Nie czuł strachu, tylko jakiś odległy, niejasny gniew na czarnoksiężnika i na siebie samego. Ś Pomyślałem sobie Ś ciągnął Volkhavaar Ś że ja również mógłbym kierować trupą aktorów. Może zaprowadzę ich do Arkev. Czasami w ciche popołudnie słyszę uderzenia kilofów w kopalni białego kamienia i wspominam Tego, który ma tylko małą kapliczkę w Arkev, mieście-królowej Korkeemu. Patrz, mam swoją laskę. Ś Pokazał ją ręką, a Dasyel odkrył, że może patrzeć tylko tam, gdzie wskazywał mag, i rzeczywiście była tam laska kuglarska z białego drewna, z czarnym kamieniem umocowanym na czubku. Ś Ach, to Ś powie-6 Czarnoksiężnik...0 1 dział Volkhavaar Ś to jest mój talizman, część mojego pana, Czarnego Takerny. Z oczu maga zdawała się sączyć dziwna ociężałość. Dasyel spróbował przemówić, ale słowa uwięzły mu w gardle. Ś Masz silną wolę, mości aktorze Ś stwierdził uśmiechnięty wilk spoczywający w miedzianym krześle Ś ale twoje życie było zbyt łatwe w porównaniu z moim, dlatego moja wola jest

silniejsza. Pożegnaj się ze sobą, gdyż wkrótce Najwyższy zabierze twoją błękitną krew. Pożegnaj się z życiem i z miłością, pożegnaj wszystkie bez troskie nadzieje i śmieszne ambicje. Zrób to natychmiast. Skończyłeś? Spodziewam się, że tak, gdyż teraz zgaśniesz, jak gaśnie świeca. I moc czarnoksiężnika uderzyła Dasyela między oczy jak cios lodowatej pięści. A kiedy słońce wstało nad rzeką, w jego sercu zapadła, noc. Aktorzy odgadli, dokąd poszedł Dasyel. Umknęli ze Svatzy przez Równinę Yolkyanu, wszyscy prócz Roshiego. Roshi, pocąc się i przeklinając, wyruszył na swoim kucu w mozolną wędrówkę ku wieży. Był najbardziej z całej trupy przywiązany do Jy, a także do Dasyela, ponieważ Dasyel był przybranym synem Jy. Poza tym Roshi przypomniał sobie dziewczynę z cmentarza i czuł się winny. Dotarł do wieży, która tego dnia wyglądała dokładnie jak skała. Początkowo nie mógł jej odnaleźć. Potem zobaczył. Volk Volkhavaar był zadowolony. Ten grubas ze swoimi muzycznymi talentami był cennym nabytkiem dla każdej trupy aktorów. Wkrótce czarny kwiat rozwinął się i posiew został zebrany. Kernik, Wielki Kuglarz, Złodziej Ról, wyruszył ze swoją trupą Ś żong-lerzy-demony, czarodziejskie ptaki, kozy i smoki, gruby błazen, piękna aktorka, przystojny aktor Ś i wędrując na zachód do Arkev trafił na koniec do małej wioski położonej u stóp gór, do wioski Starego Asha, który był właścicielem kruczowłosej niewolnicy Shai-ny...

Część trzecia  
DUSZA I JEJ LOT

11.

Biały liść mknął wysoko po nocnym niebie Korkeemu. Biały liść, przez który przeświecały gwiazdy. Dusza Shainy. Leciąca nad małymi wioskami, ciemnymi i uśpionymi, nad miękkimi, zaokrąglonymi wzniesieniami wzgórz, nad ostrzejszymi zarysami górskich stoków, okrytych lasem, wysrebrzonych blaskiem zachodzącego księżycyca, leciała w cieniu górskich szczytów, gdzie lasy wyglądały jak czarne, falujące włosy młodego aktora. Mijała szary płaskowyż, wyniosłe wierzchołki, ostre jak sztylety, z których spływały strumienie lśniąca w ciemnościach jak delikatny haft, mijała inne doliny, inne wzgórza, inne małe wioski, wszystkie okryte ciemnym płaszczem nocy. Na zachodzie leżało miasto Kost. Przeleciała nad nim. Wciąż jeszcze migotały tam przyćmione czerwone światła, bladobłękitne światła w karczmach i jedna stracona z nieba gwiazda na wieży świątyni, która ją śledziła. Szybko mknął biały liść Ś dusza Shainy Ś szybciej niż ptak, szybciej niż wiosenny wiatr. A jednak widziała wszystko i pod jej spojrzeniem, rozmarzonym i pełnym miłości, wszystko, co piękne, stawało się jeszcze piękniejsze. Raz sowa polująca nad wyżyną zanurkowała w powietrzu, żeby umknąć przed tym przejrzystym świeceniem. Patrząc na jej powolny, ciężki lot Shaina zrozumiała, jak szybko leci ona sama. Wkrótce miasta zaczęły zbliżać się do siebie coraz bardziej. W dole jaśniało więcej światła. Rzeka otwierała się pośród pól jak lśniąca czarna droga. Na obu brzegach wznosiły się pałace blade jak kość 83 słoniowa, przy nadbrzeżach drzemały statki z żaglami zwiniętymi jak skrzydła gołębi. Jeden statek płynął szerokim gościńcem rzeki jak biały łabędź, a purpurowy blask pochodni z dziobu kładł się przed nim na wodzie. Miasto pojawiało się stopniowo. Wypełzło spoza krzywizny horyzontu i wspięło się na nią. Wyglądało jak jakaś górską kraina ze swoimi wieżami, mnogością błyszczących pałaców i wyniosłych dachów z bajkowego metalu. Tysiąc lamp płonęło zamieniając świątynię w przybytki ognia. Pośrodku stał pałac z białego kamienia, z wieżyczkami, na których spoczywały złote księżycy. Arkev, podniebne miasto, władczyni Korkeemu, dostojna siedziba księcia. Arkev, gdzie przebywał z trupą aktorów na czarnych koniach ktoś o ciemnych włosach i pięknym uśmiechu. Arkev, miasto Volkhavaa-ra Ś wkrótce, choć jeszcze nie teraz. Arkev, gdzie ktoś leżał

pograżony we śnie lub tylko zdawał się spać, któż bowiem wie, czy człowiek pozbawiony duszy kiedykolwiek się budzi? Ktoś z falującymi włosami, kogo Shaina kochała. Tego poranka w Arkev miał się rozpocząć jarmark. Przybywali ze wszystkich stron, mieszkańcy gościńca Ś aktorzy, domokrażcy, uzdrowiciele, przekupnie. Jarmark miał trwać przez dwanaście dni dla uczczenia Wiosennego Świeta Słońca. Po bokach ogromnego targowiska, Wielkiego Rynku Arkev, który sięgał na południu do pałacu księcia, na wschodzie i zachodzie do schodów świątyni, a na północy Ś do wykładanego marmurem nadbrzeża rzeki Kargi, wszystkie pawilony, wozy i fury niezliczonych grup wędrowców stały stłoczone i przemieszane ze sobą w pstrych, bajecznie kolorowych szeregach. Do nadbrzeża tuliły się łodzie, piesszczotliwie ocierając o biały kamień pokryte smołą burty. Gdzieniedzie pośród alejek tego naprędce stworzonego miasta statków i namiotów migotały pochodnie umieszczone na słupach. Tutaj, w dzielnicy szewców, igły wciąż pracują przy drżących płomykach świec, tam znów, w zaułku aptekarzy, bulgocą kociołki. Ptaki w klatkach, owce w zagrodach, dwaj zapóźnieni pijacy przy straganie z winem, w zielonym namiocie brodata wiedźma pochylona nad tacą paciorków. W północnym końcu stały namioty aktorów, wspaniałe i pyszne jak stado pawi, a przed nimi zatknięto w ziemię chorągiewki z dzwoneczkami. Czy tam był Kernik? Kernik, Najwyższy Kapłan Rozrywki, Kernik ze swoją trupą? Coś spłynęło lekko z nieba jak pasemko mgły, jak przejrzysta 84 chmurka, jak szal z delikatnej gazy, i przesunęło się nad miastem namiotów. Nie zatrzymało się jednak nad obozowiskiem aktorów; przemknęło dalej, do miejsca, gdzie plac zwężał się i przechodził w wąską, stromą uliczkę, której koniec gubił się w zagajniku wysokich topoli. W cieniu topoli krył się ogród. Ogród był przybytkiem nocy. Noc oplotła gęstym cieniem pnie dębów i modrzewi, spijała mroczny oddech paproci i dzikich kwiatów, których płatki w ciemnościach przybrały barwę łupku. Pośrodku ogrodu stała zrujnowana kapliczka. Drzwi były ledwie na tyle wysokie, żeby pomieścić człowieka, dwie grubo ciosane kolumny podtrzymywały dziurawy dach, pnące róże porastały ściany. Tutaj zatrzymała się blada zjawa i spłynęła do ogrodu. Dusza młodej dziewczyny stanęła na trawie, ciągnąc za sobą srebrną nić, przyciągana niewidzialną nicią miłości. Gdzieś w Arkev zadźwięczał dzwon. Pozostała godzina do świtu. W ogrodzie trudno było cokolwiek dojrzeć, ogadnać, ile czarnych pawilonów ustawiono wokół kapliczki, ile czarnych koni Ś jeśli były jakieś konie Ś stoi nieruchomo w mroku jak posągi z bazaltu. Czy to lampa błyszczący opodal, czy światło gwiazd? Czy ktoś szepcze w kapliczce odmawiając modlitwę, czy tylko wiatr szeleści wśród dzikich róż? Co za różnica? Dusza Shainy rozglądała się tylko za jednym kształtem, nasłuchiwała tylko jednego głosu. Przemknęła nad ziemią, jej widmowe włosy, białe jak mleko, przepłynęły wśród gałęzi. Przeniknęła przez czarną, aksamitną ścianę namiotu i tam go znalazła. Serce duszy nie może bić, a jednak zdawało się jej, że to możliwe, ponieważ jej serce z pewnością zabiło mocniej. Czyżby słyszała bicie jego serca, serca Dasyela? Unosiła się nad nim jak sen. Jej oczy pełne były łez, chociaż dusza nie może płakać. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego włosów, ale ręka przeszła przez włosy i przez poduszkę, na której leżały; zbesztła się za ten absurdalny żal, który ją ogarnął na myśl, że mimo wszystko nie może go dotknąć. Był jeszcze piękniejszy, niż zapamiętała, a jednak wydawał się jej tak dobrze znany, jak ktoś, kogo widywała dzień w dzień od wielu lat. Czyż jednak nie wyglądał blado? Czyż nie był szczuplejszy? Leżał przed nią uśpiony, bezbronny jak dziecko, a cienie jak dym kładły mu się pod oczami. Dusza Shainy, pograżona w tęsknym, bezsłownym zapatrzeniu, drgnęła nagle. Co teraz? Co trzeba zrobić? Pragnęła ucałować jego 85 usta, obudzić go i powiedzieć: Oto jestem. Czy mnie pamiętasz? A może jego dusza, dryfująca ku świadomości nawet wówczas, gdy ciało leży bez zmysłów, odpowie na jej bezgłośnie wołanie? Cóż jej powie jego dusza, powstająca jak ciemny anioł z pokładów niepamięci? Może: Jesteś dla mnie niczym. Wracaj, skąd przyszedłaś, i bądź przeklęta, nie mam dla ciebie czasu. Ś Tak, dusza Shainy mogła przeżywać upokorzenie, wstyd i zwątpienie. Zwlekała, ociągała się myśląc o słowach Barbayat: „Dusza przemawia do duszy i dusza odpowiada. Kiedy go

odnajdziesz, czyż możesz wątpić, że jego dusza przebudzi się i odpowie na twoją tęsknotę? Miłość taka jak twoja nie przychodzi, jeśli już przedtem nie istniała więź między wami, a on, choćby dotąd był ślepy, zrozumie to patrząc oczami swej duszy." Och, Dasyelu, pomyślała Shaina, czy ona mnie zwyczajnie okłamała, żeby otrzymać swoją zapłatę? Powiadają, że przysięga czarownicy jest jak brzydka kobieta, mało kto o niej pamięta. Och, Dasyelu. Dasyel leżał nieruchomy jak śmierć i piękny jak niebo, a gorący płomień w sercu Shainy wypalił się pozostawiając po sobie martwy popiół. Cóż, w takim razie odchodzę. Ale wciąż unosiła się nad nim, wyobrażając sobie, że mimo wszystko musi jakoś mu powiedzieć o swojej miłości; gdybyż tylko mogła znaleźć sposób... Wreszcie pojawił się gniew. Uniosła głowę, jej dusza uniosła głowę dawnym, dumnym gestem: A więc mnie nie chcesz. Wobec tego wybacz, że cię niepokoję. Te słowa rozerwały zasłone rozmarzenia, podobnie jak miotła rozrywa pajęczynę, i natychmiast, po raz pierwszy, Shaina poczuła wokół siebie niebezpieczeństwo. Przez cały czas utożsamiała je mylnie z samą ciemnością. Ówo zagrożenie, owó uczucie, że coś ją obserwuje. Łatwo było się pomylić, ponieważ ono samo było jak noc. Ó czarne, wszechobecne i absolutne. Teraz jej dusza zadrżała. Jakiż lodowaty chłód panował w namiocie, jak grobowo zimne było powietrze w ogrodzie. W tej samej chwili oładnęły ją dwa impulsy. Jeden nakazywał zostać, ona musi zostać tutaj, obok śpiącego kochanka, który nie chciał jej znać. Nie zapomniała wizji, prawdziwej czy fałszywej, którą zesłała jej Barbayat, wizji Dasyela przykutego do żelaznego koła, uśpionego na zawsze. Drugi impuls był jednak silniejszy. Nakazywał ucieczkę: Ten młodzieniec nie rzuca cienia, jest częścią zła, jest nie tylko niewolnikiem maga, ale jego przybranym synem. Niesamowita, wibrująca nuta dźwięczała w duszy Shainy jak napięta struna. Ó to srebrny łańcuch, który łączył ją z własnym ciałem, zdawał się ciągnąć ją, wołać do niej: Wracaj, wracaj, zanim będzie za późno. 86 I nagle odkryła, że nie może dłużej opierać się owej sile, naglącej do ratowania własnego istnienia. Wydostała się z namiotu, zanim zdążyła o tym pomyśleć, i wleciała w szeroki przestwór nieba. Nie potrzebowała powietrza, a jednak dyszała; była jak płotka, która umknęła przed rozwartą paszczką szczupaka, jak gołąb, którego atakujący jastrząb chybił o szerokość pióra. Wątpiła, dotąd rozwijająca się swobodnie z tajemnego źródła i pozwalająca jej lecieć wszędzie, dokąd chciała, teraz ściągała ją z powrotem. Obracając się i wirując Shaina mknęła przez rozległe powietrzne przestrzenie; nie docierało do niej nic prócz dzikiego, niepojętego przerażenia. Natura czasu uległa zmianie. W jednej chwili lodowate promienie gwiazd przeszywały jej twarz jak ostrza noży, w następnej spadała poprzez ogień w bezdenną studnię ciemności, potem leżała uspokojona czując, że jakiś ogromny ciężar przygniata ją do ziemi. Wreszcie spróbowała się poruszyć. Ręce ciążyły jej jak ołów. Ledwie zdołała unieść ramiona. Przyjrzała im się, jakby należały do kogoś innego. Znowu miała ciało. Powróciła do swojej cielesnej powłoki. Wioska-więzienie zamknęła się wokół niej. Była taka jak przedtem, na szczęście, gdyż noc prawie już się skończyła. Szare popioły w palenisku, szary brzask na niebie. Na zewnątrz pies pogrążył się łańcuchem. Szczyty gór wznosiły się w niebo, ptaki zaczęły śpiewać w gałęziach wierzb nad strumieniem. Niedługo będzie musiała wstać, podźwignąć ten ołowiany ciężar, który był nią samą. Czy noc była snem? Jeśli tak, to sen pierzchnął. Leżała bez ruchu. Wspominała swój lot i swój strach. Myślała o młodym aktorze, pogrążonym w obojętnym śnie. Nic nie rozumiała. Nie mogła już podierać się swoją dumą. Zbyt wysoko zaprowadziła ją nadzieja i miłość. Wspięła się na szczyt ze śpiewem, a potem spadła. Leżała i płakała bezgłośnie, jak nauczyła się płakać dawno temu. Daleko od niej coś się wydarzyło. Oto, jak daleko: w odległości wielu dni drogi, chyba że ktoś jest czarnoksiężnikiem zaklinającym czas albo uwolnioną od ciała duszą młodej, zakochanej dziewczyny. W Arkev, w ogrodzie wśród drzew pewien był, który niegdyś był człowiekiem, wyszedł ze zniszczonej kapliczki bóstwa, znanego w tych stronach niektórym pod imieniem Sovan Tovannazit. 87 Czarnoksiężnik Volkhavaar wciągnął w nozdrza wonne powietrze i poczuł nowy zapach. Zapach, który rozpoznał. Nie woń kwiatów ani

trawy, ani czarnego kamienia; zapach czegoś żywego, choć bezcielesnego Ś duszy. Zapach ten osiadł na trawie jak rosa i gęstniał wokół miejsca spoczynku młodego aktora. Volkhavaar podniósł klapę namiotu, a tam, na podłodze, na posłaniu, na ciemnych włosach Dasyela leżała cieniuteńka warstwa najdelikatniejszego pod słońcem, lśniącego pyłu, przypominającego pył wymiatany z pałaców gwiazd. Volkhavaar pogardliwie wykrzywił wargi. Strzelił palcami. Młodzieniec otworzył oczy, puste oczy czekające, żeby mag napełnił je pozorem życia i spojrzenia. Oczy, ślepe jak lód, zatrzymały się na Volkhavaarze. Ś Co widziałyście w nocy? Ś zapytał je mag.

Ś Ciemność Ś odpowiedziały usta Dasyela Ś jak zawsze.

Wtedy Volk zaśmiał się, a Dasyel, jego niewolnik, podchwycił nastrój pana, jak pusty dzban chwyta krople deszczu, i również się zaśmiał. Ś Jakaś ćma trzepotała wokół mojej lampy Ś powiedział mag. Ś Wracaj, ćmo. Następnym razem opalisz sobie skrzydełka. Lampie to nie zaszkodzi. Czy człowiek pokonany godzi się ze swoją klęską? Czy utraciwszy nadzieję stwierdza tylko: Cóż, tak już jest Ś i zwraca się ku innym sprawom? Kiedy przychodzi noc, czy człowiek pokonany przez ciemność stwierdza tylko: Cóż, tak już jest Ś i czeka świtu? Czy też walczy o zachowanie światła, bez względu na to, jak często wiatr gasi płomień świecy, bez względu na to, jak często powraca noc? Dla Shainy noc zapadła wszędzie. Noc za dnia. Noc na całym świecie. Noc w jej sercu. Miłość i nadzieja zawiodły ją Ś albo to ona zawiodła. Przyszłość nie niosła ze sobą żadnej obietnicy. Pozostała tylko niewola, mozolna harówka i życie jałowe jak ugór. Nie mogła nawet zwrócić się ku innym sprawom, ponieważ nie było nic innego. Tylko twardy głos rozsądku powtarzał jej: nie myśl o nim. Czas leczy rany. A serce krzyczało z bólu. Nawet nędzna strawa, którą otrzymywała w domu Starego Asha, nie chciała jej przejść przez gardło. Schudła i przestała się nosić tak dumnie; wypełniało ją rozgoryczenie, żal. Nikt tego nie zauważył. Kogo obchodzi, jak wygląda niewolnica, dopóki wykonuje swoją pracę? Poza tym z Kost przybył wezwany kapłan. Był to dostojny kapłan. Siedział w cieniu drzewa przed domem Miklego, w swoich czerwonych szatach, i wypytywał wieśniaków. Nosił na szyi złoty symbol słońca, a dwa przednie zęby również miał złote. Otrzymywał trzy posiłki dziennie, same najlepsze kaszki. Nie skąpili mu niczego. Nikt nie sarkał, bo wszyscy widzieli, jak ciężko pracuje, żeby wyjaśnić to, co ich gnębi Ś tajemnicze wydarzenia, które miały miejsce w dolinie. Wypytywał wielu ludzi, gruntownie i dokładnie, każąc im wielokrotnie powtarzać zeznania. Przyglądał się uważnie różnym rzeczom, zbadał zwierzęta, a potem obszedł wszystkie stada, które niepokoił wilk, rozsypał w różnych miejscach szczyptę barwnego, poświęconego proszku i wymówił dziwne, święte słowa. Wioska była zadowolona. Znaleźli się w dobrych rękach. Kiedy opowiedzieli mu bajkę o rabusiach, którzy ukradli kury i zamknęli wszystkich w stodole Miklego, kapłan osobiście poszedł zbadać miejsce przestępstwa. Stanąwszy tam zmarszczył brwi. Ściągnął usta. Jego bystre oczy zwięziły się, ale nic nie powiedział. Potem: Ś Gdzie jest Młody Ash, ten pijak? Ś Pasie kozy na pastwisku Ś wyjaśnił Gula.

Ś Wobec tego porozmawiam z nim jutro. A teraz chyba już czas na obiad? Młody Ash Ś którego sześć tajemniczych nawrotów pijaństwa wywołało takie zaniepokojenie Ś teraz zawsze był trzeźwy i w ciągu ostatnich jedenastu dni skrupulatnie wypełniał swojej obowiązki. Kilku młodych mężczyzn, którzy na próżno wypatrywali go o zmierzchu spod drzwi karczmy, doszło do wniosku, że albo się zakochał, albo umarł. Tego wieczoru, nieświadom czekającej go nazajutrz rozmowy z kapłanem, Młody Ash z wyschniętym gardłem pędził kozy do wioski. Przechodząc obok czarnego bóstwa wykutego w skale ukłonił się i pozdrowił je grzecznie, a w tym samym czasie w dolinie niewolnica! Shaina wracała od studni do domu Starego Asha. Tak się złożyło, że kapłan stojący pod cienistym drzewem zobaczył ją wtedy po raz pierwszy: młodą dziewczynę pośród czerwonych cieni, dźwigającą w obu rękach ciężkie dzbany z wodą. Ś Kto to jest? Ś zapytał ostro kapłan. Ś Któraś z miejscowych dziewcząt? Ś Nie, ojciec Ś odparł Mikli Ś to niewolnica Starego Asha. Ś Nikt mi nie wspomniał, że macie tu niewolnicę. Z nią też muszę rozmawiać.

Nikogo nie wolno pominąć. Ale teraz wejdźmy do środka na wspianiała kolację, którą ugotowała twoja żona. 89 Mimo to jego oczy zatrzymały się jeszcze przez chwilę na Shainie idącej drogą, rejestrując jej królewski chód i kawałek płótna owinięty wokół nadgarstka. Miał dobrego nosa ten kapłan. Wywęszył czary w stodole Miklego jak zapach wczorajszego dymu. Teraz wokół niewolnicy wyczuwał odmienny, choć równie słaby zapach. Miał zamiar dowiedzieć się, co to jest, ale odłożył sprawę na jutro albo pojutrze: jego żołądek również miał swoje prawa, a właśnie z garnków ustawionych na stole dochodziła jakże rozkoszna woń... Ś Jutro rano kapłan chce cię widzieć Ś warknęła żona Starego Asha do Młodego Asha zajadającego kluski. Ś Dlaczego? Co znowu zrobiłem? Ś Trzymaj język za zębami! Zważaj na swoje zachowanie i rób, co ci każą, chłopcze. Niewolnico Ś dodała, piorunując Shainę spojrzeniem Ś jutro ty wyprowadzisz kozy na pastwisko i żebyś mi nie mitrężyła czasu. Ś Dobrze, dziękuję Ś odparła Shaina. Cerowała odzież z koszyka, który dała jej żona Starego Asha. Głowa opadała jej ze znużenia; Shaina była zmęczona nie tyle pracą, ile samym życiem. Shaino, jesteś głupia, pomyślała. To nic nie znaczyło, że miała zabrać kozy na pastwisko. Przestań rozpamiętywać. Wyrzuć go ze swych myśli. Jest zbyt piękny i zbyt niedostępny. Za rok ktoś wymówi przy tobie jego imię, a ty zapytasz: Kto to jest Dasyel? Ale pomiędzy jednym a drugim ściegiem dwie łzy spłynęły jej z oczu, a każda mówiła: Kłamiesz. Będziemy płynąć zawsze, teraz i za rok. Słońce weszło wśród piania kogutów. Shaina wstała z posłania przy wyziębłym palenisku, a pies zaszczekał na nią grubiańsko. Kozy były zadowolone, że ją widzą. Shaina obchodziła się z nimi łagodnie przy dojeniu, rozumiała ich szaleńcze wybryki i traktowała je lepiej niż Młody Ash. Głęboko odetchnęła słodkim powietrzem. Kozy wskakiwały na pobocza drogi, a ona zaczęła śpiewać, rzucając wyzwanie własnym smutkom i całemu światu. W trawie rosły czerwone, białe i złote kwiaty. Niebo i góry przybrały barwę topazu przechodzącą w szafir. Ś Cóż, nie jest tak źle Ś stwierdziła Shaina, ale wiedziała, że to nieprawda. Poranek, głoszący nowe, ożywcze, radosne wieści, zamiast ulgi przynosił jej tylko cierpienie. 90 Później, idąc stromą ścieżką, minęła skałę z rzeźbą wyobrażającą demona lub bóstwo gór. Raz, i tylko raz, zapomniała pozdrowić tego jegomościa, w owym dniu, kiedy poszła do czarownicy. Od tamtej pory zawsze już pamiętała. Pamiętała również dzisiaj. Ś Witaj, panie Ś powiedziała. Jakież to było dziwne, ta rzecz, którą zauważyła wcześniej, w wieczór poprzedzający przyjazd maga z jego aktorami Ś jak rzeźba wydawała się ciemniejsza, bardziej wyrazista, młodsza. Niesamowita zmiana w wyglądzie minęła szybko i Shaina sądziła zrazu, że tylko poniosła ją wyobraźnia, a jednak dzisiaj... Czyżby tylko poranne słońce sprawiło, że ta z grubsza ociosana twarz zdawała się tak ostra, tak złośliwa i tak dziwnie czujna? Shaina zatrzymała się spostrzegłszy, że kozy biegną, biegną w popłochu chcąc jak najszybciej wydostać się z tego miejsca, jakby naprawdę kryło się tu jakieś diabelstwo. Nagle poczuła, że ogarnia ją chłód, taki sam jak owej nocy, kiedy jej dusza odbywała lot. Ale tym razem nie uciekła. Ostatnia koza, becząc dziko, przemknęła obok i wbiegła na zbocze. Shaina przyjrzała się rzeźbie z namysłem. Potem, nie spuszczać wzroku z jej dziwnie wymownego oblicza, podeszła bliżej. W tym miejscu zalegał cień, nie cień rzucany przez skałę, raczej coś, co spadło na nią z czystego nieba. Ś Panie Ś odezwała się Shaina Ś co ci jest? Czy obraziłam cię w jakiś sposób? Jeśli tak, błagam o wybaczenie. Bożek odwzajemnił jej spojrzenie nieprzejednanym, kamiennym wzrokiem. Ś Czy to... Ś zająknęła się Shaina Ś ...czy to mój smutek cię rozgniewał? A może mój śpiew? Proszę, nie bądź zły. Ciężko mi na sercu, choć wcale sobie nie pobłażam, możesz mi wierzyć. Ale podobnie jak ty, panie, jestem samotna i myślę, że pewnie tak już pozostanie. Ś Potem Shaina ośmieliła się podnieść głowę i lekko dotknąć stóp bóstwa. Powodowana jakimś impulsem zerwała biały kwiat rosnący w szczelinie skały i położyła go na ciemnej dłoni trzymającej róg. Ś Spójrz, panie, oto ofiara, która cię ułagodzi. Dla ciebie zabiłam biedny, żywy kwiat. Nie gniewaj się więcej. Spróbuję być szczęśliwa na tej smutnej ziemi, jeśli ty spróbujesz być dobry. Po tym wszystkim Shainę ogarnęło wielkie zawstydzenie, jakby ktoś przyłapał ją mówiącą na głos do

siebie, więc odwróciła się i pobiegła za kozami. 91 A kiedy tak biegła, miała wrażenie, że biegnie do samego nieba, i nagle coś w niej pękło, jakby pękł niewidzialny łańcuch. Wpadła na pastwisko, gdzie pasły się kozy. Ś Słuchajcie mnie, kozy Ś krzyknęła. Dłonie zacisnęła w pięści, oczy miała wielkie i jasne. Ś Nie wierzę, że zrobiłam wszystko, co mogłam zrobić. Nie wierzę, że zaklęcie okupione żywą krwią ma się zmarnować. Powinnam iść do niego jeszcze raz i jeszcze raz, bez względu na to, gdzie on się znajduje. Powinnam pójść do niego dwadzieścia razy, trzydzieści razy, dopóki jego dusza nie obudzi się i nie każe mi się wynosić. Dopiero wtedy będzie czas na łyzy. I tak podjęła postanowienie, żeby ponownie zapalić swoją świecę, ponownie rzucić wyzwanie ciemnościom. Dwanaście dni smutku minęło. Uwolniła się od ciężaru. Wszystko wydawało się łatwe i proste, i znowu przyszłość niosła ze sobą obietnicę. Może to ów demon zaklęty w skale obdarzył ją świeżym optymizmem i siłą woli. Wrzuciła brudne ubrania do strumienia i tłukła je zamaszycie. Pracowała ciężko i szybko, a wokół niej kozy tańczyły na pastwisku. Zmierzch nadszedł niepostrzeżenie i rozproszył wyspy leniwych chmur na niebie barwy goryczki, a twarz Shainy ozłociły wieczorne cienie. Znużona, położyła się na ziemi pomiędzy kozami skubiącymi trawę i zasnęła. Przyśnił jej się Dasyel w dalekim mieście, Dasyel jako król w wysadzonej klejnotami koronie, a u jego boku czarnowłosa dziewczyna w koronie ze srebra. Uśmiechała się przez sen. Słoneczny rydwan zaprzężony w szafranowe konie dotarł do ostatnich łąk nieba, kiedy Shaina i kozy zeszyły z pastwiska. Mijając skalne bóstwo Shaina pokłoniła się. Wizerunek był wyblakły i niegroźny. Ciepły blask zachodzącego słońca podkreślał jego starość, jego nieszkodliwość. Uspokojona Shaina pobiegła dalej w stronę wioski, niecierpliwie wyglądając nadejścia nocy, która niosła nadzieję. Nie widziała, jak biały kwiat, który zerwała, żeby przebłagać gniewnego boga, ponownie zapuścił korzenie w nagą skałę.

12.

Wiosenny Jarmark Słońca w Arkev rozpoczął się o brzasku, kiedy śpiew kapłanów rozległ się na Wieży Słońca. Zadzźwięczały gongi ze złota, stada gołębi wzbily się w różany, krystaliczny przestwór nieba. 92 Z Wielkiego Rynku w mieście dochodził hałas, jakby plac zamienił się w pole bitwy, gdzie jednocześnie grają niezliczone orkiestry. Wszystkie barwy, wszystkie dźwięki i zapachy znane w Korkeemie Ś i kilka nieznanych Ś mieszały się ze sobą, wszędzie cudowne przedmioty otwierały się jak kwiaty i jak ogony pawi, a za rydwanem słońca galopującym po niebie płynęły kłęby kurzu i opary kadzidła jak fiołkoworóżowa mgła. Na południowej pierzei wielkiego placu stał pałac księcia. Prowadziły tam wyniosłe, marmurowe schody. Co dwadzieścia stopni po obu stronach stali gwardziści odziani w szkarłat, biel i złoto, a każdy miał u złotego pasa dwa białe miecze. Na ostatnim marmurowym podeście w białej ścianie otwierało się pięć par ogromnych drzwi z kutego brązu, inkrustowanych złotem, srebrem i cenną emalią. Każdych drzwi strzegło pięciu karmazynowych gwardzistów, u stóp leżały czarne wilczury, trzymane na złotych smyczach, a nad tym całym roziskrzonym przepychem rozpościerał się chłodny, białobłękitny przestwór nieba. Nawet tutaj docierał zuchwały hałas jarmarku, co nie lękał się strażników ani psów, wprawiając w drżenie kolorowe szybki w oknach, budząc żonę księcia w atlasowej pościeli i biedną, nieładną córkę księcia w jej samotnym łożu; nie zdołał jednak obudzić samego księcia, który pod ciężkim jak burzowa chmura, aksamitnym baldachimem snił, że ściga naga, złotowłosa, delikatna, kusząca nimfę o białej skórze przez zielone kolumnady drzew, dopada jej nad strumieniem i... Ś No chodź Ś powiedział książę Ś chyba możemy jakoś dojść do porozumienia. Ś Chyba nie Ś odparła nimfa figlarnie. Ś Mam zwyczaj zabijać wszystkich wędrowców, którzy mnie ścigają. Wciągam ich do wody i topię. Ś No, no Ś ostrzegł książę przybierając godną postawę Ś ja jestem Moyko, twój książę. Ś Zdziwiłbyś się, gdybym ci wymieniła wszystkie ważne osobistości, które miałam honor utopić w tym

niepozornym strumieniu. Prawdę mówiąc jest tylko jeden człowiek, którego szanuję i o wiele za bardzo się boję, żeby go potraktować w ten sposób. Ś A któż to taki? Ś spytał książe Moyko wyniośle. Ś Jakże, to przecież Volk Volkhavaar, Władca Czarnoksiężników. Nawet ty, książe, co sypiasz w aksamitnym łożu, odkryjesz przed nim głowę, kiedy on tego zażąda. 93 W tym momencie książe się obudził, chociaż zdawało mu się, że ten sen był raczej snem na jawie. Otrząsnął się z rozdrażnieniem i pociągnął za złoty sznur przy łożu wzywając sługi, żeby przynieśli mu poranny napój z wina zaprawionego miodem i korzeniami. Ś Volk Volk... coś tam Ś wymamrotał z niechęcią. Ś Cóż za nieodpowiedni sen dla księcia. Za ciemnogrnatową szybą okna jakiś ptak uderzył skrzydłami i wzleciał w niebo. Pewnie gołąb ze świątyni Ś chociaż wydawał się za duży na gołębia, z okrutnym, haczykowato wygiętym dziobem... Może sokół. Wkrótce, wypiwszy napój, nałożywszy jedwabne szaty, wsunawszy pierścienie na palce i łańcuch z rubinami na szyję, książe ociężałym krokiem zszedł po błyszczących wewnętrznych schodach swego pałacu na śniadanie. Pięćdziesiąt lat liczył sobie książe, przez pięćdziesiąt lat kroczył własną drogą, przez pięćdziesiąt lat miał świadomość, że bogowie darzą go swą łaską. Kiedy był następcą tronu, za czasów swego ojca, musiał znosić pewne ograniczenia, choć niezbyt wielkie. Ale od dziesięciu lat, od śmierci starego księcia, ograniczenia się skończyły. Oczywiście szanował pamięć swego ojca. Stary książe, jak go nazywał Moyko, z załzawionymi oczami i ponuro opuszczonymi kącikami ust. Nigdy żaden zmarły ojciec nie miał bardziej kochającego syna. Spójrzcie tylko na grobowiec, który mu wystawił Ś ileż czasu zabrało samo zmuszenie mieszkańców bogatego Arkev do zapłacenia dodatkowych podatków na sfinansowanie tego przedsięwzięcia. Ale obecny książe był wielkim budowniczym. Wystarczyło przyjrzeć się złotym wieżyczkom na Świątyni Słońca, srebrnym oknom na vv schodniej fasadzie Świątyni Księżycy; wystarczyło tylko rzucić okiem na trzy wieże dobudowane do pałacu. O tak, to był nie byle jaki książe. Wszedł do sali jadalnej Ś pięćdziesiąt lat zakamieniałej ignorancji, zarozumiałości i głupoty Ś z głuchym odgłosem zwałił się na krzesło przed wysadzonym klejnotami talerzem i wziął do ręki wysadzany klejnotami nóż. Księżna wydiosła swoje rybie oczy, spoglądające złośliwie z blado-sinej, zaciętej twarzy. Ś Spóźniłeś się, mój ukochany mężu Ś oznajmiła, zamykając w tym tradycyjnym zwrocie tyle pogardy i niesmaku, ile tylko zdołała. Ś Rozmyślałem Ś skłamał książe. Ś Tak. Hmmm. Rozmyślałem o zamażpójściu twojej córki. 94 Nieładna córka księcia imieniem Woana spuściła oczy, a jej twarz okrył szarawy rumieniec. Nikt nie zechciałby się z nią ożenić, jeśli nie pójdzie do ślubu zasłonięta gęstym welonem, prowadząc za sobą siedemnaście mułów obładowanych posagiem Ś i nieszczęsna dziewczyna dobrze o tym wiedziała. Gdybyż tylko była córką biedaka, dawno już zostałaby mniszką w Świątyni Księżycy. Szczęśliwa byłaby mogąc się schronić w klasztorze. Ale księżniczka Woana nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Ponieważ Moyko nie miał syna ani żadnych widoków na legalnego męskiego potomka, zmuszony był zabezpieczyć przyszłą sukcesję w Arkev wydając córkę za jakiegoś godnego zaufania, męznego, ale nie za sprytnego młodego człowieka spośród arystokracji. To wielka niedogodność, myślał Moyko, że ta biedaczka odziedziczyła wygląd po matce i wyrosła na tak mało pociągającą dziewczynę. Jego żona myślała podobnie, tylko na odwrót. Żadne z nich nie winiło siebie. Zawsze była tylko „twoją córką”. Upokorzone spojrzenie Woany zatrzymało się na mozaikowej posadzce u jej stóp, gdzie siedziała jedwabiście czarna kotka chłęcząc śmietankę ze srebrnej miseczki. Brzydka księżniczka nigdy nie odważyła się pokochać innej ludzkiej istoty w obawie przed nieuchronnym odtrąceniem, ale jedno stworzenie kochała Ś swoją kotkę, Mitz. Mitz była śliczna, pełna wdzięku i fantazji, wesoła, odważna, ufna; posiadała wszystkie te cechy, których brakło Woanie. Alitz miała też kochanków, kochanków o lśniącej sierści, którzy śpiewali dla niej i walczyli o nią, składali jej namiętne dowody uczucia i porzucali ją z kociętami. W jakiś sposób Woana żyła poprzez Mitz, a co więcej, Mitz była jej bezwzględnie wierna. Kotka sypiała tylko na wypchanych łabędzim puchem poduszkach księżniczki lub na jej okrytych brokatem kolanach. Przyjmowała



jedzenie tylko z chudych, wątłych, upierścienionych rączek Woany. Reagowała tylko na dźwięk gardłowego, niedojrzałego, dziecinnego głosu Woany. Kiedy inni głaskali Mitz, Mitz ziewała i odchodziła; kiedy Woana ją głaskała, Mitz mruczała podnosząc ku jej twarzy swój trójkatny koci pyszczek i przymrużając szmaragdowe oczy z rozkoszy. „Miau,” mówiła Mitz, ale dla Woany to oznaczało: „Matko, siostró, ukochana, najlepsza.” Ś I cóż, mój najdroższy mężu Ś zgrzytnęła zębami księżna Korkeemu Ś jaki plan wymyśliłeś, żeby wydać za mąż swoją córkę? Ś Jest pewien wielki pan Ś zmyślił na poczekaniu książkę, żarłocznie pochłaniając jajecznicę z kaczych jajek. Ś Volk coś tam, zapomniałem, skądś z Równiny... będe musiał poważnie się nad tym 95 zastanowić. Twoja córka, pani, dawno już przekroczyła wiek odpowiedni do małżeństwa. Ś Nonsens. Twoja córka ma zaledwie... zaraz, niech pomyślę... ile masz lat, Woano? Och, nieważne, i tak nie spodziewam się, że pamiętasz. W każdym razie te sprzeczki przyprawiają mnie o chorobę, ó ciężką chorobę. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś, co mówił lekarz, jak to źle wpływa na moją wątrobę. Ś Miau Ś odezwała się Mitz. Wskoczyła lekko na ramię Woany. Wydawało się niemal, że znacząco przymrużyła oko: Nie mam nic przeciwko odrobinie siekanej wątróbki.

13.

Aktorzy zjeżdżali do Arkev z całego Korkeemu. Ustawili swoje okazałe namioty, rozwiesili jaskrawe chorągiewki i przemierzali ulice barwnym korowodem, wzdłuż nabrzeży rzeki, naokoło Wielkiego Rynku, podobnie jak reszta handlarzy zachwalając swój egzotyczny towar. Pieśni, dzwoneczki i bębny, czerwone i żółte stroje, karmazy-nowe pióropusze i pozłacane maski, ładne dziewczęta z kwiatami we włosach i w stanikach wyszywanych perełkami, sztukmistrze wyciągający z uszu zielone węże i znajdujący wróble w kapeluszach, połykacze ognia stąpający po ostrzach noży. Każdego dnia odkrywano krótkie, pozornie przypadkowo wybrane scenki w odpowiedzi na żądania tłumu: pasterze, bogowie, bohaterowie i przerażające bestie, stare legendy przyprawione szczyptą wulgarnego dowcipu i przywione odwiecznym dramatem miłości. Od czasu do czasu bójka pomiędzy rywalizującymi ze sobą trupami, młodzi aktorzy rekwirujący stoły w karczmach, obnoszący się z elegancją lisów, walczących tylko na pokaz, ale czy to ważne? Od czasu do czasu prawdziwe bójki Ś ktoś komuś ukradł kostium, domieszał końskiego łajna do kleju służącego do charakteryzacji, zszył razem nogawki spodni w strategicznych miejscach. Kilka dziewcząt nadąsanych i gniewnych, ponieważ każdej powiedziano, że jest najpiękniejsza. A wszystko było jedynie, grą, której oczekiwano od aktorów, prologiem do występów. Na północnej pierzei Wielkiego Rynku stała Świątynia Słońca ze ścianami z połyskliwego brązu i roziskrzonym złotym dachem, na którym przysiadły złociste kopuły jak zastygłe kule ognia. Przed świątynią, na wielkim, otwartym dziedzińcu, gdzie ustawiono wysokie, oświetlone podium przypominające ołtarz boga, w-'-dzie-96 siątym dniu Wiosennego Jarmarku miał się rozpocząć Festiwal Aktorów i trwać od wschodu słońca do północy przez następne trzy dni. Sztuki przesuwaly się przed oczami widzów jak sznur paciorków, jedna za drugą. W każdej sztuce stosowano wstrząsające efekty, każda trupa zdecydowana była udowodnić, że w porównaniu z nią wszystkie inne wyglądają na prostaczków z prowincji, o czym może się przekonać każdy, kto ma oczy do patrzenia, nieprawdaż? Jedna wspaniałość przyćmiewała drugą. Powietrze drżało i migotało przedzisywane iskrami misternie ciętych szklanych klejnotów, ciężkie od woni rzadkich kadzideł i saletry. Dwa lata wcześniej trupa Jy występowała na Wiosennym Jarmarku w Arkev i zdobyła pierwszą nagrodę, przyznawaną, jak kazał zwyczaj, w drodze powszechnego głosowania. Nagrodę stanowił wielki wór złota, ale Ś jak to zwykle bywa u aktorów Ś ten królewski dar natychmiast został przepity, przejezdony oraz roztrwoniony w inny sposób przez Jy i resztę trupy, i wkrótce nie zostało po nim ani śladu. Sława jednakże nie zginęła. Tłum widzów nie był ani tolerancyjny, ani drobiazgowy. Wiadomo było, że jeśli nie podbiło się go z miejsca, w powietrzu zaczynały latać zgniłe

pomidory. W tym roku imię Jy nie miało się pojawić na żadnej z list sporządzonych przez pisarzy. To imię można było odnaleźć tylko w mieście Svatza, na tamtejszym cmentarzu. Nie wiedząc o tym ani o to dbając, książę uważnie przeglądał listę sztuk swoimi wylupiastymi oczami, wybierając te, które zaszczyli swoją obecnością. Lubił przedstawienia, bardziej nawet lubił się na nich pokazywać niż je oglądać. Lubił patrzeć na swoje kwitnące miasto w mylnym przeświadczeniu, że cały ten dobrobyt jest wyłącznie jego zasługą. Lubił zasiadać na swoim złotym krześle pod brokatowym baldachimem, uśmiechać się łaskawie, kiedy sztuka mu się spodobała, albo też rozmawiać ostentacyjnie z otoczeniem, kiedy był niezadowolony. Lubił, kiedy głowy pochylały się przed nim jak łan pszenicy na wietrze. Żona rzadko mu towarzyszyła. Ś wątrobą czy też inna dolegliwość zatrzymywała ją w domu, a miała tych dolegliwości mnóstwo do wyboru, pełną szafę, jak mu się wydawało. Wyobrażał sobie, że każdego ranka jego żona staje przed tą szafą namyślając się, zapytując samą siebie: Co by tu dzisiaj włożyć, ból głowy czy przeziębienie? A może najbardziej twarzowa byłaby newralgia? Woana jednak zawsze przychodziła na przedstawienia i pochłaniała oczami każdą scenę, oczarowana jak dziecko. Książę wiele razy Czarnoksiężnik<sup>9T</sup> strofował ją za niestosowne okazywanie zainteresowania, ale bez skutku; i zawsze na jej kolanach siedział ten obrzydliwy kot mruczając, jakby on też oglądał przedstawienie. Gdyby jej na to pozwolono, ta głupia dziewczyna niewątpliwie przesiedziałyby tak całe trzy dni i dała nagrody wszystkim, nie wyłączając publiczności. Dziesiątego dnia jarmarku, zanim rozpoczął się Festiwal Aktorów, w najciemniejszej godzinie przed świtem wydarzyła się dziwna rzecz: na ulice Arkev spadły gwiazdy. Spadały gęsto jak deszcz. Wielu je widziało. Kapłani na wieżach świątyni, dziewczęta składające ofiary w Świątyni Księżyca, stróże na progach setek domów i marynarze na pokładach pięćdziesięciu statków. Widziały je psy i zaczęły wyć tak głośno, że pobudziły połowę śpiących obywateli, którzy podbiegli do okien i również je zobaczyli. Kochankowie zajęci miłosnymi sprawami zobaczyli je i stracili wątek rozmowy; pijacy leżący w rynsztokach zobaczyli je i przeklęli wino, które wypili. Nawet córka księcia podkradłszy się do kolorowej szyby w oknie ujrzała, jak spadają gwiazdy, chociaż sam książę tego nie widział, jako że twardo spał. Gwiazdy były srebrne i bardzo jasne, ale płonęły dziwnym, ciemnym blaskiem. Spadły na całe miasto, na wieże, na dachy domów, na bruk i do rzeki Kargi. Wyglądały dokładnie jak gwiazdy ze spiczastymi promieniami, a w dodatku śpiewały. Śpiewały tak: „Kernik nadchodzi, Kernik, Mistrz Iluzji, Kernik, Złodziej Ról. Niechaj miasto się gotuje, by zobaczyć przedstawienie, któremu nie dorówna nic.” Najwięcej gwiazd spadło na obozowisko aktorów. Krzatali się tam ludzie kończąc ostatnie przygotowania. Ś tego dnia mieli odegrać szesnaście sztuk z okładem. Dla nich gwiazdy śpiewały inaczej. „Strzeżcie się,” mówiły gwiazdy. „Kernik nadchodzi, Kernik ze swoją trupą. Kernik zaćmi was wszystkich; wstyďte się, prostytutki. Pakujcie manatki i wracajcie do domu.” Potem gwiazdy roześmiały się i znikły, znikły w całym mieście, gdzie zaczęły już zapalać światła. Aktorzy są przesądni. Wszyscy poczuli niepokój. W tajemnicy wzywali na pomoc rozmaitych bogów, spluwali i wykonywali rytualne gesty, żeby odegnąć nieszczęście. Ale każdy z nich czuł, że festiwal źle się zaczyna. Kiedy więc wstał pochmurny dzień, kiedy książę się spóźnił, a potem ziewał i rozmawiał niemal przy każdej kwestii, kiedy blaszane miecze gięły się, fajerwerki nie chciały wybuchać, liny pękały i repliki padały w próżnię, nikt nie był zbyt zdziwiony. Coś czy ktoś rzucił zły urok na aktorów. 98 Ale kim był Kernik? Tego imienia nie było na żadnej liście sporządzonej przez pisarzy, a banda rozwścieczonych młodych mężczyzn przeszukujących obozowisko nie natrafiła na żaden ślad ani jego, ani jego trupy. W nocy po tym fatalnym dniu na Arkev spadły płonące ognie. „Szukajcie Kernika,” śpiewały spadając na podwórza, na dachy, na okna, na przestraszone twarze mieszkańców. „Kernika, Władcy Snów i Tajemnic.” W dzielnicy aktorów niektórzy czekali z nożami w pogotowiu. Z nieba posypały się róże, świecąc jak szkarłatne iskry z jakiegoś ogromnego, niewidzialnego ogniska. Róże spadały i łączyły się ze sobą, aż utworzyły wielki, migotliwy kształt Ś

demon, który przechadzał się po alejkach między namiotami i śmiał się donośnym, teatralnym śmiechem, bardzo stosownym do miejsca i okoliczności, w jakich się objawił. Niektórzy rzucili się na niego, ale ich pięści i noże nie uczyniły mu żadnej krzywdy j przechodził przez nich jak duch, śmiejąc się ciągle i kiwając głową. „Brud, smród, gnój,” śpiewał. „Czemu nie wracacie do swoich brudnych, śmierdzących, zagnojo-nych dziur?” Następnego dnia niektórzy spakowali się i wyjechali. Aktorzy wierzą w znaki. Tego dnia odegrano osiemnaście sztuk i osiemnaście sztuk zrobiło klapę. Kernik rzucił urok. Aktorzy przeklinali go i uciekali przed zgniłymi warzywami, które jak grad padały na scenę. Ś Gdzie jest Kernik? Ś ryczał tłum ze śmiechem, jako że plotka zataczała już szerokie kręgi; okrutny żart został podchwycony i każdy chciał wziąć w nim udział. Sztuki magiczne Kernika jak dotąd wyglądały obiecująco, ale ktoś, kto pozwalał sobie na takie przechwałki, będzie musiał udowodnić, że jest dobry, o tak, będzie musiał tego dowieść. Wtedy albo obwołają go bogiem, albo Ś jeśli ich nie zadowoli Ś odbiją to sobie na nim wypędzając go z miasta jak psa razem z jego trupą. Ś Pokaż no się, Kerniku Chytrusie! Dalej, pokaż się nam! W całym mieście tylko ksiązę Moyko nie interesował się Kerni-kiem. Niepokoiło go inne imię. W snach prześladowały księcia diabły, które groziły, że rozerwą go na sztuki, dzikie bestie, które chciały go pożreć, gromy i nieszczęścia, które spadały mu na głowę, a kiedy jak zawsze we śnie protestował, że jest ich księciem, odpowiadały: „Tylko przed jednym człowiekiem czujemy strach: to Volk Volk-havaar, Władca Czarnoksiężników. Nawet ty, ksiązę, który sypiasz v\*99 w aksamitnym łożu, odkryjesz przed nim głowę, kiedy on tego zażąda. Trzeciej nocy, poprzedzającej ostatni dzień Festiwalu Aktorów, dwunastej i ostatniej nocy jarmarku, Arkev nie spało czekając, co tym razem spadnie z nieba. Nikt się nie rozczarował. Tysiąc łabędzi o piórach pokrytych cekinami nadleciało ze wschodu, zachodu, północy i południa i opadło srebrzystym wirem na pałac księcia Moyko. Ś „Kernik,” zaśpiewały dziewczęcymi głosami. „Jutro o północy.” Ś I zniknęły. Niewielu aktorów odważyło się wystawiać sztuki dwunastego dnia, a ci, co się odważyli, zdobyli nikłe uznanie. Wszyscy czekali. Nawet aktorzy trwali w ponurym wycekiwaniu. Czekali, by ujrzeć Wielkiego Impresaria, Złodzieja Ról. O zmierzchu zapalono pochodnie, wszedł sierp księżyca, a tłum zgromadził się wokół ogromnej sceny na dziedzińcu Świątyni Słońca. Shaina również czekała leżąc na sienniku w domu Starego Asha, dwunastego dnia jarmarku w Arkev, który dla niej był dwunastym dniem żałoby; tego dnia obudziła się do życia i stwierdziła, że jej serce nie jest jeszcze złamane. Była pełna obaw. Bała się, że własna niecierpliwość i brawura każą jej rozpocząć podróż zbyt wcześnie, bała się, że domownicy nigdy nie zasną, ponieważ Stary Ash, jego żona i syn przez cały wieczór narzekali i spierali się o to, co powiedział kapłan z Kost, i o wizyty w karczmie. Nawet teraz, kiedy już leżeli w łózkach, nie mogła opanować narastającego napięcia i pragnienia, żeby zacząć natychmiast. Bała się również, że zapomniała zaklęcia duszy albo jakiejś istotnej części czar. A najbardziej ze wszystkiego bała się powrotu do tego ciemnego, niebezpiecznego miejsca, gdzie przebywał pozbawiony cienia Dasyel. Wreszcie zapadła cisza przerywana tylko chrapaniem. Spokój ogarnął wszystko i wszystkich Ś prócz Shainy. Shaina dygotała z niecierpliwości, pragnęła jak najszybciej wydostać się z ciała i wzle-cieć w powietrze. Zaczęła recytować zaklęcie. Nie zapomniała słów; nie zapomniała niczego. Ból pojawił się jak poprzednim razem, ostry i przerażający. A potem, kiedy wzniosła się w górę, bezcielesna i nieważka, jak poprzednim razem wypełniło ją uczucie zdumiewającej, rozkosznej lekkości i swobody. 100 Dopóki nagle coś jej nie powstrzymało, nie kazało obejrzeć się ponownie tam, gdzie obok wygasłego paleniska leżała ona sama, jej cielesna powłoka, nieruchoma i nie oddychająca. Ciało Shainy, ciało pięknej, młodej dziewczyny: opalona skóra barwy miodu, ciemne zasłony rzes, włosy jak czarny potok spływający w dół ku krągłym, dziewczęcym piersiom, smukłe, silne ramiona, zgrubiałe od pracy dłonie. Na ten widok jej dusza poczuła znajomy ból bezcielesnej miłości. Pomyślała po raz pierwszy: Co będzie, jeśli się obudzą, zejda na dół i zobaczą mnie? Czy zauważa,

że jestem pusta? Ale było już za późno. Nie dbała o to. Księżycowa noc, pełna rozmaitych zapachów, wabiła ją jak dzikie zwierzę. Wzleciała w górę, srebrna Shaina z rozwianymi, widmowo białymi włosami, minęła potępiające ją demony i wzbijała się w eter. Leciała ponad wzgórzami, przez góry, lasy, rzeki, przez całą ogromną, uśpioną krainę Ś do Arkev. Leciała poza czasem. W sekundę później Ś czy w rok później Ś spłynęła na dach Świątyni Gwiazd, sama jak gwiazda, której blask zaćmiła luna pochodni jaśniejąca na północy. Arkev, miasto światła. Jednakże tej nocy wszystkie płomyki wydawały się skupiać w jednym miejscu, i ten tłum... Shaina sfrunęła na dół, niewidzialna, bo jej własny blask rozplynął się w świetle, i spoczęła lekko jak tchnienie na najniższym, złotym nadprożu Świątyni Słońca. Tłum kłębił się i falował nieustannie, ale tkwił przyrośnięty do miejsca jak dzikie kwiaty na łące. Wszędzie na rozległym dziedzińcu, na dachach, balkonach i w oknach tłoczyli się ludzie; mężczyźni i kobiety obsiedli nawet chwiejne, naprędce sklecone platformy, jak obłaskawione ptaki zlatujące się po pokarm. Dokładnie poniżej miejsca, gdzie zatrzymała się Shaina, pod bogatym baldachimem siedział opasły, nadęty mężczyzna w złocistym kapeluszu ozdobionym klejnotami, otoczony przez żołnierzy w czarno-biało-czerwonych mundurach, i dwie kobiety Ś jedna blada, wyraźnie cierpiąca na wątrobę, i druga ze smutnie pochyloną głową i rzadkimi włosami bez połysku; na kolanach tej drugiej siedziało małe, sztywno wyprostowane zwierzątko. Księżę, księżna i księżniczka Woana. Shaina zamarła na swoim miejscu tknięta przecuciem. Widziała wysoką scenę, wyczuwała podniecenie tłumu, o tyle większe i bardziej intensywne, a jednak tak silnie przypominające jej nastrój panujący w wiosce Starego Asha tego wieczoru, kiedy pojawił się tam mężczyzna o białej twarzy, strzelił palcami i z nieba spadł smok. 101 Dusza nie może odczuwać bicia serca, suchości w ustach i ściskania w żołądku, jakby kłębiły się tam roje pszczoł. A jednak Shainie wydawała się, że to możliwe, ponieważ właśnie coś takiego się z nią działo. W tej samej chwili dzwony zaczęły wybijać północ. Tłum, dotąd hałaśliwy i rozgadany, zamarł nagle w grobowym milczeniu. Nikt się nie poruszył, nie słychać było żadnego dźwięku. A potem... Ś Patrzcie! Ś wykrzyknął jakiś głos, a za nim inne: Ś Patrzcie! Patrzcie! Na scenie coś się działo, coś się tam pojawiło. Nie było żadnego prologu, żadnej zapowiedzi. W jednej chwili scena była pusta; w następnej puste miejsce zajmowała jakaś postać, zajmowała w całym tego słowa znaczeniu. Była Ś czy też tylko się wydawała Ś wysoka na siedem stóp, odziana w purpurową szatę koloru burzy. Jej głowę otaczały żółte, skłębione, trzeszczące błyskawice, z rąk strzelały snopy białych iskier, a kiedy uderzyła o ziemię swoją białą kuglarską laską, wystrzelił rój czerwonych iskier. Wybiła północ. Postać przemówiła, a dźwięk jej słów niósł się daleko i docierał do najodleglejszych krańców tłumu. Ś Kernik przybył, dobrzy ludzie z Arkev. Kernik zawitał do was. Kernik to j a. Czy jesteście gotowi obejrzeć przedstawienie? Tłum odzyskał głos. Ludzie zaczęli krzyczeć: tak, tak, są gotowi. Płomienna postać odwróciła się kierując spojrzenie na zachód, gdzie przed złocistymi drzwiami świątyni ustawiono baldachim księcia. Kernik, Złodziej Ról, złożył głęboki, przesadny, niemal obraźliwy ukłon. Potem, prostując się, wykrzyknął imię, które mieszkańcy Arkev być może niegdyś znali, ale zapomnieli: Takerna, imię-wezwanie. Miała to być ta sama sztuka, którą Jy wystawił w mieście Svatza, sztuka, którą Volk Volkhavaar oglądał tak zachłannie, chciwie i z zazdrością, sztuka, z powodu której przypadkiem zginął Jy. Teatralne efekty Jy były wspaniałe, dorównujące niemal magii. Ale efekty Kernika były oczywiście lepsze. Mag przemówił krótko do zgromadzonych widzów, opowiadając im w paru słowach o tym, co zobaczą. Potem cofnął się i jak gdyby rozplynął w powietrzu. Wszyscy aż krzyknęli, a wtem zaczęło się dziać coś nowego, coś jeszcze bardziej dziwnego i przerażającego. 102 To był księżyc. Wąski sierp księżycy chował się już za odległymi wieżami. Teraz księżyc wzeszedł nad tymi samymi wieżami i w niezrozumiały sposób wracał tą samą drogą, którą przebył wcześniej. Jedynie ignoranci nie wiedzieli, czym jest księżyc Ś srebrna łódź, w której żegluje bogini, łódź z czarnym żaglem i skrzydłami ogromnego

łabędzia. Kiedy księżyc dotarł nad dziedziniec, zaczął się obniżać; jego blask wzbierał, zalewał dziedziniec i wszystkie uliczki zimnym, białym, jaskrawym światłem. Pochodnie zamigotały i zgasły. Tłum wstrzymał oddech, tu i ówdzie ludzie padali na kolana. Księżyc spłynął z nieba i zawisł nad Świątynią Słońca, dokładnie taki, jak zawsze sobie wyobrażali, pod postacią łodzi o srebrnych burtach, jedwabnych żaglach, łabędzich skrzydłach, a w niej Ś bogini w szatach lśniących jak metal i lód, z ciemnobłękitną chmurą włosów. Rozbrzmiała muzyka, cudowna muzyka, chociaż nie było widać grajków. Bogini księżycyca w rozmarzeniu oparła głowę na bladej, lazururowej dłoni, a scena poniżej zamieniła się w górską łąkę, gdzie spoczywał uspiony pasterz pośród swych trzód. Wkrótce bogini go wysłuchiwała; uśmiech zakwitł na jej liliowych ustach. Przystąpiła burtę księżycowej łodzi i zeszała na dół jak po szklanych stopniach, a z jej szat osypywały się białe kwiaty. Pasterz zbudził się, ujrzał ją i przestraszony rzucił się na kolana. Ale bogini nie chodziło o modlitwy. Przyciągnęła do siebie pasterza, przywarła doń całym jaśniejącym ciałem, a wtedy wzgórze i księżycową łódź pochłonał płomień barwy indy go symbolizujący ich połączenie, po czym zapadła całkowita ciemność. Teraz zajaśniał różowoczerwony poblask: świt. Księżycowa pani umknęła przed nim i skryła się pod skałą. Nadciągnęła mgła i osłoniła ją, a potem pojawił się chór Ś mężczyźni z głowami wilków, kruków, jeleni; nie były to maski, ponieważ oczy lśniły, uszy się poruszały, skóra się marszczyła, zęby były białe i wilgotne. Chór zaczął opowiadać w sposób całkowicie pozbawiony szacunku, jak to nawet Bogini Księżycyca nie uniknęła tego powszechnego losu wszystkich kobiet i zaszła w ciążę. Jednakże wkrótce dwa jelenie przypomniały sobie pewną łanię, która należała do nich obu, i ruszyły do boju z nastawionymi rogami, a wilki zaczęły skradać się wokół nich z wywieszonymi żarłocznie językami; na to trzy kruki, jawnie znudzone, rozwinęły skrzydła, wzbiły się w niebo i znikły patrzącym z oczu. Wreszcie okropny krzyk zmusił wilki i jelenie do ucieczki. Mgła rozwiała się 103 i oto pod skałą leżało porzucone niemowlę o skórze świetlistej jak księżycowy blask, płacząc i kopiąc nóżkami. Znaleźli je pasterze. Posypały się rozmaite żarty, włącznie z mówiącą owcą, kroczącą sztywno, jakby kij połknęła, i dość gadatliwą, podobną trochę do księcia Arkega Ś czego tłum mimo oczarowania akcją nie omieszkał zauważyć i nagrodzić ochryplym aplauzem; dostrzeżono, że nawet żołnierze szczyrzyli zęby. Książę nie zrozumiał aluzji śmiał się oczywiście również. Jego żona uśmiechała się złośliwie. Woana była zbyt pochłonięta przedstawieniem, żeby chichotać. Nie spostrzegła nawet, że kotka Mitz zeskoczyła z jej kolan i schowała się pod krzesłem. Rzeczywiście wszyscy, łącznie z niewidzialną duszą Shainy przycupniętą na nadprożu, byli zupełnie zauroczeni, chociaż Shaina czuła również nieokreślony lęk. Bajka rozwijała się dalej, a wraz z nią hipnotyzująca iluzja. Kiedy słońce wbrew wszelkim regułom weszło spoza wieżyczek świątyni, urosło w wielką, złocistą kulę i opromieniło dziedziniec wspaniałym blaskiem nowego dnia, nawet sami kapłani pobledli. Ze słonecznego kręgu wyjechał złoty rydwan zaprzężony w sześć koni barwy szafranu, w aureoli promieni i chmur. Słońce było wielkim, grubym mężczyzną; pochylił się nad miastem, ogromny, oslepiająco jasny i tak straszny, że część publiczności rozbiegła się w poszukiwaniu schronienia. Pioruny i błyskawice rozdarły niebo. Wyrok został ogłoszony Ś Król Słońce w swojej hańbie nie ukaże się już nigdy ponad światem. Zapadła noc, noc bez księżycyca i gwiazd, gęsta jak czarna zasłona, a pochodnie na dziedzińcu w niewyjaśniony sposób ponownie same się zapaliły; ich płomienie były różowe i spiczaste jak ostrza mieczy. Mniej więcej wtedy właśnie Shaina wyczuła, że obok niej przeszedł Dasyel w drodze przez dziedziniec. Nikt go nie mógł zobaczyć dzięki iluzji, którą czarnoksiężnik zarzucił na niego jak płaszcz, lecz w chwilę później Dasyel zmaterializował się podobnie jak reszta trupy Kernika i stał się bohaterem bajki, jak już kiedyś w mieście Svatz. Na Dasyela rzucony został szczególny czar, podobnie jak na Yevdorę, gwiazdną księżniczkę, i na Roshiego, Słońce, ponieważ byli żywymi ludźmi, a nie zwyczajną iluzją. I choć tłum nie miał o tym pojęcia, jednak do pewnego stopnia to wyczuwał. Podziwiał

bohatera i bohaterkę nie tylko za ich wygląd, a Króla Słońce nie tylko za ulotne melodie, które Roshi wyczarowywał z piszczałki, kiedy już ucichł jego przerażający gniew. 104 Głos Dasyela, wypowiadający tak bezbłędnie i bez zajaknienia słowa sztuki, rozbrzmiewał w sercu duszy Shainy jak cicha, nieziemska muzyka, aż wreszcie opuściły ją wszystkie mroczne obawy. Dasyel walczył ze smokami, smokami groźniejszymi od tego, który narobił zamieszania w wiosce Starego Asha, bestiami tak jadowitymi i koszmarnymi, że kobiety mdlały na ich widok. Dasyel przemierzał góry, góry z mgły i ognia, które niewidzialny pędzel malował na niebie. Tym razem jego błyszcząca zbroja nie miała żadnych dziur, miecz zmienił się w prawdziwego węża, a gwiazdna księżniczka w swojej roziskrzonej sukni zjechała ku niemu w powozie z białego kryształu, ciągniętym przez zaprzęg gołębi. Patrząc na niego Shaina czuła ból, słodki ból przeszywający jej serce jak srebrny sztylet. Stopniowo przestała zwracać uwagę na cuda, które się działy na scenie, widziała tylko jego jasną postać poruszającą się jakby we mgle. Zapomniała o wszystkim, zapomniała, kim jest i gdzie się znajduje, zapomniała nawet o Kerniku Okrutnym. Kiedy na koniec pojawił się wielki, bladeżółty dysk powracającego słońca, spadł złocisty, pozbawiony wilgoci deszcz, a kwiaty rozrzucone po całym dziedzińcu sypały wielobarwne płatki na głowy zachwyconych widzów, Shaina leżała na nadprożu świątyni rozmarzona, na wpół uśpiona, pijana miłością. Przez rzędzące ciemności jak przez cienki płaszcz prześwitywał błękitny brzask. Wkrótce prawdziwy poranek jeszcze raz zstąpi na oświetlone ulice i festiwal się skończy. Teraz zaś blade płomyki pochodni płasały i skwierczały, jakby udzieliła im się rozpasana wesołość tłumu, który szalał na murach i rusztowaniach, wrzeszczał, wył, tupał nogami; rzucano złote monety z balkonów i klejnoty z okien, ludzie na rynku wołali, żeby książę wyznaczył nagrodę. Ś nie jeden, ale dwa, trzy, cztery worki złota; nie, koronę albo złotą szatę, a najlepiej złoty tron księcia razem ze wszystkim, co symbolizuje. O tak, Kernik, Wielki Kuglarz, musi zostać ukoronowany. Nigdy dotąd świat nie widział podobnego przedstawienia. Książę Moyko był zakłopotany. Podczas oglądania sztuki kilka razy przyłapał się na tym, że wytrzeszcza oczy i rozdziawia usta ze zdumienia. A teraz to niepokojące żądanie, żeby obdarował w tak niebywale rozrzutny sposób zwykłego kuglarza... Tego naprawdę było już za wiele; ci bezmyślni głupcy ze swoimi wrzaskami! Owszem, sztuka była bardzo dobra, bardzo interesująca, ale przecież to tylko zręczny trik... 105 A potem bardzo blisko pojawiła się purpurowa postać i skłoniła się równie wyszukanie jak poprzednio. Ś coś za wulgarność i brak finezji. Książę spiorunował książęcym spojrzeniem tego człowieka, jego niewiarygodnie bogatą, haftowaną szatę i wysoki żółty kapelusz. Jakże biała jakże śmiertelnie blada, była jego twarz, uśmiechnięte usta jak otwarta rana, podmalowane złoto oczy tak zapadnięte, nieruchome i bezlitosne jak oczy mordercy przed chwilą odciętego z szubienicy... Moyko wziął się w garść i powiedział trochę za szybko: Ś No, Kerniku, jak sam słyszysz, zdobyłeś nagrodę. Ś Jeszcze nie całkiem Ś odparł Kernik. Zmieszany książę z jakiegoś powodu wołał nie nalegać na wyjaśnienie tych słów. Ś Dość długi kawałek Ś zauważył protekcjonalnym tonem Ś ale zręcznie zrobiony, muszę przyznać. Odwrócił się, żeby zawołać o tradycyjną nagrodę, i zobaczył, że nagroda już stoi obok, niecierpliwie czekając na wręczenie. Ś jeden opasły wór, a wszędzie wokół niego brosze, szpilki, pierścienie i inne kosztowne ozdoby, ofiarowane przez dworaków Moyki. Do diabła, pomyślał, teraz ja też będę musiał coś dać. I nieznacznie obejrzał swój strój szukając jakiegoś drobiazgu, który wyglądałby na cenny, a był bez wartości. Ale głos dobywający się z ostro wykrojonych ust kazał mu zamilknąć. Ś Błagam, nie obsypuj mnie darami, mój panie. Pochodzę z Równiny Yolkyanu, a tam honor wart jest więcej od złota. Nie przyjmę nic, nawet nagrody. Pochwała miasta Arkev jest wystarczającą zapłatą dla mnie i dla moich dzieci, aktorów. Tłum zaniemówił na chwilę, po czym wybuchnął rykiem uniesienia. Książę wyglądał na lekko zaskoczonego, nie tyle jednak dziwnym zachowaniem gościa, ile raczej... Ś Yolkyan? Ś spytał. Ś Volk-yan? Ś Wasza książęca mość Ś oznajmił Kernik, Mistrz Iluzji Ś odgadła już chyba moje

drugie miano. Niektórzy nazywają mnie Volk. Volk Volkhavaar. Książę Moyko poczuł, że robak uspijony w jego sercu obudził się i podniósł łeb. Oczy go paliły, ale nie mógł oderwać spojrzenia od przerażających ust obcego. Pod krzesłem księżniczki Woany kotka Mitz wygięła grzbiet w łuk i położyła uszy po sobie. Nikt tego nie zauważył. Nawet Shaina, spoczywająca jak obłoczek mgły na złotym nadprożu, widziała tylko twarz Dasyela, czarująco uśmiechnięta, pochyloną w geście hołdu przed piękną Yevdorą, i jego błękitnozielone, zielono-106 błękitne oczy, lodowato zimne jak blade klejnoty, które mu ofiarowywano. Teraz książę wstał, żeby wygłosić przemówienie, a ludzie krzyczeli i wyrzucali w górę czapki. Ponownie rozbrzmiała muzyka i rozpoczął się szaleńczy, radosny, zaimprovizowany taniec. Dokąd odchodził książę razem z Kernikiem, Wielkim Kuglarzem? Nieważne, ludzie księcia zgadzali się na wszystko. Nagle złoty tron znalazł się w górze, niesiony na ramionach tłumu, podczas gdy jadący na nim książę wykonywał słabe, nerwowe gesty; następnie podniesiono do góry jego chudą żonę i zarumienioną córeczkę. Potem przyszła kolej na Kernika, który kłaniał się i uśmiechał dobrotliwie jak ojciec; potem podniesiono młodego aktora i prześliczną aktorkę; nawet grubego Króla-Słońce jakoś udało się podźwignąć i przenieść kawałek. Gdzie się podziała reszta niesamowitej trupy Kernika? Nikt nie zwrócił na to uwagi. Tego ranka w powietrzu unosiły się czary, tak jak w poprzednie dni zapach saletry. Kierowali się do pałacu. Chociaż Święto Słońca właściwie się skończyło, wydawało się, że festyn będzie trwał dalej własnym rozpędem. Nawet kapłani przyłączyli się do pochodu, nawet zawoalowane dziewczęta ze Świątyni Księżyca; całe Arkev zebrało się na północnej pierzei placu. Shaina uniosła się lekko jak dym i pomknęła za nimi. Nie wiedziała, że rzucono na nią czar.

Pośrodku rozkołysanego tłumu sfrunęła w dół, niewidzialna, przejrzysta, nie dostrzeżona przez nikogo, wśliznęła się na miejsce obok Dasyela i płynęła u jego boku. Dziewczęta obrzucały go kwiatami, zrywały z sukien klejnoty ofiarowane przez kochanków i oddawały mu te pamiątki Ś złoto i srebro błyszcząco w promieniach wschodzącego słońca. Shaina unosiła się obok Dasyela. Kwiaty przelatwały przez nią na wskroś. Dotykała jego ręk i jego włosów. Wiedziała, że nadszedł świt, ale to nie oznaczało dla niej niczego szczególnego; nie odebrała żadnego ostrzegawczego znaku, żadnego ponaglenia do powrotu. Tłum zapełnił Wielki Rynek przed pałacem. Rozpoczynała się uczta. Całe miasto burzyło się i huczało, na wieżach i na dachach domów roili się ludzie. Książę, księżna i księżniczka Woana jadąc na ramionach tłumu dotarli aż do drzwi pałacu. Po chwili byli już w środku, a żołnierze ze 107 śmiechem powstrzymywali napierający, rozradowany tłum. Ale Kernik również znalazł się w środku, Kernik i jego aktorzy, a potem wszystkie drzwi jednocześnie zatrzasnęły się z hukiem.

14.

Kernik wiedział, co robi, Kernik Volk Volkhavaar. Upodobał sobie symboliczne gesty, tak istotne przecież dla jego życia. Lubił kierować ludźmi w ten sposób, stopniowo, krok po kroku, zarzucając migotliwą sieć, zaciskając ją i rozluźniając, jak kot igrający z myszą. Biegnij, myszko, zobaczymy, jak daleko potrafisz uciec, zanim Volk podniesie łapę. Niezbyt daleko. Volkhavaar przejrzał już ich wszystkich, tłustego, ograniczonego księcia, jego zgryźliwą żonę i nieładną, nieciekawą córkę. Sny, które zesłał na księcia, znakomicie spełniły swe zadanie. Skręcając się ze zmieszania, usiłując odzyskać trochę godności i powstrzymać drżenie nóg, książę oświadczył: Ś Panie, jesteś... eee... najmilej witany gościem. Musisz zjeść z nami śniadanie. Cóż za wspaniałe przedstawienie... gorąco polecam kacze jaja... kieliszek wina? Tym razem Volkhavaar użył bardzo subtelnej iluzji, żeby zmienić swój wygląd. Wydawał się niezwykle wysoki i prosty, o twarzy ciemnej i złowrogiej. Z jakiejś przyczyny książę, a nawet księżna, odnieśli wrażenie, że to raczej on, a nie oni, powinien zasiadać w tej ogromnej sali, otoczony przez kłaniającą się służbę, i zanurzać

swoje szpony w srebrnych miseczkach do płukania palców, że może (mów ciszej) miejsce i posiłek nie były dla niego dość wytworne. Księżna zorientowała się że rozmawia z nim z wyszukaną uprzejmością, że słucha go z zapartym tchem, jakby każde słowo, które padło z tych przerażających ust, było ze szczerego złota, że nawet Ś coś takiego! Ś stara się mu przypodobać. Za każdym razem, kiedy nachodziły ją te niepokojące myśli, zbywała je wzruszeniem ramion, powtarzając sobie uspokajająco: Ależ naturalnie, on jest taki dowcipny, taki wytworny Ś z pewnością to jakiś przebrany ksiązę włóczący się po gościńcu dla zaspokojenia własnej fantazji. Fascynująca ekscentryczność. Nawet sposób, w jaki trzyma nóż, znacznie góruje nad sposobem, w jaki Moyko posługuje się tym sztucem. Niewątpliwie zauważył już moją wyższość, wystarczy spojrzeć, jak na mnie patrzy. I księżna, mile polectana i zarumieniona, ku własnemu przykremu zaskocze-108 niu wybuchnęła swoim piskliwym, nieopanowanym, dziewczęcym chichotem. Woana skuliła się na swoim miejscu utkwwszy oczy w talerzu. Mitz uciekła i nie można było jej znaleźć. Woana domyślała się, że dezercję kotki spowodowała obecność tego przerażającego przybysza. Sama też czuła przed nim lęk, chociaż nie potrafiła powiedzieć, z jakiego powodu. Na widok tej chudej, szponiastej ręki uniesionej nad stołem czuła zimne, lepkie ciarki strachu i odrazy. I to imię Ś czyż jej ojciec nie wspominał wcześniej o małżeństwie? Strzeżcie jej, bogowie, ona, która od tak dawna przestała marzyć o zamażpójściu, prędzej umrze, niż zostanie żoną Yolka Volkhavaara. Od czasu do czasu jednak podnosiła ukradkowe, bojaźliwe spojrzenie na pozostałą trójkę gości. Młody mężczyzna i dziewczyna peszyli ją w jednakowym stopniu. Podziwiała ich urodę, ale nie pragnęła od nich niczego. Życie nauczyło ją dźwigać własny los samotnie. Teraz, kiedy spotykała przystojnego mężczyznę, spoglądała na niego tylko raz, jak się patrzy na oślepiające słońce, na coś obcego i niepojętego, co na zawsze pozostanie niedostępne. Ale gruby aktor przyciągał jej uwagę i nie budził w niej onieśmienia. W jakiś sposób widok jego masywnej postaci, zmarszczek od śmiechu wokół ust, brązowej, spalonej słońcem twarzy podnosił ją na duchu. Wcześniej był olśniewającym bogiem w niewiarygodnym rydwanie z płomieni. I tak świetnie grał, tak zręcznie wyciągał z powietrza ametystowe jajka i błękitne ptaki. Z pewnością tak miły, uprzejmy, tryskający zdrowiem mężczyzna nie może być przyjacielem Yolka Volkhavaara Ś a jeśli tak jest, to widać niesprawiedliwie oceniła dyrektora trupy. Przed pałacem na Wielkim Rynku ustawiano stoły na kozłach, znoszono beczki i talerze. Tłumy ucztowały i piły, wznosiły toasty za księcia i za Kernika, Wielkiego Kuglarza. Woana nie rozumiała, jak do tego doszło. Taka szczodrość nie pasowała do jej ojca, ale widocznie ten dziwny, wysoki mężczyzna zdołał go przekonać... i jakże nieswój wydawał się ksiązę z tego powodu. Nagle Woana uświadomiła sobie, że czyjeś mętne, pałace spojrzenie przeszywa ją na wskroś Ś wzrok Yolka. Ze zdenerwowania oczy zaszyły jej łzami i wargi zaczęły drżeć, dopóki nie spostrzegła, że to niechętnie spojrzenie Ś tak, naprawdę wyrażało wrogość Ś nie jest skierowane na nią. Zdawało jej się, że w ciemnym kącie pokoju, pośród fałd ciężkich gobelinów, widziała przez chwilę jakiś cień, nie czarny, lecz srebrny. Mrugnęła, a wtedy cień zniknął. 109 Ksiązę Moyko ziewnął. Nagle opanowała go nieprzeparata potrzeba snu. Czuwał przecież przez całą noc, a hałaśliwy tłum bardzo go zmęczył. Dzień był upalny i gorąco ciążyło mu jak futrzany płaszcz. W dodatku ten grubas grał na piszczałce tak słodko, jakby słowik śpiewał w jasnym świetle poranka, a melodia płynęła łagodnie, szmaragdowym cieniu, ułożyć się na miękkim, zielonym łonie Matki Ziemi i... Jakiś brzęk obudził księcia, któremu głowa opadała ciężko na piersi. Upuścił kielich. Żona znowu wbija w niego wodniste spojrzenie. Czyżby chrapał? No, nieważne, w końcu jest księciem Korkeemu i... Ś Ukochany mężu Ś odezwała się księżna wstając Ś twoja córka i ja pójdziemy na górę do naszych pokoi, żeby trochę odpocząć. Oczy same nam się zamykają Ś dodała głosem ociekającym pogardą. Ś Jak sobie życzysz Ś odparł ksiązę rozglądając się ukradkiem. Volk Volkhavaar uśmiechał się do niego życzliwie. Wnętrznosci księcia zamieniły się w lód, ale



zaraz pomyślał: To człowiek dobrze wychowany, który rozumie podobne subtelności. Lepiej traktować go uprzejmie. Oczywiście kilka głupich snów nie mogło na mnie w ten sposób wpłynąć, ale zawsze lepiej na ziemne dmuchać. Zaraz, co to ja chciałem powiedzieć? Ś To bardzo uprzejmie z twojej strony Ś odezwał się Yolkhavaar. Ś Jestem zarówno wdzięczny, jak i zaszczycony twoim zaproszeniem, panie. Widzę, że nie darmo ludzie opowiadają jak kraj długi i szeroki o szczodrości księcia Korkeemu. Co ja takiego powiedziałem? zapytał sam siebie zatrwożony książę, ale nie mógł sobie przypomnieć. Niewątpliwie ofiarował gościnę, temu potężnemu Ś nie, nie, temu wspaniałemu przybyszowi, czyli zrobił ostatnią rzecz, jaką zamierzał zrobić, chociaż może... W tym momencie książę Moyko przestał się zastanawiać. Otarł spoconą twarz jedwabną chustką i chwycił wytoczył się z jadalni na schody prowadzące na piętro, a za nim pospieszył tradycyjny orszak służących. W sypialni Moyko z ulgą padł na wielkie, wygodne łoże i zasnął twardo jak kamień. Kernik Volk ucałował dłoń księżnej. Jego wargi były zimne i nieczułe, ale z jakiegoś powodu księżnie to nie przeszkadzało. Cóż, był całkiem przystojny na swój własny, szczególny sposób, chociaż oczywiście tylko bystra, wrażliwa kobieta, potrafiąca dostrzec w ludziach ich ukryte zdolności i prawdziwą wartość, mogła to zauważyć. 110 Woana próbowała wymknąć się cicho jak myszka, jak mała, szara, niezręczna myszka skradająca się pod ścianą. Volkhavaar naturalnie to zobaczył, ale pozwolił jej nieco się oddalić, zanim skoczył na swą ofiarę. Jego dłoń lekko opadła na ramię księżniczki, która miała wrażenie, że ostre zęby wpijają się jej w ciało. Ś Tak szybko uciekasz, nieśmiała księżniczko? A ja myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi. Ś Ja... ja... Ś zająknęła się Woana Ś ...ja chciałam tylko poszukać Mitz. Nie mogę jej znaleźć. Ś Biegnij więc Ś powiedział mag i puścił ją ścisnąwszy lekko za ramię w przyjacielski, diaboliczny sposób. Ś Będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu, żeby pogłębić naszą znajomość. Teraz muszę się zająć pewną sprawą. Woana pobiegła. Serce podchodziło jej do gardła. Wpadła do swojej samotnej komnatki i zabarykadowała drzwi. Ale wcale nie poczuła się dzięki temu bezpieczniej, ponieważ skądś wiedziała, że zamki i kraty nie stanowią dla straszliwego modlitwę, ale słowa nie chciały się zjawić. Wkrótce, mimo całego przerażenia, zapadła w głęboki, mocny sen. Był to dziwny sen. Ciężki i słodki, opadł na całe miasto jak purpurowy śnieg. Zasnęli nie tylko książę i księżna, nie tylko księżniczka Woana; wszędzie Ś w pałacu, w domach i świątyniach, na rynku i na przystani Ś mieszkańcy Arkev mamrocząc niewyraźne usprawiedliwienia układali się w cieniu, żeby spać. Nawet statki drzemały na rzece, nawet psy zasypiały nad kością, nawet ptaki przycupnęły nieruchomo na dachach ze złożonymi skrzydłami jak zmięte kule papieru. Arkev, ruchliwe Arkev spoczywało okryte lawendową mgiełką, a z ulic, zwykle tak gwarnych i rojnych, rozbrzmiewających biciem dzwonów, szczeniem psów i dźwiękiem młotów, unosiło się ku niebu rozkoszne chrapanie. Kilka osób jednak nie spało. Za ledwie pięć. A spośród tej piątki tylko dwoje nie spało naprawdę. Pod ścianami obwieszonymi gobelinami drzemali służący. Gruby Roshi odłożył pizczalkę i siedział patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem; obok niego siedziała Yevdora, z równie pustym spojrzeniem i klejnotami wplecionymi w jasne włosy. Dasyel stał w cieniu przy końcu komnaty, nieruchomy jak drzewo w obumarłym lesie, gdzie nie wieje żaden wiatr. 111 Volk Volkhavaar, siedząc bez ruchu na złotym krześle księcia, czekał jak kot nad mysią dziurą. A potem zobaczył znowu to samo, co dostrzegł wcześniej, chociaż wtedy nie dał nic po sobie poznać. Dasyel, który utracił swój cień, nagle go odzyskał. Srebrny cień, niezbyt do niego podobny. Oczy Yolka zwęziły się lekko, usta rozciągnęły się w uśmiechu. Ś Pewnego razu Ś powiedział łagodnym tonem Ś młoda czarownica... nie będę wymieniał jej imienia, gdyż nie znam go i nie potrzebuję znać... ujrzała młodego mężczyznę i powiedziała sobie: On mi się podoba; pójdę za nim. Jednakże będąc czarownicą, a nie zwykłą dziewczyną, nie wyruszyła za nim na piechotę, na swoich smukłych, silnych nogach, zawiązawszy chustkę na długich, długich

włosach, z tobołkiem na plecach. Nie, ona wypowiedziała zaklęcie i wysłała w ślad za nim swą duszę. A teraz jej dusza krąży i krąży wokół niego jak ćma wokół lampy. Ś Srebrny kształt za Dasyelem drgnął i lekko zamigotał. Volk uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ś Wydaje się, iż mimo całej swojej przebiegłości młoda dama nie przewidziała, że jej dziewicza duszyczka będzie świecić tak jasno i wydzielać tak upojny zapach. Zdaje się, że nikt jej nie uprzedził: Strzeż się, ktoś może dostrzec ten blask i wywęszyć ten zapach. Zdaje się również, że nikt jej nie ostrzegł, żeby koniecznie wróciła do swego ciała przed świtem, bo inaczej ludzie mogą coś zauważyć. A może sprytna, lecz źle poinformowana młoda dama mieszka samotnie? Czy wobec tego zdaje sobie sprawę, że jej nieobecność nie powinna się przedłużać, gdyż w przeciwnym razie magiczna nić łącząca duszę z ciałem... Ś Volkhavaar wstał i przeszedł przez salę Ś ... może pęknąć, ot tak... Ś Podkreślając ostatnie słowo strzelił palcami Ś Trzask! Srebrny błysk zawirował i rzucił się do ucieczki. Wzbił się w górę, przemknął pod ścianą i wyleciał przez najbliższe okno. Volk szczerząc zęby jak wilk wskoczył na parapet. Wzniósł ramiona. Zamieniły się w skrzydła. Podniósł głowę. Zamiast twarzy miał okrutną ptasią maskę z zakrzywionym dziobem. Volkhavaar stał się sokołem, a sokół wzbił się w powietrze z urągliwym okrzykiem, patrząc prosto w słońce, i pomknął tropem zapachu swej bezcielesnej ofiary Ś duszy Shainy. Zupełnie jak człowiek, który odkłada na chwilę ważniejsze sprawy, kiedy nadarzy mu się okazja do rozrywki.

15.

Dzień, który przyniósł Arkev czary i szaleństwo, w wiosce Starego Asha rozpoczął się zupełnie zwyczajnie. Na razie. Rozpalano ogień wymawiając nad nim odpowiednie słowa. Kobiety ruszały do studni i garnków, mężczyźni obrządzali bydło. Potem w tej harmonii codziennych dźwięków pojawił się pierwszy dysonans. Któż nie rozpoznałby głosu żony Starego Asha, wrzeszczącej i pomstującej na swą niewolnicę? Młody Ash, nadal trzeźwy, wyszedł obrządzić kozy; Stary Ash wyruszył ścinać drzewa nad strumieniem. Jego żona zeszała na dół spodziewając się zastać niewolnicę przy pracy Ś przynoszącą wodę, rozpalającą ogień, gotującą owsiankę Ś a tymczasem, na Matkę Ziemię! ta gnuśna niedołęga wciąż leżała na wznak obok zimnego, pełnego popiołu paleniska. Ś Wstawaj, ty szelmo przeklęta przez bogów! Wstawaj! Ś krzyknęła żona Starego Asha, ale niewolnica nawet nie drgnęła. Żona Starego Asha uklękła obok niej i zaczęła nią brutalnie potrząsać, krzyczała jej prosto w uszy, a wreszcie wylała na nią cały dzban wody. Potem jej wrzask rozległ się z taką siłą, że nawet ci, którzy ją znali, osłupieli ze zdumienia. Jak później stwierdzono, żaden człowiek ani zwierzę nie mogli dalej spać w takim hałasie, a powiadano, że nawet nieboszczycy na cmentarzu za wzgórzem zbudzili się i przewracali w grobach. Tylko niewolnica wciąż leżała bez zmysłów na swym posłaniu ze szmat, z rozrzuconymi bezwładnie rękami i szczelnie zamkniętymi oczami, a z jej ust nie wydarł się nawet jeden jęk. Kapłan z Kost zajadał właśnie świeżo upieczony chleb w domu Mikliego, kiedy wrzask osiągnął swoje pełne natężenie. Ś A któż to taki? Ś zapytał kapłan. Ś Żona Starego Asha Ś wyjaśnił Mikli Ś strofuje swoją niewolnicę. Ale w chwilę później wrzask rozbrzmiał nową nutą Ś nutą rozpacz. Ludzie wybiegli na drogę, a tam stała żona Starego Asha bijąc się w pierś i wznosząc oburzoną twarz ku niebu pełnemu bogów. Ś Ooo! Ś piszczała. Ś Niewolnica jest chora! Stracone pieniądze, zmarnowane dobre jedzenie, które jej dawałam! Ooch, nie starczy łez, żeby to opłakać! Ostatni wyszedł na drogę kapłan. Niewielki tłumek w szacunkiem rozstąpił się na boki, żeby dać mu przejście. Kapłan podszedł do żony Starego Asha i czekał, aż przestanie hałasować. 8 Czarnoksiężnik...L 1 J Ś Gdzie jest twój mąż? Ś zapytał. Ś Ścina drzewo nad strumieniem, niechaj niebo go ma w opiece. Ś A co to za kłopot masz z niewolnicą? Ś Ona jest chora, ojciec Ś jęknęła kobieta. Ś Podła, niewdzięczna dziewczucha, tyle z niej pożytku. Ś Na co chora? Ś zapytał kapłan. Ś Tak na pewno to nie wiem. Zawsze dostawała wszystko, co najlepsze. Nie ma gorączki, ale leży nieprzytomna i chociaż nią potrząsam, w ogóle się nie rusza.

Na te słowa tłum zaczął szemrać. Kapłan rozkazał: „Niech ktoś pójdzie po Starego Asha,” a sam wszedł do domu omijając żonę i zbliżył się do posłania Shainy. Natychmiast głowy ciekawskich wypełniły drzwi, odcinając dostęp światła. Kapłan ukląkł obok Shainy. Przyjrzał się jej badawczym wzrokiem; dotknął szybko jej szyi i przegubu ręki, potem pochylił się i przysunął do jej ust złoty symbol słońca, który nosił na piersi. Po chwili objął krążek i popatrzył nań. Przygryzł wargę. Ech, ty ś westchnął z wyrzutem pod adresem swojego żołądka. Ty z tymi twoimi obiadami, śniadaniem i kolacjami, ty z tym twoim: przesłuchaj niewolnicę jutro albo pojutrze... No i widzisz, co się stało. W tejże chwili Stary Ash wtoczył się do izby jak czarny niedźwiedź, dotknął czoła przed kapłanem i wytrzeszczył oczy w zdumieniu i przerażeniu na swoją ceną własność leżącą bez życia na ziemi. Ś Co jej się stało, ojczy? Ś Zdaje mi się Ś powiedział kapłan Ś że ona już nie oddycha. Ś Chóralny jęk od drzwi. Ś Zdaje mi się również Ś ciągnął kapłan Ś że nie jest martwa. Może, nie wiedząc o tym, trzymaliście u siebie czarownicę. Od jak dawna macie tę dziewczynę? Ś Gdzieś tak od roku, chyba Ś odparł Stary Ash. Ś Na Zimnej Turni też mieszka czarownica, prawda? Ś zagadnął kapłan, który niewiele przeoczył. Szepty przy drzwiach. Stary Ash spuścił oczy. Ś Ależ skąd, ojczy. Czarownica? Nie, nie. Ś Bardzo dobrze Ś oświadczył kapłan. Ś I tak widzę, co jest na dnie, mimo że przez cały czas rzucacie kamienie w wodę. Nadgarstek niewolnicy owinięty był kawałkiem płótna, czego nie zauważył nikt prócz kapłana. Swoimi grubymi palcami kapłan szybko rozsypał opatrunek i uważnie obejrzał rękę. 114 Tak jak się domyślał. Dwie małe, prawie zagojone blizny, niczym ślad dwóch małych, ostrych ząbków, przypominających zęby kota lub lisa. Znak czarownicy. Ś A czego żąda Pani Zimnej Turni w zamian za swoje przysługi, swoje miłosne napoje i leki sprowadzające sen? Czy ceny są różne? A może zapłata jest zawsze taka sama? Kto jeszcze z was płacił krwią? Śłumione okrzyki zaskoczenia. Potem zza pleców tłumy jakaś kobieta zawołała śmiało: Ś Takiej ceny nigdy nie płacił nikt w tej wiosce. Ś Mam nadzieję, że mówicie prawdę Ś mruknął kapłan i wstał, surowy i groźny w swojej czerwonej szacie. Ś Chociaż wątpię, czy ktokolwiek z was kupował czary. Oprócz tej dziewczyny, a z nią trzeba będzie skończyć przed północą. Ś Jak to skończyć? Ś wybuchnął zaniepokojony Stary Ash. Ś Moja niewolnica jest bardzo cenna... jakże będę mógł sobie pozwolić na drugą, jeśli tej muszę się pozbyć? Ś Zrobisz, co ci każę Ś oświadczył kapłan rzucając mu straszliwe spojrzenie Ś jeśli nie chcesz sprowadzić plagi wampirów na tę dolinę. Niebo było jak pusty dzwon dźwięczący błękitem, jego powierzchnię znaczyły płonące strzępy chmur przypominające kwiaty na jeziorze, cienką niczym skorupka jajka warstwę cieplejszego powietrza przeszywały blade promienie niczym struny srebrnej harfy. Przez milczące szafirowe otchłanie mknęła dusza Shainy. Ten lot niepodobny był do poprzednich. Ten lot był ucieczką ze strachu w strach, bezgłośnym krzykiem bólu i rozpacz. Przedtem pędziła w czasie i poza czasem, tak szybko, że nie potrafiła tego wymierzyć, prowadzona pewnie przez łańcuch skuwający ją z własnym ciałem, bezpieczna, skryta przed groźbą nocy. Teraz noc ścigała ją, ścigał ją skrawek nocy pod postacią sokoła czarnego jak dżet, jak czarny, rozdarty żagiel mknący na wietrze po morzu-niebie. Teraz nie było ratunku. Za późno. Prześladowca również potrafił rozciągać czas; nie mogła mu umknąć. A tymczasem wstał jasny dzień, w wiosce na pewno znaleźli już jej ciało, opuszczone, bezbronne. Shaino, Shaino, co ty zrobiła? Wiedziała, że w Arkev działały czary, ale nie zwróciła na to uwagi. Miłość odebrała jej rozum, aczar przykuł ją do miejsca jak łańcuch. Poszła za Dasyelem nie myśląc o niczym, nie pamiętając o niczym, widząc tylko jego. Przestała istnieć, czy też tak jej się wydawało. Wyrzekła się samej siebie, stała się częścią aury otaczającej Dasyela, 8\*115 powietrzem wydychanym z jego płuc. Dopiero wtedy, kiedy mag spojrzał prosto na nią, przygwoździł ją spojrzeniem i miękkim, odrażającym głosem, który mówił, że wie o niej, że ją widzi, że wpadła w pułapkę Ś dopiero wtedy obudziła się dusza Shainy. Wtedy miłość, radość, oczarowanie, wszystko zostało zapomniane i Shaina rzuciła się do ucieczki, ale było już za późno. Czarny, rozdarty żagiel podążał

za nią pewnie i nieomylnie. Nie spieszył się, przedłużał pościg. Kiedy znużył go ta zabawa, pochwycił ją z łatwością, on, Volk Volkhavaar, Volk Okrutny. A więź łącząca ją z ciałem, siła przyciągająca ją z powrotem osłabła. Zbyt długo jej dusza była nieobecna, zbyt mało pozostało siły, żeby przyspieszyć jej lot, żeby mknęła jak poprzednio, szybciej niż myśl. Wciąż jednak uciekała, beznadziejnie, bez końca. Zanurkowała w chmurę gęstą jak owcze runo, a kiedy wynurzyła się po drugiej stronie, niebo było pełne ptaków. Początkowo, mimo całej paniki, wzięła to za naturalne, niczym nie zagrażające zjawisko. Niby srebrny błysk przemknęła pod nimi i ponad nimi, a ich czarne jak heban skrzydła przenikały przez jej eteryczne ciało. Ale ptaki jej nie opuściły. Podlatywały coraz bliżej. Sokoły. Ich skrzydła utworzyły czarny wir, uderzały ją po oczach. Otaczały ją trójkątne ptasie głowy, wszystkie takie same, dzikie, rozwścieczone, z rozwartymi dziobami. Szarpały ją szpony i chociaż nie mogły zranić jej niematerialnego ciała, oszołomiona i zdezorientowana próbowała odpychać je niematerialnymi rękami. Nie widziała już nieba ani swego celu, widziała tylko łopoczące skrzydła, atakujące szpony i rozwarte dzioby ze spiczastymi językami jak krwawe sztylety. Nadaremnie walczyła, żeby się uwolnić, wymykała się, wznosiła i opadała. Zrozumiała na koniec, kto wysłał te ptaki, kto je zaczarował lub wywołał ich obraz w powietrzu. Nie wiedziała, jak długo walczyła, żeby odzyskać wzrok, uciec od tej okropności. Wreszcie, pochwycona w rozszalały wir czarnych piór, runęła jak kamień na ziemię. Gałęzie drzew na próżno szarpały jej ciało. Wpadła pomiędzy żelazne pnie, w cienistą, szmaragdową głębię lasu. Spłynęła na ziemię jak mgła, a stado sokołów odleciało. Chłodny i mroczny był las, pełen szmeru strumieni i świergotu małych ptaszek. Ale groźba czaiła się nawet tutaj, wciąż bliska, wciąż rozbrzmiewająca w jej uszach niczym odległy, wysoki, nie milknący krzyk. 116 Dusza Shainy uniosła się z trawy i zaczęła przemykać od drzewa do drzewa jak biały szept w mroku. Przed nią płynął strumień. Przelatując nad nim rozbliżyła, a kamyki na dnie zamigotały w odpowiedzi. Przyjemnie było w lesie, ale pościg się zbliżał; wiedziała o tym, wiedziała. Potem ptasie świergoty wokół niej nagle zamilkły, liście przestały szeleścić, jakby zatrzymały się w pół ruchu. Shaina obejrzała się przez ramię. Nic. Och, ale ona i tak wiedziała.

Pobiegła szybciej, szybko jak mignięcie języka jaszczurki. Drzewa pędziły obok niej w zielonym korowodzie, lecz podczas gdy ona pędziła naprzód, drzewa pędziły do tyłu, na spotkanie tego, który ją ścigał. A potem ucichłe odgłosy lasu zastąpił nowy dźwięk. Zdradziecki grzmot. Pod stopami, w koronach drzew. Tak, to twarde jak skała kopyta czarnych koni uderzały w ziemię. Shaina wzleciała w górę, pomiędzy najwyższe konary drzew i jeszcze wyżej, wbrew własnej woli powracając w niebo. Niebo było puste jak pusta czara, ale na jej krawędziach czekały czarne sokoły, miriady ptaków jak małe, czarne chmurki lub czarne, lśniące gwiazdy, stworzone, aby zaciemnić dzień, tak jak jasne gwiazdy zostały stworzone, aby rozjaśnić noc. Teraz już się do niej nie zbliżały, tylko krążyły na krańcach niebieskiej kopuły, nawołując się nawzajem, wołając do niej, pilnując jej: mądre psy czarnoksiężnika. Shaina, po raz drugi osaczona w powietrzu, obejrzała się. W tej samej chwili spoza kurtyny drzew, pośród migotliwej eksplozji liści i połamanych gałęzi wystrzelił w niebo wielki rydwan czarnoksiężnika niczym ogromna złośliwa ryba wyskakująca z głębin oceanu. Był czarny, oślepiająco, płomiennie czarny. Ciągnęło go sześć czarnych rozpedzonych koni, szybujących na zakrzywionych orlich skrzydłach. Konie sypały diamentami z nozdrzy, strumienie płonącej posoki tryskały im z pysków. Za nimi, dzierżąc w obu czarno-pazu-rzastych dłoniach bicze o węzowych ogonach i styliskach z brązu, uwiązawszy do pasa ogniste wodze, stał purpurowy człowiek z głową wilka. Widok był przerażający, bardziej przerażający, niż da się wyrazić w słowach, ponieważ słowa jak ludzie są tchórzami i jak ludzie ukrywają prawdę. Paszcza wilka wyszczerzyła kły, żółte i spiczaste. 117

Żywe baty strzeliły w rękach woźnicy, konie pomknęły naprzód, koła rydwanu krzeszały iskry, a Shaina ponownie rzuciła się do ucieczki. Dlaczego uciekała?

Czyżby wciąż wierzyła, że potrafi umknąć swemu prześladowcy? Nie. Uciekała, ponieważ ze wszystkich uczuć pozostało w niej tylko krańcowe, obłędne przerażenie, uciekała, ponieważ nie była już w stanie myśleć rozsądnie, ponieważ rozsądek powiedziałby jej: jesteś zgubiona, uspokój się. Volkhavaar okrutny, Volkhavaar bezlitosny. Rozkoszował się ludzkim strachem, ale pamiętał też o innych przyjemnościach. Przez łąki nieba ścigał dziewczęcą duszę, a za nim zostało Arkev, wyniosłe Arkev, które wkrótce należeć będzie do niego i do jego boga, uśpione i śniące sny zesłane przez niego. Po jakimś czasie słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, a niebo przybrało głęboki odcień miłości. Ś Widzisz, ćmo, nie opłaca się krążyć wokół lampy. Ta lampa jest moja, dziewczyno-ćmo. Moja. Pierwsze wyszły z wioski kobiety. Wspinały się na wzgórze, idąc szeregiem, na przemian zamężna kobieta i młoda dziewczyna Ś dziewica. Każda z mężatek niosła zapaloną pochodnię, każda z dziewcząt Ś gałązkę białego kwiecica zebranego na łące. Szły w milczeniu, białe postacie oblane czerwonym blaskiem, a za nimi kroczył kapłan. Kapłan niósł kadzielnicę, srebrną kadzielnicę z Kost, z której unosił się pachnący dym. Idąc kapłan odmawiał modlitwy. Jego twarz była nieruchoma, jak odlana z wosku. Niósł również miecz. Na końcu szli mężczyźni ściskając w dłoniach kaganki i prowadząc na sznurku trzy kozy, które ciągnęły nosze sklecone z desek. Na noszach spoczywała wiotka, nieruchoma postać; czarne włosy wlokły się za nią po ziemi. Wszyscy zostali dokładnie wyuczeni, co mają robić. Kapłan uczył ich przez cały dzień, podczas gdy ciało niewolnicy leżało bezwładnie jak szmaciana lalka na drodze, otoczone kręgiem płonących pochodni wbitych mocno w ziemię, z kawałkiem srebra wetkniętym między zęby, co nie pozwoli jej uciec, gdyby jej duch, który stał się wędrownym demonem, nieoczekiwanie powrócił. Stary Ash z poszarzałą, ściągniętą twarzą siedział na kamieniu przed domem obejmując rękami kolana i przeklinając swojego pecha. Śmiertelna cisza zapadła w wiosce; o zachodzie słońca góry wydawały się skąpane we krwi. 118 Teraz północ zgasiła już na niebie ostatnie blaski. Wschodził księżyc w nowiu, a ciszy nie maćil nawet szept wiatru. Wieśniacy szli na cmentarz i jeszcze dalej, gdyż ciało niewolnicy, splugawione przez złe moce, nie mogło spocząć w poświęconej ziemi. Weszli pomiędzy pagórki grobów i minawszy je dotarli do spłachet-ka jałowej ziemi osłoniętego przez skały, gdzie rzadko ktokolwiek się zapuszczał. Tutaj zatoczyli trzy razy krąg w lewo i trzy razy krąg w prawo. Kobiety wymówiły słowa, których nauczył je kapłan. Światło pochodni płonęło w ich oczach. Dwaj mężczyźni wystąpili naprzód i zaczęli kopać dół w twardej ziemi. Wkrótce u ich stóp zaczerniała głęboka jama, a wtedy dziewczęta wrzuciły tam naręcza kwiatów. Białe kwiaty spadały gęsto jak śnieg. Rydwan Volkhavaara Ś złudzenie? magia? rzeczywistość? Ś zawracał pod sierpem księżyc pędząc swą srebrną ofiarę to na północ, to na południe, tak jak ścigał ją przez pogłębiający się fioletowy zmierzch i przez wszystkie chłodne godziny nocy, bawiąc się z nią jak kot z myszą. Czy dusza zachowała jeszcze zdolność myślenia? Czy pamiętała cokolwiek? Tak, pamiętała o czymś. Wciąż jeszcze instynktownie, gorączkowo usiłowała połączyć się na powrót ze swoim ciałem. Volkhavaar wiedział o tym. W końcu pochwyci ją w łapy, pozwoli jej uciec okrężną drogą, przesaczyć się przez dach lub ścianę, powrócić do ciała. Wtedy zniszczy duszę wraz z ciałem; będzie -to kolejna ofiara złożona w imię bóstwa, zapomnianego boga Arkev, Takerny Ś zwanego Sovan Tovannazit. Toteż stopniowo, po trochu pozwalał jej zbliżać się do domu. Mila za milą, wszystkie wywalczone z trudem. Dusza nie może odczuwać zmęczenia, ale Volkhavaar nie wątpił, że dusza dziewczyny jest zmęczona. Wyszczerył zęby w okropnym uśmiechu. Naraz zobaczył na wzgórzu światła czerwone jak rubiny. Volk zawsze był bystry. Od kiedy zaś odkrył w sobie moc, poznał rytuały wielu tajemnych obrzędów, stworzone po to, by przywołać ciemności lub ją odpędzić. Od razu zrozumiał, co zamierzali uczynić ci ludzie na dole. I od razu zrozumiał, o kogo im chodzi. Zaśmiał się śmiechem bezdennym jak śmierć, tocząc ślinę ze swej paszczy wilkołaka, i zatrzymał zaprzęg. Niech leci ta mała ćma. Niech sobie leci, a my popatrzemy. Ktoś inny zrobi za niego całą robotę. 119 Być może znienawidził Shainę, której imienia nie

znał i nie chciał znać. Kochała Dasyela, jedną z zabawek czarnoksiężnika. Ośmieliła się patrzeć pożądnawie na własność Volkhavaara. Więc mag zatrzymał się na niebie, niewidzialny, okryty czarnym płaszczem swojej nienawiści, a kiedy już zobaczył dość, odwrócił się i ruszył z powrotem do miasta, gdzie musiał zakończyć rozpoczęte dzieło. To było tak, jakby rozstąpiła się nagle więżąca ją sieć, jakby pękły żelazne okowy. Wyrwała się, uwolniła od jego przerażającej mocy. Wolna, aby myśleć i czuć. Ogromny cień, żarłoczny i groźny jak sama noc, odszedł i pozostawił ją wyczerpaną, półprzytomną Ś ale nietkniętą. Szaleńcza wdzięczność, a zaraz potem zdumione niedowierzanie. Dlaczego? Dlaczego ją oszczędził? A potem owładnął nią nowy strach, niepodobny do poprzedniego, głęboki jak grób, cuchnący ohydny, cmentarnym smrodem wilgotnej ziemi. Wszystko inne, wszystko, co było lub miało być, zostało wymazane. Poczuli ostre szarpnięcia: to czarodziejska nić skręcała się z bólu, jakby krzycząc do niej bezgłośnie. W oszołomieniu spadała ku ziemi na oślep, jak poprzednim razem, spiesząc do domu Starego Asha, chociaż światła na wzgórzu zdawały się do niej wołać: tutaj, Shaino, tutaj! Potem naprawdę coś usłyszała, jakiś jękliwy, zawodzący lament. Dochodził z wioski, ze wszystkich domów, ale przede wszystkim z domu jej właścicieli. Shaina spojrzała w dół, poprzez strzechę, dach i kamienne płyty podłogi, i tam, pod progiem, leżało coś bladego i bezkształtnego, jęcząc i płacząc: demon ostrzegający przed nieszczęściem i śmiercią. Ale chyba tylko ona jedna go słyszała. Ani jednego światełka w wiosce, wszystkie domy puste. Nagle zrozumiała, że coś się stało. Zniknęło nawet jej ciało. I znowu powrócił ten bezgłośny krzyk, ten rozdzierający ból, jakby coś ją ciągnęło na wzgórze. Nie miała wyboru, musiała tam pospieszyć, zanurzyć się w światło pochodni i dym kadzideł, które przypominały jej jarmark w Arkev, a jednak były inne. Shaino, jestem tutaj, tutaj, tutaj. Spójrz. Oto jak mnie zdradziłaś. Jestem twoim życiem i twoim przeznaczeniem, jak ty jesteś moim. A jednak opuściłaś mnie i spójrz, co'ze mną zrobili. Och, spójrz, spójrz. Popatrz na dół. Widzisz? To twoja wina. 120 Shaina znieruchomiała w powietrzu. Nie była w stanie odwrócić wzroku. Jak matka, kiedy na jej oczach przebijają włócznią jej dziecko, a ona nie może się wyrwać z rąk żołnierzy. Shaina, zamknięta w uścisku nocy, musiała widzieć i rozumieć wszystko. Dusza nie może krzyczeć w głos, dusza nie może kaleczyć sobie skóry paznokciami ani czepiać się rąk oprawców swoimi przezroczystymi dłońmi. Dusza nie może umrzeć i zapadać w czarną otchłań wiedząc, co ją spotyka. Dusza nie może płakać. Powiedzcie to Shainie; ona powie wam co innego. Bezładne ciało niewolnicy leżało przed kapłanem, okryte płaszczem czarnych włosów. Kapłan wznosił miecz, jasny miecz z brązu, miecz z Kost, którego metal został poświęcony i pobłogosławiony. Kapłan ucałował ostrze i zamachnął się wysoko. Ostrze rozcięło zasłonę ciemności, tkaninę gwiazd. Zatoczyło w powietrzu białe półkole, zamigotało rdzawo, kiedy splamiło je światło pochodni. A u kresu swej lśniącej drogi odrąbało śmiertelną głowę Shainy od jej śmiertelnych ramion. Kobiety z wioski zapiszczały jak ptaki pochwycone w sidła. Krew niewolnicy spłynęła szkarłatnym strumieniem po splotach jej włosów. Kapłan pochylił się i wepchnął jej do ust srebrną monetę, którą miała wetkniętą w zęby, a potem dał znak. Mężczyźni przechylili drewniane nosze, które ześliznęły się z krawędzi i spoczęły w wyścielonym kwiatami grobie. Wylądowały niezgrabnie, aż głowa dziewczyny przetoczyła się po jej ciele, plamiąc je całe czerwienią, i zatrzymała się u stóp. Ś Zasypcie grób Ś rozkazał kapłan. Otarł czoło. Jego mądre oczy były zmęczone i smutne. Ś Teraz wasza wioska jest bezpieczna, a jej zapewniliśmy spokój. Spokój Ś och, Shaino Ś spokój...

16.

Przed świtem wiatr hulał po Zimnej Turni, potrząsając igłami sosen. Gdzieś na górskim zboczach, na krawędzi polanki, szary, kamienny domek przycupnął jak omszały głaz. Z krzywego komina unosiła się kręta smużka dymu. W środku być może ktoś kołysał się w fotelu na biegunach z brzoźowego drewna, pośród kanciastych

kolumn-ludzi, a po wschodniej stronie paleniska, obok płomieni czerwonych jak lisia sierść, siedział lis czerwony jak płomień. 121 Teraz wiatr stukał i pukał do okrągłych drzwi, łomotał w nie prosząc, żeby go wpuścić. Lis zastrzygł uszami i zaszczekał. Ktoś spojrział na lisa Ś Szara Pani. Ś To tylko wiatr, ostrouszku. Ale lis zaszczekał po raz drugi i teraz ktoś też zaczął nasłuchiwać. Ś Barbayat! Ś krzyczał wiatr cienkim, zrozpaczonym, pełnym udręki głosem. Ś Barbayat, Barbayat, wpuść mnie. Barbayat, Szara Pani, wstała i podeszła do okrągłych drzwi. Ś Kto tam? Ś zapytała. Jej spojrzenie było tak ostre i twarde, że mogło zadrasnąć kamień. Ś Znałaś mnie niegdyś, Barbayat. Niegdyś mnie odnalazłaś. Niegdyś byłaś mi matką, Barbayat, wypiąłaś ze mnie życie. Twoje ściany są zbyt mocne. Nie mogę się przez nie przedostać. Wpuść mnie, bo inaczej wiatr wydmuchnie mnie z tego świata. Ś Zaczeka] Ś powiedziała czarownica. Wzięła bryłkę białej gliny i narysowała na podłodze biały znak, znak stary i potężny jak sama ziemia. Potem otworzyła drzwi. Do środka wpadł wirujący kłęb mgły koloru księżycowej poświaty. Znak na podłodze pochwyił go i przytrzymał mocno, a czarownica zamknęła drzwi. Ś Teraz jesteś bezpieczna Ś oświadczyła Ś dopóki trzyma cię magiczny znak. Obdarzy cię również głosem lepszym niż głos pożyczony od wiatru. Powiedz mi zatem, kim jesteś. Wirowanie nad znakiem ustało. Z podłogi uniosła się smukła kolumna. Dusza Shainy stanęła wyprostowana i czarownica poznała ją. Ś Czegoś brakuje Ś stwierdziła. Ś Więz została zerwana Ś powiedziała dusza Shainy głosem, który był jak szelest suchych liści. Ś Czy mam ci opowiedzieć, jak to się stało, czarownico? Przybyłam do Arkev i wpadłam w pułapkę zastawioną przez czarnoksiężnika, podobnie jak całe miasto. Widziałam tylko jedną twarz; zapomniałam, gdzie jestem i kim jestem. Potem spostrzegł mnie czarnoksiężnik. Ściagał mnie po niebie i po ziemi, nie chcę nawet wspominać, jakie to było straszne, a potem pozwolił mi uciec. W wiosce nie mogli obudzić mojego ciała, i był tam kapłan. Obejrzał moje ręce i odkrył ślady pozostawione przez twoje zęby, Barbayat, kiedy piłaś z moich żył. Położyli mnie na noszach z desek i zanieśli na wzgórze. W czerwonym blasku pochodni kapłan zamachnął się swoim mieczem i ściał mi głowę z ramion. Wrzucili 122 mnie do ziemi w dwóch kawałkach, pomiędzy kwiaty, i zakopali mnie. Kiedy odeszli, uklękałam nad grobem, płakałam na moim własnym grobie. Jestem martwa. Martwa, Barbayat, martwa. Martwa. Ś Shaino Ś powiedziała czarownica Ś ostrzegałam cię wiele razy. Strzeż się Volkhavaara, wracaj na czas, nie pozwól nikomu zobaczyć rany, którą ci zadałam. Ś Więc kiedy proszę o wodę, ty ofiarowujesz mi pył z wyschniętej studni? Kiedy przychodzę zgłodniała, ty kładziesz przede mną zapleśniałe skórki chleba z zeszłego miesiąca? Ś Duszo Ś rzekła Barbayat Ś jesteś bardzo silna. Czepiasz się życia, choć inna, nie tak uparta, dawno zostałaby już wymieciona na tamten świat. Cóż może dla ciebie zrobić Szara Pani? Ś Nazywałaś mnie córką Ś odparła Shaina. Ś Ja nazywałam cię matką. Pomóż mi, matko. Zatrzymaj mnie na tym świecie. Ś Czy to pragnienie życia, czy głód miłości? Ś Oba, oba. W Arkev widziałam go, wołałam do niego. Ale jego dusza nie odpowiedziała mi, jak to obiecywałaś. Ś Może trochę cię oszukałam Ś przyznała czarownica. Ś Teraz powiem ci prawdę. Nawet magia czarnoksiężnika nie potrafi utrzymać ciała przy życiu, jeśli jego dusza gdzieś nie istnieje. Lecz Dasyel nie rzuca cienia i to mnie zaniepokoiło, ponieważ zazwyczaj ten, co nie ma cienia, oddał swoją duszę lub ją przehandlował. Początkowo nie byłam pewna Ś i dlatego teraz Pani z Zimnej Turni prosi cię o przebaczenie. Wybacz mi, że rozbudziłam w tobie nadzieję. Później jednak spoglądałam w kryształ i wszystkiego się dowiedziałam. Dusza Dasyela razem z duszami innych jest uwięziona na zawsze w brzuchu czarnego boga czczzonego przez Volkhavaara, którego imienia, jak widzisz, nawet ja nie odważę się wymówić. Jego ofiary są bezdusznymi lalkami i pozostaną takie aż do dnia, kiedy czarnoksiężnik znudzi się swymi zabawkami; wtedy zniszczy również ich ciała i nie zostanie po nich nic. Ty, nieszczęsna dziewczyno, zachowałaś przynajmniej najcenniejszą część swej istoty. Zmienisz się, ale nie znikniesz. Dusza Dasyela jest zaczarowana na wieki: w łańcuchach, ślepa, głucha i niema, pozbawiona czucia i świadomości, niezdolna myśleć ani kochać. Nawet ty, z całą

twoją odwagą i uporem, nie zdołasz go ocalić. Kiedy odkryłam, jaki los spotkał tego młodzieńca, sądziłam, że spróbujesz tylko raz, a więc nic ci nie grozi. Sądziłam, że odnajdziesz go i nie otrzymawszy odpowiedzi będziesz smucić się i rozpaczać, i przezwycięzysz swój smutek i swoją rozpacz, ponieważ jesteś dumna. Potem mogłabyś wrócić do mnie, by znaleźć pociechę 123 w magii, ponieważ widziałam w tobie magiczne zdolności czekające tylko, aby je rozbudzić. Cóż zyskałabyś wówczas? Wolność, siłę, może również radość, może miłość i kochanków. Ale twoje serce zapala się tylko jeden raz, płonie tylko jedną miłością i nie gaśnie nigdy, to oczywiste. Niech więc zabiorą cię wiatry na tamten świat. Tak będzie lepiej. Kraina, która czeka na ciebie, jest pełna słodyczy; nie ma tam bólu, nie ma walki, nie ma złamanych serc. Nie zwlekaj. To bezowocne. Nigdy się z nim nie połączysz. Dusza Dasyela jest martwa. Bezcielesne ramiona Shainy uniosły się, dłonie rozwarły, palce wyprostowały. Ś Nie Ś przemówił bezdźwięczny, szeleszczący głos, który nie był głosem, jedyny głos, jakiego mogła jej użyć magia czarownicy. Ś Pragnę bólu, pragnę walki i cierpienia. Spójrz, wyciągam do nich ramiona. Nie padnę przed śmiercią na kolana, nie położę głowy pod topór. Ja też mam zęby, ja też mam pazury. Nie odejdę z tego świata i nie zostawię Dasyela uwięzionego we wnętrzościach diabła. Na wszystko jest sposób. Znajdę jakiś sposób. Gdyby żył, mógłby wybrać inną, mógłby odwrócić się do mnie plecami. Cóż to ma za znaczenie? To ja kocham, nie on. Nie zostawię go we wnętrzościach diabła. A teraz mów. Barbayat jest mądra. Na pewno zna jakiś sposób, żeby zatrzymać mnie na tym przeklętym przez bogów świecie. Nie odejdę do żadnej innej krainy. Ś A więc taka jesteś Ś mruknęła Barbayat. Ś Przypominam sobie, że już raz ci to mówiłam. Jeśli brama jest zamknięta, musisz ją wyłamać. I czarownica uśmiechnęła się, a wtedy coś z niej opadło jak szara opończa, i jej oczy rzuciły szmaragdowe blaski. Ś Jest pewien czar. Niełatwy to czar i niełatwy będzie potem twój los, ale zostaniesz tutaj. Być może jednak twoje pragnienie okaże się nie dość silne, gdyż to zaklęcie wymaga woli niezłomnej i twardej jak diament. Ś Powiedz je Ś zażądała Shaina. Ś Zobaczymy. Czarownica zaczęła mówić, a Shaina słuchała. Ogień na palenisku kulił się i drżał. Ś Oto twoje zaklęcie Ś powiedziała na koniec Barbayat. Ś Oto wilk, oto jego paszcza. Włóż rękę.

Część czwarta  
MIASTO I JEGO BOGOWIE

17.

Ciemne było miasto w godzinie przedświt, pogrążone w ciemnościach gęstych jak smoła. Nie paliły się żadne światła; nawet pochodnie, nawet kaganki, nawet latarnie na wieżach świątyń. Księżyc zaszedł, gwiazdy skryły oblicza za wachlarzami chmur. Arkev spoczywało w objęciach długiego snu, który trwał od wschodu do wschodu słońca. Nie wszystko jednak spało. Szczury uganiały po nadbrzeżach za swoimi szcurzymi sprawami, zadowolone z dziwnej opieszałości stróżów. Sowy wyruszyły na spóźnione polowanie. Wychudzone koty z dzielnicy kupców i karczmarzy wałęsały się po pustych, rozbrzmiewających echem ulicach, przemykając wężowym ruchem od cienia do cienia, jak zjawy ze spiczastymi uszami, a ich oczy w księżycowej poświacie zapalały się zielonym blaskiem. Wysoko na dachu, nieruchomy jak posążek z czarnego marmuru, siedział jeszcze jeden kot, spoglądając ponad lasem wież i kopuł na wschód, jakby jego oczy z drogowennych klejnotów wypatrywały nadejścia świtu. Ten kot rzadko bywał poza domem. Ta kotka była księżniczką pośród kotów, jak jej pani była księżniczką pośród ludzi. Zazwyczaj sypiała na poduszkach wypchanych łabędzim puchem. Dlaczego uciekłaś z pałacu, Mitz? Wieżyczki książęcego pałacu połyskiwały blado na południu; niektóre okna również zdawały się migotać słabą, zmienną poświatą o odcieniu najdelikatniejszej purpury. Za każdym razem, kiedy 125 pojawiał się ten blask,



Mitz kładła uszy po sobie, syczała i pluła, a jej nastroszony ogon wił się jak wąż i uderzał o szczyt dachu. O nie, Mitz nie miała zamiaru wracać do domu, nawet do swojej bogini Woany. Mądra Woana, która potrafiła czynić cuda, na przykład mogła sprowadzić jedzenie i wcale nie musiała go najpierw złapać; mogła stworzyć światło po prostu sprawiając, że na białej woskowej pałeczce wyrastał żółty kwiat, a potem mogła stworzyć ciemność po prostu chuchając na ten kwiat. Mitz widywała wiele razy, jak inni ludzie robili to samo, ale oczywiście żaden z nich nie robił tego dokładnie tak, jak Woana. Woana była najcudowniejszą, najmądrzejszą, najbardziej zdumiewającą, a także najpiękniejszą ludzką istotą na całym świecie. Nawet te błyszczące oczy na niebie zeskokczyłyby na ziemię dla Woany, gdyby tego zażądała; ale naturalnie Woana była o wiele za wyrafinowana, żeby zniżać się do takich rzeczy. W istocie Woana nie miała sobie równych. Mitz wierzyła w to, ponieważ należała do Woany, a kocie ego Mitz żywiło niezachwiane przekonanie, że tylko ktoś wyjątkowy może posiadać tak wyjątkową istotę jak ona. Teraz jednakże stało się coś bardzo złego. Pojawiła się jakaś niepokojąca obecność, na gładką ścieżkę życia padł cień Ś czarny, zimny, obcy cień Ś a Woana, mimo wszystkich swych zalet, nie zrobiła nic, by go odpędzić. Nieomylnym kocim instynktem Mitz czuła, Mitz wiedziała, że należy się bać tego wysokiego, chudego, purpurowego człowieka i omijać go z daleka, tak samo, jak bała się duchów, diabłów i demonów Ś tylko bardziej, o wiele bardziej. To dlatego siedziała wysoko na szczycie dachu, dlatego co jakichś czas fukała i prychała, dlatego nie chciała wracać do domu, do miękkiego, wygodnego łóżka. A potem stało się coś jeszcze bardziej niepojętego, nie do wytrzymania. Coś, przy czym nie mogła uchronić Mitz cała jej kocia mądrość, na co nie mogło jej przygotować całe jej kocie doświadczenie. Mitz skoczyła w górę jak opętana. Mitz opadła na dół, wstrząsnęła się konwulsyjnie, obnażyła zęby, rozcapierzyła pazury i nagle, wyprężona jak struna, głowa, ogon i łapy mierzące we wszystkie możliwe strony świata, Mitz wydała z siebie przeraźliwy, miauczający wrzask. Nawet sowy wstrzymały lot i spojrzwały na dół, nawet szczury znieruchomiały wśród worków mąki, a w pałacu, za oknami migoczącymi purpurowym blaskiem, ktoś czarny i okrutny stanął i nadśluchiwał. 126 Barbayat oszukała Shainę, ale Barbayat piła jej krew i Barbayat kochała ją na swój sposób. To prawda, że Barbayat chętniej widziałaby na głowie niewolnicy płomienną koronę czarów zamiast kwietnego wieńca miłości. Gdyż tego dnia, przed świtem, Barbayat zdradziła jej sposób, trudny, niebezpieczny, budzący odrazę Ś sposób, żeby Shaina mogła pozostać na tym świecie, już nie jako Shaina-dziewczy-na, prosta, śmigła i mocna jak sosna, z czarnymi włosami spływającymi na plecy i głową uniesioną wysoko Ś ale nadal żywa i świadoma, nadal obleczone w ciało. Jakieś ciało. Zakłęcie miało dwoistą naturę. Po pierwsze, skoro przy życiu trzymał ją Dasyel, musiała powrócić do niego bez względu na to, jak złowieszcze jest owo miejsce, bez względu na bliskość czarnoksiężnika. Po pewnym czasie jej więź z życiem zacznie słabnąć; wtedy będzie musiała spoglądać na swego ukochanego, odnawiać w sobie zapas sił i umacniać wolę Ś jeśli potrafi. Jeśli jej miłość osłabnie, Shaina nie będzie mogła dłużej pozostawać w cielesnej postaci. Prawdziwie, od tego dnia jej miłość miała się stać jej życiem. Pragnęła go uwolnić, ale nie wiedziała jak, wiedziała tylko, że nawet jeśli zdoła tego dokonać, i tak w końcu będzie musiała opuścić pożyczone ciało i zniknąć w owym mglistym świecie, o którym mówiła Barbayat. Nigdy już nie wolno jej mieć nadziei, że zostanie ukochaną Dasyela, jego żoną, matką jego dzieci, ręka w rękę, serce przy sercu, na wieki wieków. Nigdy już nie wolno jej o tym marzyć, póki dzień następuje po nocy i póki wieje wiatr. Ale wciąż dźwięczały w niej te słowa: Nie zostawię go we wnętrzościach diabła. Wciąż miała przed sobą cel, a jej bezcielesna wola dążyła doń z żelazną nieugiętością. Druga i najważniejsza część zaklęcia była o wiele bardziej mroczna i niezgłębiona. Budziła w niej lęk, ale lęk jej nie powstrzymał. Budziła w niej również odrazę i żal; czuła zimny dreszcz na myśl, że może utracić swą osobowość na zawsze. Potem pojawiła się okazja. Bliska; niemal dogodna. Nie szczury, których się wystrzegała, ani sowy, ani śpiące gołębie, lecz jedwabście

czarne, zielonookie i piękne, i oswojone, na pewno oswojone zwierzątko Ś na pewno to samo, które widziała na kolanach księżniczki Ś zwierzątko, które miało wstęp do pałacu w Arkev. Powietrze wypełniło się magią, ożyło magią, zadrgało bólem. Odraza roztopiła się w oszołomieniu. Shaina spadała, spadała, jak spada płonąca gwiazda lub ptak ze złamanym skrzydłem, ślepa i bezsilna. Potem upadek się skończył. 127 Czują się jak... jak co? Jak sznur paciorków lub szal, który został zwinięty, zgnieciony, ściśnięty, wepchnięty siłą do małej skrzyneczki, za wąskiej dla niej, a wieko Ś jak w koszmarze Ś zatrzasnęło się za nią z hukiem. Walczyła. Walczyła, żeby złapać oddech, żeby widzieć i żeby być, żeby istnieć. Jej ręce, jej ramiona Ś jej oczy, gdzie były jej oczy? I głos! Krzyknęła, ale nie był to całkiem ludzki krzyk. A potem Ś nagle Ś walka się skończyła. Leżała zwinięta w kłębek, na wpół przytomna, w jakimś nieznanym miejscu. Chciała zapłakać. Wtedy coś się pojawiło i musnęło ją przelotnie. Nie fizycznie; to nie było fizycznie odczucie. Jakaś świadomość. Shaina Ś rzuciła się wstecz, usiłowała się ukryć, nie mogła; wyczuła, że to drugie też próbuje się skryć. Z rozmysłem narzuciła sobie spokój, otworzyła się. Czekwała; zachęcała. I znowu. Myśl. Nie jej; myśl kota. Obie roztrzęsione. Obie w jakiś sposób zdolne się porozumieć, skoro zajmowały wspólną przestrzeń, ale posiadające całkowicie odmienny obraz świata i niemal nieporównywalne emocje. Nie była to prawdziwa agonja, raczej jakiś ból, jakiś rozpaczliwy wysiłek. Shaina próbuje się usprawiedliwić, wytłumaczyć. Zdaje sobie sprawę, że kot chciałby ją rozedrzeć pazurami, od czego powstrzymuje się z wrodzoną kotom szorstką uprzejmością. Potem drobna, nieoczekiwana, zadziwiająca przemiana, jakby Shaina mogła nagle stać się kotem, a kot Ś Shaina. Empatia, zrozumienie. Wyłania się z mroku, przekładana na osobisty język kota, język kobiety, jednocześnie dla obu stron. Ś Wybacz mi, musiałam walczyć desperacko jak o rybią głowę. Śmierć mnie ścigała, ta, co zamyka oczy, zabiera ciepło z futerka. Czy możesz mi przebaczyć, złączyć się ze mną, dzielić ze mną miskę? Miau Ś spójrz, jestem myszką w twoich pazurach. Ś Nigdy nie przebaczę. Ale może. Tak. Pogłaszcz mnie, jestem rozdrażniona. Nie mrugaj tak szybko moimi oczami, jeśli łaska, i uważaj, gdzie kładziesz mój ogon. Co tam jest w twojej pamięci? Mężczyzna? Jaka ma ładną, kędzierzawą sierść. Ś Mogę się trochę przeciągnąć? Mam mało miejsca. Ś Przeciągaj się, jeśli musisz. Przeciąganie się jest przyjemne, tak samo, jak mycie. Fuj! Bardzo cię proszę, przestań myśleć o wskakiwaniu do zimnej wody. Poliż moją łapę. Tak lepiej. Ach! Wyciągasz 128 się za daleko. Tutaj są moje wspomnienia o ostatnim kawałku wątróbki. Ś Przepraszam. Nie zostanę długo. Ś Dokąd idziesz? Ostrożnie! O mało nie spadłyśmy z dachu. Pozwól, że ja to zrobię: Przysiad, wyprost, skok. W ten sposób. (Jak długa jest twoja długość?) Czekaj. Nie chcę iść tędy. Ś Do pałacu? Ja muszę. Umysł kotki parska, prymitywne aluzje do cieni, ciemności, mężczyzny... Ś Volk cię nie skrzywdzi. Bardzo lubi koty. Da ci śmietankę i wątróbkę. Ś Tobie też, jeśli tam będziesz. Shaina natrafia na wizję martwej, zakrwawionej myszy zwisającej z pazurów: jedzenie. Shainę ogarniają mdłości, mdłości udzielają się kotu, który okręca się na parapecie w kółko, gryzie własny ogon i miauczy, oszołomiony i nieszczęśliwy. Zrozpaczona Shaina przekazuje, że jest jej przykro. Oba umysły uspokajają się. W jednym Ś czarny ukochany, w drugim Ś biały ukochany. Dasyel i śnieżny kocur połączeni w jedno. Znowu wspólny język. Cisza, poszukiwanie. Ostrożność. A wokół Arkev pogrążone w nocy, z wolna otwierające się na przyjęcie poranka.

18.

Miasto zbudziło się.

Miasto odzyskało pamięć.

Tak się pozornie wydawało.

Wreszcie znalazł się mąż dla książęcej córki, potężny i wspaniały książę z Równiny Yolkyanu Ś imieniem Volkhavaar. Będzie święto i zabawy. Złote monety będą spadać z nieba jak wiosenny deszcz, z fontann tryśnie wino, białe i czerwone. Magia czarnoksiężnika utkała pajęczynę wspomnień podczas długiej nocy.

W łóżu z aksamitnym baldachimem obudził się książę. Czuł się zadowolony, przyjemnie podekscytowany, trochę nieswój... Dobry układ, mądrze to zaplanował. I ten mężczyzna, czarujący, wykształcony, wybitna osobistość, chociaż... nie, nie, książę Moyko nigdy nie przyzna, że dał mu się zastraszyć. Tymczasem księżna wstała wczoraj 9 Czarnoksiężnik... śnie i krzątała się, biorąc kąpiel w różanej wodzie, wpinając perły w uszy, pudrując różowym pudrem swoją rybią twarz, żeby godnie powitać przyszłego zięcia. Woana również się obudziła. Leżała w łóżku, skulona, drżąca, niemal zmartwiała, jak polna myszka kryjąca się w zbożu przed kosą żniwiarza. Drzwi otwarły się z rozmachem. Do komnaty wpadła jej matka, cała w tiulach, jak jakiś wątrobiany motyl. Ś Co? Jeszcze nie wstałaś? Na wszystkie bogi, Woano, gdzie twoje wycucie sytuacji? Nie możemy przecież kazać czekać naszemu przyszłemu, prawda? Ś dodała figlarnie. Szafa otwarła się na całą szerokość. Ś Uważam, że ta będzie dobra Ś zawołała księżna wyciągając bombastyczną kreację z cytrynowego jedwabiu, ozdobioną cynobrową falbaną. Wkrótce, wykąpana, zlaną pachnidłami, ściśnięta okropnym gorsetem, z ufryzowanymi rzadkimi włosami, uwieńczonymi szeroką przepaską z opali, z ramionami zakutymi w bransolety i dziesięcioma pierścieniami na palcach, Woana została sprowadzona ze schodów. Do jadalni. Jak ciemno było w jadalni. Nawet poranek za oknami był ciemniejszy; szybki z kolorowego szkła raczej przesłaniały, niż przesiewały blask słońca. A przy oknie... Stał tam, cały czarny, purpurowy i złoty, niczym jakiś wspaniały owad z jadowitym żądłem. Ujął jej dłoń, jego ręka była jak lód. Czarne szpony, wargi koloru zakrzepłej krwi, oczy jak ciemne jamy. Do stołu. Adamaszek i cienkie płótno, srebrne sztucce i puchary wysadzane klejnotami, wszystko przyćmione przez ten nieokreślony, czarny blask. Wszędzie cienie, które jakby krążyły wokół nich. Książę z Yolkyanu jadł wytwornie, niewiele, ale ze smakiem. Zmiażdżył w zębach kruchą kostkę z nogi kurczęcia. Za nim stała trójka jego służących: młodzieniec, dziewczyna i gruby mężczyzna. Stali tak nieruchomo, tak puste mieli twarze, prawie jakby... Och, gdybyż tylko była tu Mitz, jej mała, śliczna Mitz. To by ją trochę pocieszyło. Woana niezgrabnie wypuściła nóż z drżących palców. Książę Yolkyanu popatrzył na nią, a wtedy spostrzegła, jak delikatnie wysysał szpik z kości. Ś O kim to wspominałeś, mój drogi przyszły synu? Ś zagadnęła księżna pobrzękując nausznikami. 130

Ś Ależ, o najmłodsza z matek, mówiłem o moim własnym bogu, moim bóstwie opiekuńczym, do którego jedynie zanoszę swe modły. Ś I tutaj, w Arkev, jest jego kapliczka? Ś Istotnie, o najmłodsza z matek. Ale kapliczka jest w godnym pozałowania stanie. Książę odchrząknął. Nie lubił być wyłączony z rozmowy. Ś Wina dla mojego krewniaka Volkhavaara! Ś rozkazał, ale to młody człowiek obok Volkhavaara Ś jego syn? kuzyn? służący? Ś pochylił się i napełnił złoty kielich. Słudzy księcia zniknęli w tajemniczy sposób. Ś Nie dosłyszałem imienia Ś dodał książę. Ś Och, mój patron ma wiele imion Ś uśmiechnął się Yolkha-vaar. Ś Imię wykute w nadprożu kapliczki brzmi: Sovan Tovannazit. A może znacie jego drugie imię, Takerna? Kiedy padło to słowo, ponad stołem zalśniła czarna błyskawica. Gobeliny zafalowały na ścianach, w szyby okien załomotały ptasie skrzydła. Uśmiech księżny zastygł, książę wytrzeszczył oczy. Woana z całej siły splotła dłonie pod stołem, aż palce jej pobielały. Volkhavaar skłonił się. Ś W wielkiej Świątyni Słońca w Arkev, słynnej świątyni, gdzie samo słońce w południe odpoczywa przez chwilę na szczycie wieży, może znajdzie się jakiś kącik Ś jakiś mały, niewidoczny kącik Ś gdzie mógłby stanąć posąg mojego boga dla tych z nas, którzy pragną oddawać mu cześć. A może żądam zbyt wiele od mojego ojca i mojej matki? Ś Wezwę kapłanów Ś przyrzekł książę Ś Wyjaśnię im twój zamiar i poradzę się ich. Księżna zawołała: Ś Podziękuj bogom, Woano, że twój narzeczony w dodatku do wszystkich swych zalet jest również pobożny. Wkrótce nadeszli kapłani. Kapłani ze Świątyni Słońca w czerwieni, kapłani ze Świątyni Gwiazd w błękitach i srebrze, kapłanki Księżycy w białych welonach. Pokłonili się księciu, a on się odkłonił. Pokłonili się również Volkhavaarowi. Volkhavaar nie ukłonił

się, powitał ich tylko łaskawym skinieniem głowy. Książę przemówił. Potem przemówił Najwyższy Kapłan Słońca. Potem Volkhavaar. Po jakimś czasie kapłani i kapłanki odeszli. Niebo nad głowami było ciemnoniebieskie; wielka, świetlista chmura zakryła słońce. W południe niewidoczny rydwan boga zatrzymał się 9\*131 nad najwyższą wieżą świątyni. Stopniowo chmura pociemniała. Może nadciągała burza. Tego dnia słońce zachodziło w ponurej, szkarłatnej poświacie. Zmierzch skradał się jak stado czarnych wilków. Wtedy w Arkev rozbrzmiały śpiewy. Były to pobożne pieśni, ale dźwięczała w nich niesamowita nuta. Kapłani w czarnych płaszczach nadchodzili szerokimi ulicami, z północy i ze wschodu, przez plac i dalej, wąską uliczką, kierując się w stronę kępy topoli. Nikt nie wiedział, skąd nadeszli. Może byli to kapłani ze Świątyni Słońca przebrani w inne szaty, żeby uczcić tego, kogo mieli spotkać. A może należeli do świty księcia Volkhavaara? Nieśli kadzielnice z błękitno-czarnego metalu, roztaczające wonie słodkie jak oddech smoka; ale ich muzyka brzmiała odmiennie, złowrogo, przyzywała ciemność. Niebo było ciężkie od chmur, bezgwiazdne i bezksiężycowe, kiedy czarna procesja kapłanów weszła do ukrytego ogrodu. Potem kapłani powrócili. Znowu szli wąską uliczką, a cienie płaśały po ścianach domów; może to zresztą nie były cienie, tylko czarne, falujące szaty i dymy kadzideł. W kłębach dymu niesiono jakąś rzecz. Psy uciekały przed nimi, koty i szczury chowały się na ich widok. Słowiki w przydrożnych zaroślach zapomniały o śpiewie. Z jakiejś przyczyny ludzie nie wychodzili z domów, kiedy czarna procesja kroczyła przez miasto, niewielu nawet wyglądało z okien. Szeroko otwarte wrota Świątyni Słońca połyskiwały złotem, z wnętrza buchał złocisty blask. Kapłani kroczyli po schodach mosiężnych i po schodach perłowych; weszli do świątyni, a wraz z nimi weszła noc, przyćmiewając blask złotej sali, gasząc słoneczne dyski z promieniami barwy szafranu, dławiąc jasne płomienie kaganków na ołtarzu. Kapłani bóstwa Ś demony w służbie Volkhavaara Ś ustawili posąg w niewielkiej niszy. Był to skromny kącik na lewo od wielkich, metalowych wyobrażeń Słońca, niemal niewidoczny. A jednak z tego miejsca zaczęła się rozchodzić ciemność, jak fale rozchodzą się po powierzchni wody o północy, kiedy ktoś wrzuci kamień do stawu. Zaczęło się też robić coraz zimniej. Nadeszli kapłani Słońca. Witali go pokłonem, jego, Sovana Tovan-nazit, który był Takerną, Czarnym Bogiem. Wyświadczały mu grzeczność, ci kapłani, ale tylko grzeczność. Nic poza tym. A kiedy zakończyło się krótkie nabożeństwo, pospieszyli z powrotem do swych obowiązków, z powrotem do światła i ciepła, które tu, w ich sanktuarium, wydawały się teraz dziwnie nietrwałe. 132 Tej nocy Woana nie zmrużyła oka. Dowiedziała się, że jej ślub odbędzie się za trzy dni. W Świątyni Słońca ona i książę Volkhavaar zostaną połączeni na zawsze przed obliczem bogów. Jej przerażenie nie miało granic. Na próżno gorączkowo szukała jakiegoś wyjścia. Rozważała projekt ucieczki, ale uświadomiła sobie, że to bezcelowe. Żołnierze i gwardziści jej ojca byli wszędzie; zatrzymają ją albo też Volkhavaar sam wyruszy w pościg, a wtedy... Tak, odgadywała jego potęgę. Wydawało się, że wszyscy się tego domyślają, a jednak nikt nie ośmielił się ubrać tych domysłów w słowa. Mieszkańcy zaczarowanego miasta Arkev czuli, że zamknięto ich w pułapce, ale nie śmieli się bronić ze strachu przed gorszą niewolą. Ponure godziny bezksiężycowej nocy, wyznaczone biciem dzwonów, przeciągały z wolna nad bezwładnym ciałem książęcej córki. Wreszcie wstała i poczęła snuć się bez celu po komnacie. Podeszła do okna, uchyliła szybę i wyjrzała na zewnątrz. Wszędzie panowała nieprzenikniona ciemność. Woana na nowo poczuła ukłucie bólu. Po raz setny zawałała żałośnie, bez nadziei: „Mitz! Mitz! Wracaj do domu!” A wtedy stał się cud, cud, który mógł oznaczać tylko jedno: że wszystko będzie dobrze. Woana zobaczyła w mroku dwie zielone iskielki, a potem z ciemności wyłonił się czarny, smukły kształt i na zwinnych łapkach skakał z dachu na dach, aż skoczył na parapet. Ś Mitz... och, Mitz! Ś załkała Woana, chwytając kotkę w objęcia, obsypując ją pocałunkami i skrapiając łzami. Mitz jednakże nie zareagowała na to zwykłym mruczeniem i ocieraniem się. W ramionach księżniczki jakby zesztyniała i nastroszyła sierść. Ś Mitz, tak się cieszę, och, tak się cieszę, że wróciłaś. Może jesteś głodna? Mam tu tylko trochę mleka.

Proszę, wypij. Nie mam odwagi wzywać służby o tej porze. Przyniosłabym ci coś, ale... och, Mitz, boję się, że mogę spotkać jego, jeśli wyjdę z pokoju. Mitz, Mitz Ś mówiła zdławionym głosem Ś on jest taki okropny. Ty też się go boisz, prawda, moja Mitz? To dlatego nie chciałaś do mnie wrócić, dlatego jesteś taka cichutka. Ś Mrrrauu Ś odpowiedziała Mitz liżąc ucho Woany. Dobrze było mimo wszystko zobaczyć znowu Woanę, chociaż bardzo, bardzo źle było tutaj przebywać. Wola obcego przybysza, który wtargnął do świata Mitz, okazała się zbyt silna, żeby wymknąć się jej lub stawić opór. Teraz ta natrętna wola wciskała się ciekawie do wnętrza Mitz, usiłując na swój własny sposób zrozumieć ten 133 osobliwy związek pomiędzy kotką i kobietą, które zamieszkiwały jedno kocie ciało. Dusza Shainy, nieznośnie ściśnięta, skrępowana i przestraszona, ciągle nie mogła pojąć tego miłosnego rytuału i chociaż nie chciała się wtrącać, w tej sytuacji nic nie mogła na to poradzić. Nie tylko bliskość czarnoksiężnika powstrzymywała mruczenie Mitz, ale również męczący niepokój, któremu koty często ulegają. Woana nalała mleka na srebrną tackę, na której zwykle trzymała broszki, i Mitz zaczęła chleptać. To przynajmniej nie budziło w Shai-nie odrazy. Niestety mysz, którą wcześniej złapały Ś a raczej mysz, którą złapała Mitz, z wielkim zresztą trudem z powodu obecności Shainy Ś nie została nawet napoczęta, ponieważ Shaina nie potrafiła się zmusić do przełknięcia takiego dania. Pomrukując pod nosem Mitz ukradła na wpół spaloną kiełbasę ze straganu kucharza. Tę kiełbasę następnie pożarły, chociaż również nie bez kłopotów, ponieważ koty i ludzie jedzą w odmienny sposób; kilka razy obie omal się nie zadławiły. Teraz też część mleka została wessana niewłaściwie i wkrótce kotka wyparskała je na kosztowny dywan pokrywający podłogę sypialni. Woana ledwie to zauważyła, tak bardzo była uszczęśliwiona z odzyskania swej ulubienicy. Usiadła na łóżku i trzymając Mitz w objęciach opowiadała jej szczegółowo o wszystkich strasznych wydarzeniach i o okropnym losie, który ją czekał. Shaina również słuchała. Jej dusza wyrwała się do tej udręczonej dziewczyny o pospolitej twarzy i szlachetnym sercu. Jednakże Mitz, której zdolność rozumienia ludzkiej mowy ograniczała się do instynktu oraz do tego, co z konieczności przekazała jej Shaina, po swoich wyczerpujących przygodach nie zamierzała niczym zwracać sobie głowy. Z iście kocią przewrotnością natychmiast pogrążyła się w sen jak w ciemną otchłań, a Shaina, podporządkowana obecnie naturalnym prawom ciała Mitz, również zasnęła. Urywki ich snów mieszały się ze sobą. Shaina goniła myszy i tarzała się w słońcu, Mitz nosiła wodę ze studni, otrzymywała bolesne cięgi od żony Starego Asha i wciąż na nowo przeżywała miłość do przystojnego aktora. Dzięki temu pomieszaniu przeżyć Shaina i Mitz coraz lepiej poznawały się nawzajem, ale ciało kotki drgało i prężyło się na poduszkach obok głowy Woany aż do świtu. W międzyczasie zasnęła też sama Woana. Powrót Mitz wlał nieco otuchy w jej serce i odpędził strach. Przynajmniej dopóki nie nastał dzień. 134 Trzy dni to niezbyt długi czas dla dziewczyny, która musi się przygotować do ślubu. Nigdy jeszcze nie widziano takiego zamieszania, nigdy dotąd nie było tak niezwyklej godziny ślubu Ś o północy. No, ale kto by pomyślał, że tak można pan oświadczyć się o rękę nieładnej Woany; lepiej złapać go jak najszybciej. Poza tym ofiarował tak wspaniałe dary do jej wyprawy. Przez trzy dni dary nadchodziły do Arkev; czarne konie ciągnęły po drogach malowane wozy, czarne statki z purpurowymi żaglami płynęły, zda się, bez pomocy wiatru i wiosł w górę rzeki Kargi. Suknie dla Woany z jedwabiu i aksamitu, całe naszywane klejnotami, ozdoby godne samej Bogini Księżycy, pachnidła z czterech stron świata, czarne psy myśliwskie, czarne słowiki w srebrnych klatkach. Codziennie wszystko to podziwiano w mieście, codziennie pałacowe stajnie były przepełnione, a w komnatach i przedpokojach piętrzyły się aż po sufit wszelkie bogactwa. Każdego poranka wszystko znikало w tajemniczy sposób Ś puste stajnie, gotowe na przyjęcie nowych wozów i zaprzęgów, puste komnaty, gotowe na przyjęcie nowych darów. Niewątpliwie poprzednie dary zostały złożone w magazynach. Niewątpliwie. Volk, Mistrz Iluzji, Kernik, Złodziej Ról. Księżna uśmiechała się z przymusem. Książę pocił się i oglądał przez ramię. Zaczęły go prześladować rzeczy, które nie istniały Ś roje

pszczół, które rozganiał, chmury pcheł, które rozgniałał niespokojnymi paznokciami. Woana, blada jak niedopieczony chleb, przesuwiała między palcami sznury pereł i dziękowała swemu przysłemu mężowi. Perły nie wydawały się równie rzeczywiste jak sam Volkhavaar. Inne rzeczy też. Ś Nie bądźże taka nieśmiała, dziewczyno Ś mówił Volkhavaar spacerując z Woaną po ogrodzie. Ś Chyba nie myślisz, że cię zjem? Ś I uśmiechał się bezlitośnie, widząc całkiem wyraźnie w jej płochliwych oczach, że wcale nie byłaby tym zdziwiona. Co do Mitz i jej tymczasowej towarzyszki, stały się sobie bliskie, nie jak przyjaciółki, raczej jak siostry syjamskie. Mitz złapała końską muchę; Shaina powściągnęła mdłości i zachowała spokój. Shaina kazała Mitz pójść za czarnoksiężnikiem; Mitz zniosła to bez protestu. Volkhavaar zobaczył Mitz. Pochylił się do niej. Volkhavaar był wielkim amatorem kotów. Minał je Dasyel idący za czarownikiem. Dasyel usiadł nieruchomo obok Volkhavaara. Shaina kazała Mitz wskoczyć na ławkę obok niego i usiąść opierając się o jego bok. Dasyel nic nie zauważył. 135 Bezcielesne serce Shainy topniało z żalu i litości. Mitz, niewzruszona, zaczęła sobie myć pyszczek. Trzy dni minęły i odeszły. Nadszedł poranek dnia ślubu, popołudnie, wieczór dnia ślubu. Woana, w złotej sukni, modliła się. To było wszystko, co jej pozostało. W całym mieście ulice udekorowano wstążkami i kwiatami. Kiedy nadeszła noc, pochmurna jak wszystkie noce od czasu przyjazdu Volkhavaara, zamiast gwiazd na niebie rozbłysły fajerwerki, z fontann popłynęło wino czerwone jak krew, a na Wielkim Rynku piekły się woły na ogromnych rożnach. Woana wciąż się modliła. Potem nadszedł książę Volkhavaar w swoim purpurowym stroju, na koniu czarnym jak dżet, w koronie na głowie jak cesarz. Jego orszak liczył chyba z tysiąc ludzi. Żołnierze w czerni i złocie, dziewczęta w liliowych i błękitnych sukniach, tańczące i rozrzucające błyskotki z koszyków pełnych róż. Rydwany w kształcie łabędzi, które zdawały się wzbijać w powietrze, bursztynowe gołębie kołujące nad głowami, muzycy z instrumentami o jednej lub wielu strunach, bębny i piszczałki, niedźwiedzie o futrze barwy dojrzałej pszenicy, z naszyjnikami z szafirów. Jakże tłum krzyczał. A potem zagrzmiały trąby i brama pałacu stanęła otworem. Brzydka księżniczka miała na głowie welon przybrany szychem, ale żaden welon nie mógł przysłonić ani upiększyć jej rysów. Potykała się niezdarnie na szerokich stopniach, więc Volkhavaar podniósł ją i posadził na jednym ze swych koni, szczerząc zęby, jakby była najcenniejszą nagrodą. Woana przestała się już modlić. Zbliżała się wyznaczona godzina, nadchodziła północ. Pochodnie były szkarłatne, a niebo miało barwę hebanu. Może ktoś zadrżał przypominając sobie, że jeszcze nie tak dawno inna przerażająca uroczystość rozpoczęła się również o północy. Rozdzwiewczały się dzwony na wieżach i dzwony na statkach, a Volkhavaar poprowadził narzeczoną po schodach Świątyni Słońca. Jego złośliwe oczy rozjarzyły się radością z tego wspaniałego żartu. Orszak weselny wkroczył do świątyni: Volkhavaar, Woana uczepiona jego ramienia jak źdźbło trawy unoszone prądem, złowieszcza świta, książę i księżna, dworzanie i gwardziści. Kapłani czekali przy oświetlonym ołtarzu. Volkhavaar zbliżył się ciągnąc za sobą Woaną.

136

Potem nagła cisza, przerwa w uroczystości. Pan młody zatrzymał się parę kroków przed ołtarzem. Pan młody puścił dłoń swej oblubienicy. Martwe milczenie, jakby cisza wylewała się z jakiejś ogromnej urny. I głos Volkhavaara: Ś Nie, panowie kapłani. Zaczekajcie, jeśli łaska. Chwilowe zamieszanie. Szepty, szemrania. Znowu głos Volkhavaa-ra, ale zmieniony, już nie tak pogodny, nie tak cywilizowany. Głos o dzikim brzmieniu, głos niewolnika z kamieniołomów, chłopca z górskiej wioski. Ś Czarny Panie, Wielki Panie, Panie Wiatru, Nocy i Ciemności. Oni zapomnieli, ale twój sługa nie zapomniał. Jestem twoim prawdziwym kapłanem. Znasz mnie. Jestem twoim synem. O Sovanie Tovannazit ze zrujnowanej kapliczki, spójrz na swój nowy przybytek. Przypomnij sobie zstąpienie z gór, przypomnij sobie, jak upadła twoja i moja moc. Przypomnij sobie dni rozpacz, drobne przestępstwa, cuchnący loch, niewolnika, który miał umrzeć ciosając biały kamień dla Arkev. Przypomnij sobie człowieka, który z nas zadrwił. Przypomnij sobie, jak przelałem moje życie w twój posąg, jak powstałem i ty powstałaś wraz ze mną,

przypomnij sobie sokoła na niebie. Powstań teraz, o Niepokonany. O Sovanie Tovannazit, przyjdź. Przyjdź i weź. O Sovanie, Pożerający Cienie, o Takerno, o TAKERNO Ś TAKE-RNO, PRZYJDŹ I WEŹ! Rozległ się grzmot, nad głowami, pod ziemią Ś wszędzie. Usłyszano go w całym Arkev i jeszcze dalej. Zdawało się, że ziemia pęka, że niebo się wali. Świątynię wypełniły krzyki, jęki i narzekania. Wszystkie światła pogasły, pozostała jednak jakaś ciemna poświata. Poświata rosła. Przypominała blask czarnego słońca przesiany przez szybę z czarnego kryształu. Nie miała prawa istnieć, ale istniała. Źródłem, z którego promieniowała coraz mocniej, była niewielka nisza na lewo od Wielkiego Ołtarza. W niszy stał jakiś posąg, mały i czarny: bóstwo z kapliczki. Nawet kapłani stali bez ruchu pod zamierającym lśnieniem złotych dysków słońca. Zgromadzeni w świątyni ludzie wytrzeszczyli oczy, wstrzymali oddech, otwierali usta z przerażenia. Nie w ciasnej niszy, ale przed nią, pomiędzy ołtarzem a miejscem, gdzie wzniosłszy ramiona czekał purpurowy książę, pojawił się płomienny cień i rósł do wysokości wskazywanej rękami Volkhavaara, przerastał go. Czarny Bóg. 137 Głowa straszliwego ptaka, haczykowany nos, ślepe, złośliwe szparki oczu wypatrujące ofiary, usta stworzone do przekleństw. Dłoń zaciśnięta na ofiarnym rogu, pustym rogu, gotowym na przyjęcie krwi. Kształty wyglądające jak czarne błyskawice, miecze, sztylety, wiszące u pasa owijającego go jak wąż. Z każdego miejsca świątyni, ze wschodu, zachodu, północy i południa kapłani i dworzanie miasta Arkev widzieli to samo: oblicze, rękę, pusty róg, spragniony krwi. Sovan Tovannazit o czterech twarzach nie miał pleców, patrzył we wszystkich kierunkach. Posąg rósł, aż jego głowa dotknęła wysokiego stropu. Potem znieruchomiał jak kolumna z hebanu, jak żelazny słup, szpetny, o proporcjach pozbawionych wszelkiego wdzięku, mieniący się nieuchwytnym światłem. Takerna. Takerna stworzony z mocy. Volkhavaar strzelił palcami. Rozbrzmiała dzika, barbarzyńska muzyka. Wypełniła świątynię, jak przedtem wypełniło ją czarne światło. Wysoko na wieżach dzwony odezwały się bezładnie. Wkrótce w całym mieście rozbrzmiało zgiełkliwe bicie dzwonów. Volkhavaar obejrzał się. Ś Klękajcie Ś rozkazał. Ś Klękajcie przed Panem, którego zapomnieliście. Marmury dla pałacu, złoto dla słońca, srebro dla księżycy i gwiazd. Dla niego nic. Klękajcie i proście go o przebaczenie, klękajcie i módlcie się. I każdy mężczyzna, każda kobieta, cały dwór księcia, nawet kapłani, wszyscy mimo woli usłuchali, usłuchali własnego strachu i z ich ust wydobył się trwożliwy, służalczy skowyt. Tylko Volkhavaar i jego demony stali wyprostowani przed obliczem boga. Ś Chodź Ś zwrócił się Volkhavaar do narzeczonej, podnosząc ją z klęczek. Ś Mamy być sobie zaślubieni. Do środka wprowadzono trzy spętane czarne kozy i między szeregami klęczących ludzi zaciągnięto je do ołtarza. Volkhavaar chwycił je po kolei za rogi i srebrnym nożem podrzywał im gardła. Czerwona krew tryskała na czarne stopy posągu. Rzęzącym jękom konających zwierząt wtórował jęk tłumu. Krew popłynęła czarnym strumieniem po mozaikowej posadzce. Volk umoczył w niej palce. Złapał Woanę za włosy, przytrzymał ją równie bezlitośnie jak przedtem kozy i naznaczył krwią jej czoło oraz wątłą pierś. Woana, z wytrzeszczonymi oczami, nie stawiała oporu. Kiedy ją puścił, stanęła nieruchomo jak pozostali, jakby się zamieniła w kamień. 138 Volk spojrział na grupę kapłanów.

Ś Teraz, kiedy służycie Sovanowi Tovannazit, wasze obrzędy i symbole powinny zostać zmienione. Uczynił nad nimi znak w powietrzu, a wtedy znikły szkarłatne szaty i ozdoby z złotego metalu. Kapłani Volka, wyznawcy Czarnego Boga, byli czarni. Wstali i jak lunatycy poczęli tańczyć do wtóru muzyki. Z kadzielnicy ulatywał dym wypełniając salę ciężką wonią; kropidła zanurzone w święconej wodzie rozpryskiwały krople krwi. Wszyscy zebrani w świątyni podnosili się z klęczek, wpatrując się przed siebie nieruchomym wzrokiem, i podawali sobie ręce. Zagarnął ich taniec. Ś Chodźcie, żono, matko, ojczy Ś powiedział Volkhavaar. Ruszył do wyjścia. Woana szła u jego boku, sztywna jak kij, książę i księżna podążali za nimi, martwo uśmiechnięci, z pustymi oczami. Ogromny tłum cisnął się na Dziedzińcu Słońca, tłum nie świętujący, nie rozbawiony, ale milczący i cichy,

wpatrzony w ciemno świecąca świątynię z osłupieniem i trwogą. Całe Arkev ucichło i, tak jak przedtem, całe Arkev wiedziało. Volk podniósł rękę ściskającą dłoń Woany. Zagrzmiały trąby, lecz usta trębaczy pozostały nieme. Trąby grały w niebie, a dzwony wciąż biły bezładnie. Nikt się nie radował, nie było wyrzucania w górę czapek ani rozsypywania pieniędzy, nie wypuszczono gołębi. Tylko ta niesamowita muzyka wylewała się ze świątyni, a wraz z nią kapłani w swoich nowych, czarnych szatach, jak korowód umarłych, jak taniec śmierci, i tłum, opętany przez demony tańca, zaczął przytupywać i płaszać, utworzył wielkie koło na dziedzińcu i popłynął ulicami. A muzyka towarzyszyła im wszędzie, i wkrótce pod nieprzeniknionym niebem całe miasto tańczyło na cześć Sovana Tovannazit, boga, o którym zapomniało. Aż taniec nieuchronnie począł się zmieniać, przybrał inną formę, równie barbarzyńską, równie złowrogą. W Świątyni Słońca, na Wielkim Ołtarzu, czarny koń tańczył na tylnych nogach, beczczeszcząc swoim łajnem poświęcone naczynia i święte obrusy. W gmachu świątyni wszystkich porwał lubieżny taniec. Nie tylko mężczyźni i kobiety tańczyli; inni także. Stwory o ciałach byków, stwory o ciałach wilków, leżące pospołu z dziewczętami o białej skórze. Mężczyźni dosiadający klaczy, ptaki trzepoczące skrzydłami, wrzaski bólu i rozkoszy. 139 Kapłani ze Świątyni Słońca biegali nago po ulicach, polowali na szczury, piekli swoją zdobycz przy ogniskach lub pożerali ją na surowo. Dziewicze kapłanki Księżycy piszczwały przeraźliwymi, nie-swoimi głosami, zrzucały swoje welony i wkrótce nie były już dziewicami. Dym bez ognia przeszywały błyskawice, uderzające na oślep, jak strzały, trafiające w domy i ludzi, przerywające miłosne akty lub akty nienawiści. Na wiele mil wokół Arkev, w wioskach i miasteczkach, nawet na Równinie Yolkyanu, ludzie zrywali się ze snu i wpatrywali się w niebo na zachodzie i południu. Strwożonymi głosami zapytywali jeden drugiego, co może oznaczać ta jasność i grzmoty w niebiosach Ś i mieli nadzieję, że nikt nie odpowie.

19.

Czarne święto Takerny.

Jako chłopiec Kernik wraz ze swoim bogiem rządził całą wioską. Teraz obaj poznawali smak władzy nad Arkę v, Volk i Takerna. Orgia i rozpasanie doszły do szczytu, kiedy mag ze swoją nowo poślubioną małżonką wrócili do pałacu księcia. Księżę i księżna znikli bez śladu. Volkhavaar z Woaną weszli do środka. Dym, ogień i opary kadzideł, jęki i krzyki pozostały za kolorowymi szybkami okien. Ludzie-demony ulotnili się, znikła służba i żołnierze. Volk i jego żona mieli cały pałac dla siebie. Volk spojrział na nią, a ona, ze zbielałą twarzą, cofnęła się przed nim. Ś Widzę, że moja rybioskóra księżniczka obawia się, iż zamierzam dochodzić swych małżeńskich praw. Przestań tak dygotać, pani. Możesz sobie zatrzymać swoje wyblakłe panieństwo. Te rzeczy mnie nie interesują. Nawet gdybyś była piękna, nie zainteresowałbym się tobą. Pozostawiam te rozrywki zwierzętom z pól i lasów, a także tym innym zwierzętom, które mieszkają w domach. Woana drżąc upadła na krzesło. Volk stanął przy oknie. Jego drapieżny profil bardzo przypominał inną twarz, twarz Takerny. Ś Nie, nie, mała, brzydka dziewczynko Ś powiedział z rozbawieniem Ś wszystko, czego chcę od ciebie, to twoja symboliczna wartość. Czarnoksiężnicy zazwyczaj mają do czynienia z symbolami, dlatego też symbole są dla nich cenne, tym bardziej więc są cenne dla 140 mnie, Władcy Czarnoksiężników, Najwyższego Kapłana symboli. Kiedy nie będzie już z nami twoich nieszczęsnych rodziców, co wkrótce nastąpi, ty odziedziczysz Korkeem, a ja, twój mąż, będę nim rządził. Poza tym możesz robić, co chcesz, byłeś mi nie wchodziła w drogę. A teraz naprawdę możesz już wracać do swojego wąskiego, panińskiego łóżeczka. Woana ledwie zdołała wstać, wyjść z komnaty i wspiać się po schodach. Pałac stał cichy i opuszczony. Dygocząc z ulgi i ze strachu Woana wśliznęła się do swojej sypialni, po czym zamknęła i zabarykadowała drzwi Ś niepotrzebny, bezużyteczny środek ostrożności, który stosowała przez ostatnie dni. Na zewnątrz trwał szaleńczy zgiełk. Woana wskoczyła do łóżka i naciągnęła



kołdrę na uszy. Chciała zmyć z siebie ślady krwi, ale z jakiejś przyczyny nie odważyła się tego zrobić. Zawołała Mitz, lecz Mitz nie odpowiedziała; pewnie znów się ukrywała. Woana gorąco pragnęła znaleźć się na jej miejscu. Co on powiedział o jej ojcu i matce? Nie mogła sobie przypomnieć, a może bała się o tym pamiętać. Nie kochała rodziców, ale kiedy uświadomiła sobie, że wkrótce będą zdani na łaskę Volkhavaara Ś och, pożałowała ich serdecznie. Była jednak bezsilna. Czy na pewno wkrótce nadejdzie dzień? Jakże tęskniła do poranka. W czwartej lub piątej godzinie po północy nad Arkev powinno było wzejść słońce. Ale słońce nie weszło. Bezgwiazdne, bezksiężycowe, bezsłoneczne niebo nad miastem pozostało czarne. Bóg nocy zgasił wszystkie światła prócz własnego. Ogniska dopalały się i gasły. Śpiący ludzie leżeli pokotem na ulicach. Tylko dym przepływał przez dziedzińce i ogrody. Jak zdychające ryby, wyrzucone na brzeg-wielką falą przypływu, czciciele Takerny spoczywali u stóp boga w świątyni, która teraz doń należała, pośród kałuż wina i krwi. Ale bóg nie spał. Bóg nigdy nie zasypia, skoro raz został zbudzony. Tup, tup, tup. Wilcze pazury stukają o podłogę. Czarny wilk, wielki jak koń, wszedł do świątyni, ostrożnie przestępując przez bezwładne ciała śpiących ludzi. Pysk wilka umazany był czymś lepkiem, a kilku z tych, co spali na ulicach, nie obudzą się już nigdy. Ich gardła ociekają czerwienią. Pasterz-wilk grasuje pośród swoich trzód w ciemnej godzinie nocy, nocy, po której nie nadejdzie dzień. 141 Książę i księżna Korkeemu przebudzili się jednocześnie i jednocześnie wytrzeszczyli oczy na wilka. Potem wilk zniknął i przed nimi stał Volkhavaar, ich drogi zięć. Ś Jakże to dziwne Ś odezwał się książę zmieszonym, niepewnym głosem. Ś Co tu robią te wszystkie łańcuchy? Ś Przykuwają cię do słupa Ś wyjaśnił Volkhavaar. Ś Może zresztą to tylko iluzja. Spróbuj, a sam się przekonasz. Ś Cóż za osobliwy pomysł. Czy to jakiś zwyczaj z Yolkyanu? Ś Teraz tak Ś stwierdził Volkhavaar. Ś Żądam, by mnie uwolniono! Ś wybuchnął książę, rozglądając się wokół, zerkając na łańcuchy, na słupy, na całą tę piekielną scenerię; z jakiejś jednak przyczyny omijał wzrokiem wielki cień, sięgający głową powały. Ś Wkrótce zostaniesz uwolniony Ś obiecał Volk. Ś Czy przedtem chcesz coś powiedzieć? Wyrzucił ostatnie życzenie, udzielić błogosławieństwa, a może rzucić kłatwę? Księżna wykrzywiła się rozpaczliwie. Ś Litości! Ś załkała. Ś Dam ci wszystko, tylko mnie oszczędź! Ś Mam wszystko, czego chcę. Ś Straż! Ś krzyknął książę. Ś Na pomoc! Na pomoc! Ś Nie ma straży. Pomoc nie nadejdzie. Nie jesteś już tu potrzebny, panie, ani ty, pani. Nawet mój mistrz nie pragnie waszych małostkowych, ograniczonych duszyczek. Ś On jest wilkiem! Ś zapisała księżna. Ś Widziałam! Widziałam! Volk rozciągnął wargi w uśmiechu. Pochylił się i ucałował kraj szaty olbrzymiego, czarnego posągu. Ś Czy pamiętasz kapłana imieniem Voy? Tak, o Najwyższy, pamiętasz go. Czy pamiętasz, ile domów i ludzi spaliłeś piorunami tej nocy, na ulicach tego miasta, twojego miasta? Teraz, jak skrzętna gospodyni, musimy wymieść z naszego domu resztki brudów. Volk odstąpił na bok. Spoglądał na księcia i księżnę Ś przez których miał umrzeć w kamieniołomach, wydobywając biały kamień dla ich wielkiego pałacu Ś i widział, że ich twarze były równie białe i nieruchome jak ten kamień. Ś Weź ich, mój mistrzu i panie Ś powiedział. A wtedy zahuczał grom, zajaśniało czarne światło, rozszedł się swąd palonego mięsa, przy słupie zaś stały dwie pochodnie Ś jedna wielkości księcia Korkeemu, druga wielkości jego żony. 142 Koty mają wrodzone poczucie czasu, zawsze wiedzą, która godzina. Mitz wiedziała, że nadszedł świt i minął poranek, chociaż siedziała ukryta w dziupli dębu rosnącego w pałacowym ogrodzie. Nawet kiedy wysunawszy łepkę na zewnątrz widziała miasto wciąż pogrążone w najgłębszych mrokach nocy, była pewna, że nadszedł dzień. Ś Złociste oko nieba nie chce się otworzyć Ś pomyślała Mitz. Ś Nie Ś zaprzeczyła Shaina rozglądając się oczami Mitz. Ś Słońce weszło, ale Volkhavaar zarzucił czarną zasłonę chmur i czarów na Arkev, dlatego nie widać słonecznego rydwanu. Ś Może masz rację Ś odparła Mitz Ś ale ja się znowu schowam. Ś Nie, nie będziesz się chować Ś oświadczyła Shaina. Ś Przecież jesteś głodna. Chodź, pójdziemy do wielkiej kuchni i rozejrzemy się za czymś do jedzenia. W ten sposób Shaina przekonała swoją towarzyszkę, żeby

wysunęła nos z dziupli, dokąd obie schroniły się przy pierwszych odgłosach czarodziejskich grzmotów. Ale skok z gałęzi dębu na trawnik nie był wielkim sukcesem. Ś Przez ciebie o mało nie wpadłyśmy do stawu Ś gderała Mitz. Ś Posłuchaj Ś przerwała jej Shaina Ś ty z twoimi czujnymi uszami, czy słyszysz cokolwiek, choćby piśnięcie myszy? Mitz i Shaina buszując w trawie dotarły do porośniętej mchem ścieżki. Przed nimi wznosił się pałac. Mitz przyłgnęła brzuchem do ziemi i z jeżyła sierść, Shaina nastroszyła ogon jak szczotkę Ś tak, teraz już jej własny ogon Ś i obie zgodnie zasyczały w rozdrażnieniu. Pałac w Arkev nie był już biały, nie miał już dachów z jasnego, złociście lśniącego metalu ani różowych, turkusowych i liliowonie-bieskich szyb w oknach. O nie. Pałac był czarny, dachy z żelaza, szyby zielone i purpurowe, w złowieszczych barwach smoczej krwi. W ogrodzie każde drzewo okryło się czarnymi liśćmi, każdy kwiat miał kolor trucizny, wszystkie trawniki wyglądały jak posypane węglowym pyłem. Spójrzcie na Arkev, promienne Arkev, Miasto Światła. Czarne mury, czarne wieże, ani jednego światełka; ogromne miasto umarłych pod niebem Takerny. Mitz wdrapała się na czarną wieżę. Oniemiałe ptaki tuliły się do siebie pod okapem dachu. Mitz i Shaina zajrzały do odmienionego okna komnaty Woany. Ś Ona śpi. Nie skrzywdził jej ani nie pohańbił Ś szepnęła Shaina. 143 Mitz prychnęła. Zaczęła drapać w szybę, ale Woana się nie obudziła. Mitz rzuciła się do ucieczki. Ś Zaczekaj! Ś krzyknęła dusza Shainy, porwana ogromną falą dzikiej paniki Mitz. Skok z wieży na cienkie drzewo, na drugie drzewo, w dół, na trawę, przez wąską szczelinę, po schodach, przez mur, na szeroką ulicę o nawierzchni pokrytej smołą z przetaczanych beczek, gdzie samotna pochodnia wciąż paliła się płomieniem o niezdrowej barwie sepia. Ś Zaczekaj! Ś Nie czekać! Ś krzyk Mitz. Ś Noc! Strach! Uciekać! Shaina przedzierała się przez strach Mitz jak przez najeżoną kolcami gęstwinę, czepiając się niepewnie resztek rozsądku. Ś Dobrze, Mitz, kochana, śliczna Mitz, pędź jak wiatr, prześcignij chmury. Dobrze, biegnij, biegnij. Ale jeśli chcesz uciekać, biegnijmy tędy. I pobiegły tam, gdzie Shaina skierowała Mitz, w stronę świątyni, nie dlatego, że Shaina chciała oglądać ruiny, ale dlatego, że wyczuwała tam obecność Dasyela. A także dlatego, że... sama nie wiedziała dlaczego. Nawiedzały ją dziwaczne, nieprzyjemne, przelotne wrażenia. Pochwycona w szaleńczy wir kociego przażenia Mitz czuła, jak w niej samej odżywają stare, prymitywne instynkty. Zawsze wrażliwa, na wpół czarownica, jak mówiła Barbayat, teraz Ś przeniesiona w inne ciało Ś stała się niemal nieznośnie wyczulona. Magia i noc atakowały ją ze wzmożoną siłą, a jednak była bliska... czego? Nie pytaj, pomyślała Shaina, nie próbuj teraz szukać odpowiedzi. Jeszcze nie. A potem, zanim Mitz się połapała, znalazły się u wrót świątyni. Ś Za późno, żeby zawrócić Ś ostrzegła kotkę Shaina. Ś Rozszarpie cię na strzępy Ś zgrzytnęła zębami Mitz.

Ś Kochana Mitz, najmiłsza Mitz. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Ś Ja tobie zrobię krzywdę Ś obiecała Mitz. Ś Będę cię ścigać, wy drapię ci oczy, wbiję w ciebie pazury i... Shaina straciła cierpliwość. Ś Trzymaj język za zębami Ś zagroziła Ś bo inaczej ugryzę cię w ogon. Mitz ucichła. Nastroszona sierść na jej i Shainy grzbiecie opadła. Shaina, pojętna uczennica Barbayat, była mimo wszystko silniejsza. Świątynia wyglądała jak podwodna ruina, pogrążona w ciemnościach, pokryta osadem śmieci. Na posadzce wznosiły się dwie sterty popiołu. Ale czym był ten wielki, smoliście czarny cień, ten... Mitz nie chciała się zbliżyć, Shaina też nie chciała, a jednak obie podkradły się aż do posągu i zajrzały mu w twarz, w tę demoniczną, przypominającą ptasi łeb twarz Sovana Tovannazit Ś Takerny. 144 Wtedy ktoś przemówił. Nie bóg. To był głos maga, wypowiedzający niezwykle słowa: Ś Tutaj, kici, kici. Chodź tu, usiądź na kolanach księcia Korkee-mu, zasiądź na jego tronie. To godzina triumfu Volkhavaara. Na mozaikowej posadzce pojawiła się nagle uciekająca mysz. A raczej była to iluzja myszy. Shaina wyłączyła się i zebrała siły. Mitz, w której odezwał się instynkt, podbiegła parę kroków, skoczyła, podrzuciła mysz łapą, okaleczając ją okropnie, i zaczęła się nią bawić. Za każdym poruszeniem zbliżała się coraz bardziej do czarnoksiężnika, co było od początku jego zamiarem. Wreszcie, kiedy głód

przeważył na szali, Mitz rozszarpała i pożarła nieprawdziwą mysz. Smakowała całkiem jak prawdziwa. Shaina wyłoniła się z ukrycia ignorując ciepły smak mysiej krwi w gardle Mitz i spostrzegła, że siedzi na kolanach maga. Ś Później dostaniesz dobre śniadanie Ś powiedział Volk, spoglądając na kotkę z góry. Jego oczy w białej, nieludzkiej twarzy miały barwę ołowiu. Ś Ty małe, okrutne, sprytne, zepsute stworzenie. Myślisz, że się nasyciłaś, i nie wiesz, że nakarmiłem się złudzeniem. Mitz, dziwnie zakłopotana i nieswoja, zaczęła wylizywać łapki. Shaina wolała pozostać na dalszym planie. Kiedy kotka obracała łeppek, Shaina chwytiała przelotne strzępki obrazów. Tron był czarny i złoty, tron księcia czy też Najwyższego Kapłana, a może ich obu; w każdym razie był o wiele wspanialszy. Yevdora, prześliczna dziewczyna-zombi, siedziała po lewej stronie, przędąc dym na złotym kołowrotku i snując srebrną kądziel. Po prawej Dasyel czytał głośno z księgi całej wysadzanej szmaragdami. Opodał Roshi pod postacią niedźwiedzia grał na piszczałce z nefrytu. Symbole. Gdyż czarnoksiężnik, jak sam powiedział, kochał się w symbolach, potrzebował ich; to były fundamenty gmachu jego władzy. Ś Mały czarny kocie Ś odezwał się Volk cichym, bezbarwnym głosem Ś to ja sprawiłem, że piękne, jasne Arkev stało się ciemne i brzydkie. Stworzyłem boga, boga Arkev, widzisz, to on. Piłem ciepłą ludzką krew. I jego ręka opadła lekkim, miękkiem ruchem na grzbiet Mitz, głaszcząc ją od głowy do ogona. Mitz przymknęła oczy. Zamruczała. Spostrzegła, że mruczy, przestała. Zamruczała znowu. Kto by się spodziewał, że ten purpurowy człowiek zna takie pieszczoty? Shaina również czuła pieszczotę, również się nią rozkoszowała. Prawie zapomniała, ale nie całkiem... 10 Czarnoksiężnik...145 Posąg, Shaino. Zapamiętaj to.

Tak. Rozpoznała posąg, rozpoznała czarnego boga Yolka. To było bóstwo-demon z wioski Starego Asha, wizerunek, który się zmieniał i którego przestraszyły się kozy, gniewny bóg, przed którym się kłaniała i którego ułagodziła kwiatem. Mitz mruknięła głośniej i zasnęła, a Shaina zasnęła razem z nią i obie mruczały przez sen. Nadleciały czarne sokoły. Powietrze wypełnił łopot skrzydeł. Wieść rozeszła się szybko. W Arkev panuje nowy książę. Córka starego księcia jest jego żoną. Książę nazywa się Volkhavaar. Rozkazał, żeby ze wszystkich miast i miasteczek, wiosek i przysiółków, nawet ze świątyń przysyłano daninę. Czterdzieści czarnych wołów, sto czarnych owiec, dwieście czarnych koni; pięćdziesiąt beczek ciemnego piwa, sześćdziesiąt baryłek czerwonego wina, tona srebra, tona złota, sześć skrzynek diamentów, dwadzieścia skór czarnych niedźwiedzi, runo osiemdziesięciu czarnych baranów. Krążyły też inne opowieści. Jak Arkev pograżyło się w wiecznej nocy. Jak Volkhavaar skazał na wygnanie starą religię, a wtedy słońce, księżyc i gwiazdy odeszły z miasta. Jak wszyscy kapłani służą teraz nowemu, okrutnemu, rozpustnemu bogu, a dziewicze kapłanki stały się ladacznicami i jeszcze gorzej. Jak karawany i statki, które przybyły do Arkev na Wiosenny Jarmark, zniknęły bez śladu. Niektórzy odmawiali składania daniny nowemu księciu. Wtedy z niewyjaśnionych przyczyn tu i ówdzie uderzał piorun, tu i ówdzie jakiś władca zniknął w obłoczku dymu. Wreszcie cały Korkeem poznał imię Yolka Volkhavaara; drogi zapełniły się wozami wiozącymi bogactwa i stadami zwierząt pędzonymi do Arkev, które nie było już Miastem Światła. Czerwono odziany kapłan Słońca wracał do Kost wyboistą drogą, która prowadziła przez wzgórza z wioski Starego Asha. Był wczesny ranek, dopiero co weszło słońce i góry stały jeszcze ciemne pod lśniącą kopułą nieba. Powietrze rozbrzmiewało srebrzystym dźwiękiem krowich dzwonek, ptaki śpiewały, a dostoyny kapłański brzuch pięknie się zaokrąglął pod szatą. A jednak kapłan, jadący na mule, czuł ciężar w sercu. Prawdą było, że zrobił dla wieśniaków wszystko, co mógł. A zażądano od niego wiele. Przeżył ciężkie chwile. Cóż można począć z wampirem, co innego można było zrobić prócz tego, co on uczynił? 146 Tak będzie lepiej dla niej, a dla wioski i okolicznych wsi było to jedyne rozwiązanie. Zmusił się, żeby wypełnić to, co było konieczne. Samo odrabianie głowy tej dziewczynie było wystarczająco okropnym zadaniem, a w dodatku przez cały czas zdawało mu się, że jej głos trzepocze wokół niego jak oszalały ptak. A kiedy było po wszystkim i procesja z wolna powracała z

cmentarza do wioski, zdawało mu się, że słyszał za sobą płacz cichy jak szmer deszczu. Cios miecza przynosił spokój nawet tym, co nie do końca umarli Ś wiedział o tym. Ale czy przyniósł spokój tej dziewczynie? Oczywiście w drodze powrotnej do Kost musiał przejeżdżać obok cmentarza. Wkrótce zbliży się do miejsca, gdzie pochowano niewolnicę. I chociaż był jasny dzień, chociaż kapłan był człowiekiem mądrym i doświadczonym, musiał przyznać, że wolałby jak najszybciej zostawić wzgórze za sobą. Muł, który niezbyt lubił podróże, włókł się marudnie, udając wielkie zmęczenie. Nagle stanął. Ś Ruszaj, mój tłusty, roztargniony przyjacielu Ś ponaglił go kapłan. Muł potrząsnął głową. Wtedy kapłan dostrzegł na środku drogi niewielki głaz, który widocznie stoczył się ze wzgórza. Ś Cóż to, teraz znowu boisz się kamienia? W tejże chwili głaz jakby drgnął i wyprostował się Ś a może to było złudzenie. Muł ryknął wydając głos przypominający dźwięk zardzewiałe) trąby, w którą dmie z zapalem początkujący muzyk, po czym wykonał trzy opętańcze skoki: na wschód, na zachód i do tyłu. Ten ostatni wstrząs wysadził z siodła kapłana, który z głuchym plaśnięciem wylądował w kurzu na drodze. Ś Dzięki Bogu-Słońce jestem nieźle zabezpieczony przed takimi wypadkami Ś mruknął kapłan filozoficznie, podnosząc się z ziemi. Ś Rzeczywiście Ś odpowiedział mu jakiś głos. Ś To dobrze. Szkoda by było, gdyby czcigodny ojciec nabił sobie guza. Ś O guzach lepiej nie mówić Ś jęknął kapłan Ś ale przynajmniej kości mam całe. Ś Jego bystre oczy dokładnie obejrzały starą kobietę, która stała na drodze i przyglądała mu się. Dziwna staruszka z szarą twarzą, zakutana w mszysty szal, o spojrzeniu co najmniej równie ostrym jak jego własne. Ś Muły to niemądre stworzenia Ś zauważyła staruszka. Ś Niby spokojne, a za chwilę wierzgają. Zobacz, spadł ci jeden tobołek, ale go podniosłam. 10\*147 Ś Wielkie dzięki Ś powiedział kapłan. Ś Mogę wiedzieć, komu dziękuję? Ś Jestem tylko ubogą wieśniaczką Ś odparła starucha. Ś Ale powiedz mi, dobry ojcze, czy słyszałeś wieści z Arkev? Ś Słyszałem co nieco. Nowy książe i nowe rządy. Ś Gorzej. Pilnuj swej czerwonej szaty i złotego dysku, ojcze; niektórzy tego nie lubią. Ś Rady otrzymanej w podróży zawsze należy wysłuchać Ś powiedział kapłan. Ś Ale wciąż jeszcze nie znam imienia mądrej pani. Ś Powiedz mi swoje imię, a będę cię traktował zupełnie inaczej, jak mówił pies do pchły Ś odparła stara kobieta. Ś Twój muł wziął nogi za pas. Tak sobie myślę, że lepiej zacznij go gonić, chyba że wolisz iść do Kost na piechotę. Kapłan, dobrze wiedząc, z kim ma do czynienia, skinął chłodno czarownicy i puścił się w pogoń za mułem, który oddalał się charakterystycznym dla mułów krótkim galopem i najwyraźniej świetnie się bawił. Przebiegłszy jakieś pół mili muł, rzecz jasna, zatrzymał się po drugiej stronie wzgórza i dla żartu zaatakował małą jodełkę. Wkrótce kapłan ponownie znalazł się na jego grzbiecie. Może jeszcze kiedyś cię odwiedzę, matko, pomyślał pod adresem czarownicy. Dopiero w południe, kiedy zatrzymał się, żeby coś przekąsić, przyszło mu na myśl, żeby sprawdzić zawartość tobołka, który miała w rękach czarownica. Słowa, które wówczas padły, nie zaliczały się do zbyt pobożnych. Poświęcony miecz z brązu, miecz ze świątyni w Kost, błogosławiony miecz do zabijania wampirów Ś zniknął. Gdyby jednak kapłan tego dnia zawrócił z drogi i zobaczył, co się stało z grobem niewolnicy Starego Asha, byłby o wiele bardziej rozgniewany i zaniepokojony.

20.

W małej chatce pozbawionej okien, wyglądającej jak omszały głaz, za okrągłymi, zamkniętymi drzwiami, w blasku świec osadzonych w kandelabrze z ludzkich czaszek siedziała czarownica, wpatrując się w swój kryształ. Oto co widziała: Czarne miast pod czarnym niebem, słońce płonące ziemnym, bladym, fosforycznym blaskiem. Czarna jak dżet świątynia, czarne 148 języki ognia. Kapłani odziani w czerń bija pokłony przed wielkim posągami o obliczu jak z koszmarnego snu. Czarne klacze tańczą i kopulują na ołtarzu, krew zwierząt i ludzie płynnie szkarłatnym strumieniem. Opodal wznosi się czarny pałac, gdzie na złotym tronie zasiada czarny książe z drobną, wybladłą księżną u boku. Jasnowłosa dziewczyna przedzie

dym, żółty niedźwiedź tańczy, młodzieniec spogląda niewidzącymi oczami koloru morskiej wody. Przed księciem klęczą panowie i poddani, otwierając szkatułki pełne klejnotów i złotych monet. Statki na rzece, karawany na drogach. Wysoko na dachu mały czarny kot pożera rybią głowę. Kot myśli o pieszczącej dłoni czarnoksiężnika; dusza dziewczyny uczepliła się kocich myśli, jak ptak czepia się niepewnej, rozhuśtanej gałęzi. Wystarczy tego patrzenia, nawet dla Barbayat. Odwróciła się więc Barbayat, a za nią, na podłodze, widniał znak narysowany białą gliną Ś znak, który nigdy jeszcze tam się nie pojawił. A tuż obok leżało coś zawiniętego w szarą płachtę, coś wyglądającego jak lalka naturalnych rozmiarów. Zaś wewnątrz znaku stał prosto, oparty czubkiem o podłogę, a rękojeścią do góry, miecz z brązu. Ś Mieczu Ś odezwała się Barbayat Ś słuchaj, co do ciebie mówię. Ktoś leży martwy pod tym okryciem, tutaj, obok ciebie. Młoda dziewczyna, której ściałeś głowę, prawda? Więc teraz, o Mieczu, odpowiedz mi, przez moc tej gliny, która cię trzyma, przez moc tego ognia, który cię hartował, przez moc tej wody, która cię chłodziła, przez moc tego powietrza, które rozcinasz uderzając, przez moc tej ziemi, na której stoisz. Odpowiedz, Mieczu, ponieważ tego żądam. Miecz przemówił metalicznym głosem, jaki powinien posiadać miecz. Ś Tak Ś zadzwieczał miecz. Ś Posłuchaj mnie Ś powiedziała Barbayat. Ś Czy wiesz, że jestem czarownicą? Ś Tak Ś zadzwieczał miecz. Ś Nazywam się Barbayat, Mieczu. Powiedz, jak się nazywam. Ś Barbayat Ś zadzwieczał miecz. Ś Bądź pozdrowiona, Barbayat. Ś Teraz ja dam ci imię. Nazwę cię Mieczem. Nazwę cię Brązem. Posłuchaj, o Mieczu z Brązu. Tu oto leży dziewczyna, której ściałeś głowę. Czy ściałeś jej głowę? Ś Tak, Barbayat. 149

Ś Posłuchaj, Mieczu, ja ją okłamałam, ale jej krew płynie w moich żyłach, a kłamstwo wypływa na wierzch jak grudy w owsiance. Ona i ja zatrzymałyśmy jej duszę na tym świecie. Dowiedz się zatem, Mieczu: co Jest, jest, co Było, było, ale co Będzie, może być inaczej. Czy ściałeś jej głowę? Ś Tak, Barbayat. Ś Trzykrotnie odpowiedziałeś „tak” na moje pytanie, Mieczu, lecz wkrótce odpowiesz inaczej. Oto najstarsza magia: Jest to, w co wierzymy, Było to, w co wierzymy, i Będzie to, co ma być. Teraz wierzysz, że zabiłeś tę dziewczynę. Kiedy zapomnisz, że ją zabiłeś, kiedy odpowiesz „nie” więcej razy, nie odpowiedziałeś „tak”, zmienisz przeszłość, jak zmieniają ją wszyscy, którzy pamiętają i zapominają, a wtedy przeszłość przestanie istnieć. Kiedy ty, który odebrałeś jej życie, powiesz mi, że tego nie zrobiłeś, i uwierzysz, że tego nie zrobiłeś, wówczas jej życie nie będzie odebrane i jej ciało znów będzie całe. A jej dusza, która błąka się po ziemi, będzie mogła powrócić do ciała i dziewczyna ożyje. Czy mnie rozumiesz? Ś Rozumiem cię, Barbayat. Ale pamiętam cios, który zadałem w dłoni kapłana, ciepło jej krwi i odrąbaną głowę. Pamiętam przez cały czas. Barbayat tylko kiwnęła głową. Ś Mieczu, nazwałam cię Brązem. Ale brąz to dwa metale: miedź i cyna. Mieczu, nazwę cię po raz drugi. Nazwę cię Miedzią i nazwę cię Cyną. Odpowiedz mi teraz, Miedzi, czerwona, ciepła Miedzi, metalu ognia z ciepłej, bliskiej krainy. Odpowiedz mi teraz, Cyno, szara, zimna Cyno, metalu popiołów z zimnej, odległej krainy. Miecz jakby zadrżał całą swą długością, pojawiły się na nim dziwne, nieuchwytnie plamki, plamki barwy ognia i barwy popiołu, które łączyły się i rozbiegały płynnie jak kropelki cieczy. Ś Bądź pozdrowiona, Barbayat Ś zaśpiewał głęboki, ciepły głos Miedzi. Ś Bądź pozdrowiona, Barbayat Ś zapiszczał cienki, zimny głos Cyny. Ś Powiedz mi, Miedzi tego miecza, czy ostatnio zabiłaś jakąś dziewczynę? Ś zapytała Barbayat. Ś Zostałam wykuta, aby zabić Ś odparła Miedź. Ś Jestem silna i głodna. Na pewno zabiłam. Ś Powiedz mi, Cyno tego miecza, czy ty też zabiłaś jakąś dziewczynę? 150 Ś Ja? Ja jestem miękka i podatna, łatwo mnie złamać i wyszczerbić. Może ją lekko zraniłam, ale wątpię, czy ją zabiłam. Ś Głupia! Ś ryknęła Miedź. Ś Z moją pomocą mogłaś zabić setki ludzi; jedna dziewczyna nic dla mnie nie znaczy. Weź mnie za rękę i przypomnij sobie: zgrzyt kości, smak krwi. Ś Tak Ś zakwiliła Cyna Ś może pamiętam, może pamiętałam. Tak. Z pomocą mojej siostry zabiłam tę dziewczynę. Barbayat tylko kiwnęła głową. Ś Mieczu, nazwałam cię Brązem; Brązie, nazwałam cię Miedzią i Cyną. Nazwę cię jeszcze raz. Wykuli cię na kowadle, a

zanim cię wykuli, w piecu cię zmieszali, a zanim cię zmieszali, stopili cię i wytapiali. Ś Wewnątrz znaku narysowanego gliną miecz zaczął się rozpuszczać, rozpadać się, miedź z pomrukiem złości, cyna z piskiem strachu. Ś Nazwę cię Kruszcem Miedzi, nazwę cię Kruszcem Cyny. Powiedz mi, Kruszcu Cyny, gdzie cię znaleziono? Głos Cyny był teraz cichy, senny i odległy, jakby dochodził hen, zza mór i lasów. Ś Głęboko leżałam, Barbayat, głęboko w skalnej kryjówce. Kto mi powiedział, czym jestem? Nikt. Byłam częścią Matki Ziemi. Długo trwał ten zimny sen, póki ludzie nie wydarli mnie z łona mojej matki. Czarna byłam i tajemnicza, ale wrzucili mnie do wody i prażyli mnie w ogniu, i roztopili mnie, i skuli z obcą, czerwoną i ognistą, która mnie nienawidziła, i bili mnie młotami bez litości, aż odmieniła się we mnie dusza. Ś Stań się na powrót tym, czym byłaś Ś rozkazała czarownica. A Cyna upadła na podłogę jako ciemna, bezkształtna masa. Ś Powiedz mi, Kruszcu Miedzi Ś zapytała Barbayat Ś gdzie cię znaleźli? Głos Miedzi również był zmieniony; stał się miękki, aksamitny, pobrzmiwały w nim inne tony. Ś Wiele nas było, Barbayat, cała rodzina, cała kolonia, wyrastająca z jednego pnia. Głęboko spoczywałyśmy, szepcząc do siebie z miłością. Kto nam powiedział, czym jesteśmy? My same. Kto nam powiedział, czym się staniemy? My same. Ale pomyliłyśmy się. Ludzie wydarli nas z ziemi, oderwali nas od siebie. Wrzucili nas do moździerza i potłukli na kawałki. Trzymali nas w ogniu, aż zaczęłyśmy płakać, a potem skuli nas z obcą, szarą i zimną, która nas nienawidziła, i nie byłyśmy już Wszystkim, tylko Jednym. Uderzenia młotów były okrutne, ale nie tak okrutne, jak to rozłączenie i to okropne złączenie. 151 Ś Stań się na powrót tym, czym byłaś Ś rozkazała czarownica. I Miedź rozproszyła się, a potem przemieniła w czerwone grudki leżące na podłodze. Ś A teraz Ś oznajmiła Barbayat Ś nazwę was po raz ostatni: Rudo Miedzi, Rudo Cyny. Ś Bądź pozdrowiona, Barbayat Ś wyszeptwała Ruda Cyny. Ś Bądź pozdrowiona, Barbayat Ś wymruczała Ruda Miedzi.

Ś Teraz słuchajcie, co wam powiem: ktoś leży martwy pod tym przykryciem, tutaj, obok was. Młoda dziewczyna, której ścięłyście głowę, prawda? Ś Ja? Ś zawołał szept. Ś Nie, Barbayat, ja znam tylko tajemnicę, nie śmierć. Ś Ja? Ś zawołał pomruk. Ś Nie, Barbayat, ja znam tylko wspólnotę, nie śmierć. Ś Czy jesteście tego pewne? Ś zapytała Barbayat. Ś Przypomnijcie sobie błogosławieństwo w Kost, ręce kapłana, zgrzyt kości, smak krwi. Czy ścięłyście głowę tej dziewczynie? Ś Nie, Barbayat. Ś Nie, Barbayat.

Ś Ziemia, ogień, powietrze i woda Ś powiedziała Barbayat. Ś Kopalnia, piec hutniczy, zmieszanie, wykuwanie, hartowanie. Rudo, stań się Miedzią, stań się Cyną. Miedzi i Cyno, bądźcie jednym, bądźcie Brązem. Brązie, stań się Mieczem. Kurz i pył zawirowały na podłodze, czerwień i szarość połączyły się i zmieszały, i święty miecz znowu stanął prosto, czubkiem na dół, a rękojeścią do góry. Ś Mieczu Ś powiedziała Barbayat Ś stworzyłam cię na nowo. Jesteś dziewiczy i niewinny, czysty i nieskalany. Posłuchaj, Mieczu z Brązu. Oto leży dziewczyna, której ściałeś głowę. Czy ściałeś jej głowę? Ś Nie, Barbayat Ś zadzwieczał miecz swoim jasnym, dumnym głosem. Ś Nie, nie i nie. Wtedy czarownica zaśmiała się, jakby zaszczekał lis, odwróciła się i zerwała płachtę z tego, co pod nią leżało obok narysowanego białą gliną znaku. A tam spoczywała Shaina na posłaniu z własnych czarnych włosów, spokojna jak sen, pogodna jak noc, głowa osadzona pewnie na gładkiej, kremowej szyi, szyja osadzona pewnie na smukłych ramio-152 nach, nigdzie ani jednej blizny, która mogłaby temu zaprzeczyć. A z jej ciała unosiła się nieważka jak pasemko mgły, ledwie widoczna, srebrna nić. Cała i nienaruszona. Tuż przed wschodem słońca ktoś zszedł z Zimnej Turni, przekroczył skalny most i ruszył ścieżką, która prowadziła w dół, po trawiastym zboczu, przez kozie pastwisko nad strumieniem, w stronę wzgórz i wioski w dolinie. Ten ktoś wyglądał jak zwykła wiejska kobieta: mocne buty, chustka na siwych włosach, fartuch i mszysty szal. Ten ktoś prowadził za uzdę niewielkiego muła. Muł ciągnął wóz, a na wozie spoczywała zwykła, toporna, drewniana skrzynia, która mogła być tylko trumną. Smutny widok, żalony widok. Wkrótce, gdy wiejska kobieta ze swoim ponurym ładunkiem minęła wzgórze i wędrowała szeroką, twardą

drogą do Kost, ludzie zdejmowali przed nią czapki, ustępowali jej z drogi, ofiarowywali kromkę chleba lub jabłko. To wszystko było bardzo dogodne dla Barbayat, która, mając w swej pieczy uleczone ciało Shainy, nie mogła podróżować innym sposobem. Zanim jednak Barbayat zeszła z górskiej ścieżki, zdażyła zauważyć pewną rzecz. Wyrzeźbiony w skale bożek, który stał przy zakręcie od niezliczonych lat, na pierwszy rzut oka był prawie niewidoczny, tak gęsto rosły wokół niego białe kwiaty. Szara Pani podeszła bliżej. Pokłoniła się grzecznie przed bóstwem, a jednocześnie przyjrzała mu się badawczym wzrokiem. Trudno było coś wyczytać z jej kamiennej twarzy, ale zanim poszła dalej, zerwała dwa czy trzy kwiaty i umieściła je na drewnianej skrzyni.

21.

Shaina śniła, że schwytała mysz i bawiła się nią na mozaikowej posadzce pałacu. To był koci sen Mitz; Shaina przywykła już do tych snów, nad którymi unosiła się atmosfera nadnaturalnej grozy. Potem wizja uległa zmianie. Nie było już myszy w pyszczku Shainy: sama Shaina stała się myszą. Wyślizgnęła się z gorącej, wilgotnej, uzębionej paszczy kota i upadła na podłogę obok drugiej myszy; skądś wiedziała, że ta druga mysz to Dasyel. 153 Ś Uciekajmy! Ś pisnęła. Ś Ściga nas kot Volkhavaar!

Ale mysz Dasyel tylko spojrzała na nią pięknymi, apatycznymi, błękitnozielonymi oczami, a potem łapa Volka, ciężka jak z żelaza i pałaca jak ogień, przygwoździła ją do ziemi. Shaina ocknęła się z krzykiem przerażenia i od razu spadła z jakiegoś wysoko położonego miejsca w inne, położone niżej. To jej się często zdarzało, kiedy własne jej sny mieszały się ze snami Mitz. Ś Przepraszam Ś zasygnalizowała Shaina do Mitz, usiadła i zaczęła myć łapki, ale... Nie były już szczupłe i porośnięte czarnym futerkiem, tylko szczupłe, gładkie i brązowe, z dziesięcioma znajomymi palcami. Nie, to nieprawda. To sen. To niemożliwe. Shaina zamknęła oczy, otworzyła oczy. Widziała inaczej, słyszała inaczej. Daremnie próbowała biec na czterech łapach, a potem, zmiłuj się, Matko Ziemi, o mało nie złamała sobie karku usiłując okręcić się za własnym ogonem, jak to czynią koty. Ś Shaino, oszalałaś. Opamiętaj się Ś powiedziała. Teraz stała wyprostowana, wiatr rozwiewał jej włosy i nawet... tak! Mówiła swoim własnym, dobrze znanym głosem. Ś Co się ze mną stało? A potem zobaczyła wzgórze, pochmurne niebo, wóz i otwartą skrzynię na wozie... a obok skrzyni zakutaną w szal czarownicę z Zimnej Turni. Ś Barbayat Ś powiedziała Shaina z trudem, gdyż łyż piekły ją pod powiekami, a w jej sercu radość walczyła o lepsze ze strachem Ś Barbayat, powiedz mi wszystko od razu, szybko. Więc Barbayat, Szara Pani, opowiedziała jej wszystko, szybko, ale nic nie pomijając. Potem Shaina zamiauczała Ś to było od niej silniejsze Ś i chciała pogonić za końską muchą dla czystej przyjemności Ś i przypomniała sobie wszystko, co się stało Ś i dotykała różnych części swego ciała, żeby się upewnić, że jest taka jak przedtem. Wciąż jeszcze ledwie mogła w to uwierzyć. Podziękowała Barbayat, jak królowa mogłaby podziękować bogini, a potem nagle usiadła na ziemi i śmiała się, i płakała, jakby serce miało jej pęknąć. Barbayat zaczekała czas jakiś, po czym przemówiła: Ś Później będzie dość czasu na płacz. Opowiedziałam ci, jak zabrałam z grobu twoje ciało i sprawiłam, że się zrosło, i sprowadziłam z powrotem twoją duszę. Teraz, moja córko, czas wyrównać 154 rachunki między nami. Niegdyś cię oszukałam, ale spłaciłam swój dług. Powiedz, że go spłaciłam. Ś Po stokroć, Barbayat: spłaciłaś, spłaciłaś, spłaciłaś. Ś Dobrze. Zatem jeśli przypomnę ci inne sprawy, a ty zaczniesz działać po swojemu i popełnisz jakieś szaleństwo, i znowu wpadniesz w potrzask, dziewczyno, nie masz już prawa żądać ode mnie pomocy. Zapamiętaj to sobie. Ś Tak, Barbayat. Jakie sprawy? Ś Jakie sprawy. Ach tak, jakie sprawy. Tu są jabłka i bochenek chleba. Jedz i słuchaj. Najpierw to ci powiem. Drzwi nadal są otwarte, moje okrągłe drzwi. Wracaj ze mną w góry, a zrobię z ciebie czarownicę tak łatwo, jak pszczoła robi miód. Tak, tak, kręcisz głową. Wiedziłam. Dusza i serce się nie zmieniają. On jest najważniejszy, ten twój Dasyel. No tak.

Przełknij to jabłko, zanim się nim udławisz, i powiedz mi, czego się dowiedziałas, kiedy biegalas na czterech łapach po Arkev, pod czarnym niebem Yolka. Shaina usłuchala Ś rzeczywiście omal się nie zadławila usiłując przerwać Barbayat, a jednocześnie pamiętała, żeby nie jeść tak, jak jedzą koty. Ś Poznałam zaułki miasta i zakamarki pałacu. Nauczyłam się łapać myszy Ś niezbyt przyjemna lekcja, jak może sobie wyobrazić Szara Pani Ś nauczyłam się rytuału czarnego boga i widziałam go na własne oczy. Dowiedziałam się, że ręka czarnoksiężnika potrafi delikatnie głaskać kota po grzbiecie. Barbayat siedziała nieruchoma jak głaz na wozie obok otwartej trumny i spoglądała ponad wierzchołkiem wzgórze na północ, gdzie piętrzyły się czarne, przypominające pasmo górskie, skłębione masywy chmur. Ś Coś jeszcze? Ś Jeszcze jedna rzecz Ś powiedziała Shaina Ś jedna rzecz, której świadomość nie daje mi spokoju, sama nie wiem dlaczego. Odkryłam, że bóg Yolka, bóg, którego on uczynił królem Arkev, to ten sam niepozorny jegomość, któremu się kłaniałam na górskiej ścieżce. Ś A czy kiedykolwiek Ś zapytała Barbayat Ś ofiarowałaś coś temu niepozornemu jegomościowi? Ś Raz, kiedy wydawał się rozgniewany, a mnie było ciężko na sercu, ofiarowałam mu biały kwiat. Ś Tak też myślałam. Teraz rośnie tam gąszcz białych kwiatów Ś oznajmiła Barbayat. 155 Potem wyciągnęła rękę na północ, w stronę czarnych gór-chmur, które przesłaniały horyzont. Ś Tam leży Arkev Ś powiedziała Ś Arkev pogrążone w nocy. Młoda, rezolutna dziewczyna dojdzie tam na piechotę w ciągu jednego dnia. Ale ta droga prowadzi w ciemność. Ś A jednak to moja droga, matko Ś odparła Shaina Ś i ty o tym wiesz. Ś A czy twoja wola jest silna i niezłomna jak żelazo? Ś Silniejsza. Wypróbuj mnie. A może Szara Pani uważa, że zostałam już wypróbowana? Barbayat zmierzyła Shainę ostrym jak nóż spojrzeniem; Shaina popatrzyła na Barbayat i Barbayat zrozumiała. Ś Niegdyś nosiłaś łańcuch z żelaza Ś mruknęła Ś teraz znów inne łańcuchy. Wieczna niewolnica. Posłuchaj więc, niewolnico miłości. Słuchaj i zapamiętaj, ponieważ będę mówiła o Volkhavaarze, opowiem ci jego historię Ś i nie będę powtarzać dwa razy. Wędrowka była długa i męcząca. Powrót do Arkev zabrał cały dzień, jak mówiła Barbayat. Jak dobrze jednak było stąpać ludzkimi stopami po twardych, ostrych kamieniach, jak dobrze było czuć zimny wiatr szczypiący ludzką twarz, napędzający łzy do oczu, szarpiący długie włosy. Jak dobrze. Czarny wał chmur wisiał nieruchomo nad horyzontem. Można było pomyśleć, że unosi się nad Arkev od dziesięciu milionów lat. Z bliska jednak Shaina dostrzegała purpurowe migotania i plamy jasności po dolinach: znak, że zapalono ognie i lampy. Obrzędy ku czci czarnego boga odbywały się teraz bardzo często; tak zarządził Volk. Za każdym razem światła płonęły owym jasnym, upiornym blaskiem oznajmiając, że przyszedł czas. Shaina szła przed siebie, nie zatrzymując się ani na chwilę. Serce jej łomotało, usta wyschły, a ciało ogarnął chłód. Strach, ten bezrozumny towarzysz, kroczył u jej boku wiernie jak pies. Dobrze poznała strach. Od czasu do czasu rzucała mu kość lub poklepywała go po grzbiecie, żeby się uspokoił, lecz na próżno skomlał u jej stóp Ś nie mógł jej zatrzymać. Wreszcie, długo po zachodzie słońca Ś chociaż nie było widać, czy słońce zaszło, bo wcale nie pokazało się na niebie Ś dotarła na przedmieścia Arkev, ujrzała mury, rzekę pełną statków, wieże i szerokie ulice. Wszystko było czarne, jak zapamiętała, ale tu i ówdzie płonęły pochodnie. 156 Słowa Barbayat dzwięczały w jej myślach i Shaina karmiła się nimi tak samo jak chlebem, który jej dała czarownica, czerpiąc siłę ze świadomości swego przeznaczenia. Aura czarnoksiężnika rozciągała się wszędzie, ale to było nieważne. Żyję, myślała Shaina. Jeszcze mnie nie pokonał. Woana siedziała przed swoją szkatułką na klejnoty. Jej oczy były martwe jak kamienie, serce oniemiało ze strachu i rozpacz. Nikt nie mógł jej ocalić. Nie było ratunku. Nie było ucieczki. Volkhavaar, rozbawiony jej symboliczną wartością, trzymał ją w swej mocy. Zamordował jej biednych, niemądrych rodziców i zamienił Arkev w miejsce, gdzie władała ciemność, groza i diabelskie czary, a ona musiała na to patrzeć. Musiała siedzieć obok niego w świątyni, kiedy obłąkani ludzie pogrążali się w rozpuście i zezwierzęceniu na cześć Sovana Tovannazit, musiała siedzieć obok swego krwią zaślubionego męża,



który pochłaniał ów spektakl oczami pełnymi zimnego, ohydneho triumfu. Wiedziała, że ci ludzie, jej poddani, nie mogli nic na to poradzić, że byli w jego mocy jak ona sama. Wiedziała, jakie okropności dzieją się później. Ś wiedziała, że ogromny, czarny wilk grasuje po ulicach miasta i rozszarpuje gardła biesiadników. Pewnego dnia wilk wkroczy do jej komnaty... Nie miała się do kogo zwrócić. Nawet kotka była jak zauroczona przez czarnoksiężnika. Czasami uciekała od niego jakby wbrew własnej woli, ale potem znowu mościła się na jego kolanach i przyjmowała obrzydliwe pieszczoty. Jej Mitz, mruczająca na kolanach Volkhavaara. A teraz nadeszła kolejna wiadomość od jej pana. Miała jechać razem z nim do świątyni przez wzburzone miasto. Nie mogła już tego znieść. Coś się stało z Woaną. Coś, co powinno nadejść z wolna, łagodnie i niezauważalnie, ale dla niej nadeszło jak cios żelaznego topora, rozłupując jej spokojne życie na dwoje. Dorosła. Stała się kobietą. Kobieta wydana na łup krańcowego przerażenia, a jednak zbyt dumną i nieugiętą, aby w godzinie strachu poddać się własnej słabości. W szkatułce na klejnoty, niegdyś wypełnionej bajecznymi, niezwyklejmi darami jej groźnego męża, leżała teraz tylko jedna szpilka o długim ostrzu. Woana, biała jak płótno, wpatrywała się w tę szpilkę, a jej serce lodowaciało w oczekiwaniu na srebrny sztych, który je przeszyje. 157 Dłoń podkradła się do szkatułki jak złodziej kryjący się wśród cieni. Palce zacisnęły się na perłowym uchwycie. Woana podniosła szpilkę, przyłożyła ją do piersi i mocno zacisnęła powieki. Drapanie do okiennej szyby. Drap, drap. Woana z krzykiem wypuściła z ręki zaimprovizowany sztylet i obróciła się gwałtownie. Ś Mitz! Ś zawołała podbiegając do okna. Na zewnątrz wszystko skrywała czerń, nawet kolorowe szybki były czarne. Woana bez namysłu otworzyła okno, a wtedy zamiast czterech miękkich, zwinnych, jedwabistych łapek i trójkątnego łebka ze sterczącymi uszami do środka wsunęły się dwie silne, szczupłe dłonie, pochwytyły jej ręce i dziewczęcy głos powiedział szybko: Ś Nie bój się, księżniczko. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Zaufaj mi i wpuść mnie, nim się ześliznę i spadnę do ogrodu. Woana wyswobodziła dłonie i odsunęła się, umożliwiając przybyłej wejście do komnaty. Gość niewątpliwie był człowiekiem. Zdecydowany ton głosu i mocny uścisk ręki tchnęły dziwną pewnością, że zamiast zakłopotania czuje przyływ otuchy, kiedy kruczowłosa dziewczyna, ubrana jak najbiedniejsza z biednych, wślizgnęła się zwinnie do komnaty. Woana zauważyła, że dziewczyna jest prześliczna, ale ku własnemu zaskoczeniu nie spostrzegła u siebie zwykłego w takich razach onieśmienia. Ś Powiedz mi, proszę, jak tu dotarłaś Ś odezwała się, usiłując oswoić się z tą niecodzienną sytuacją. Ś To była szaleńcza wspinaczka, pani: na słup, po słupie przez mur, potem na drzewo i po ścianie pałacu do okiennego parapetu. Tylko kot mógłby chodzić tą drogą i kot mi ją pokazał. Wybacz, ale mamy mało czasu. Ś Czasu na co? Ś zapytała Woana, niejasno przeczuwając, że oto stanęła twarzą w twarz z własnym przeznaczeniem, które przybrało postać tej pełnej uroku dziewczyny Ś obcej, a przecież dziwnie znajomej. Ś Musisz iść z Yolkiem jak zawsze, prawda? Z pewnością księżniczka niechętnie udaje się do świątyni, żeby oddawać cześć czarnemu bogu. A może się mylę? Może księżniczka znajduje w tym przyjemność? Ś Och nie, nie! Ś wybuchnęła Woana. Ś Wolałabym umrzeć, wolałabym... 158 Ś Oczywiście, ale nie ma potrzeby, żebyś umierała, pani, skoro ja pragnę zająć twoje miejsce. Ś Ty? Ś Ja. Tego już było za wiele. Woana poczuła, że nogi się pod nią uginają. Opadła chwiejnie na krzesło i wytrzeszczyła oczy. Ś Dlaczego...? Ś wyszeptwała. Ś A dlaczego nie? Mam sprawę do Yolka Volkhavaara, tego mordercy miast i ludzi. Ś I dziewczyna ku własnemu i Woany zaskoczeniu roześmiała się dźwięcznym jak kryształ śmiechem. Strach, wiecznie skomlaący jak pies u stóp Shainy, opuścił ją nagle. Była skupiona, napięta jak cięciwa łuku, ale spokojna, ufna, pewna siebie. W jakimś jasnowidzeniu dostrzegła swoje przeznaczenie, podobnie jak Woana, i przyjmowała je z godnością, ale bez fałszywej dumy. Ś Chyba jesteśmy tego samego wzrostu Ś powiedziała Ś i żadna z nas nie jest za gruba. Może zechcesz pożyczyć mi suknię i welon, nie z próżności, jak sama rozumiesz, pani,

ale po to, żeby mnie nie rozpoznano. Woana przyjrzała się jej. Tak, to mogło się udać, chociaż Shaina była szczupła, i giętka jak młode drzewko, a Woana chuda i koścista. Ś Zrobię wszystko, co zechcesz. Ale czego ty właściwie chcesz? Ś Z pomocą bogów chcę zniszczyć Volkhavaara. Woana zagryzła usta. Potem okręciła się na pięcie i z rozmachem otworzyła drzwi szafy, te same drzwi, które jeszcze tak niedawno otwierała jej nieszczęsna matka. Ś Weź moją suknię ślubną\*. Jest złota i ma welon haftowany złotem. Ś Najpiękniejszy strój, jaki kiedykolwiek nosiłam Ś zapewniła Shaina. Ś Dziękuję ci. Innym razem może by marudziła, nałożywszy suknię ze smoczej łuski, zapiawszy w talii pas, który rozsiewał błękitne ognie, okrywszy włosy złocistą siatką wysadzaną klejnotami, może zachłannie przeglądałaby się w polerowanym zwierciadle, ona, co tak rzadko mogła oglądać samą siebie, i nigdy w takim stroju. Ale tej nocy podobne pragnienia nie miały do niej dostępu. Inne pragnienia też. Była przeobrażona, jakby stała się żywym ucieleśnieniem samej Woli. Woana pospieszenie spuściła oczy przed tym zjawiskiem, wstrząśnięta jego wspaniałością. Potem połyskliwy welon opadł na twarz i zakrył ją. 159 Ś Nie Ś wtrąciła Woana Ś ja nie chodzę w ten sposób. Garbię się, powłóczę nogami i kulę ramiona. Ś Powiedziała to rzeczowo, bez żadnego wstydu. Shaina skłoniła się przed nią. Ś Nie rób tego więcej, szlachetna pani. Kiedy odejdę, ty także odejdziesz. Staraj się uciec z Arkev. Idź na południe. Ś Nie wiem, jak zamierzasz pokonać Volkhavaara Ś odparła Woana Ś nie wiem nawet, w jaki sposób zamierzasz z nim walczyć, ale jeśli zwyciężysz, myślę, że nie będę musiała uciekać. Jeśli zaś przegrasz, on i tak mnie odnajdzie. Dlatego zostanę. Czy jesteś czarodziejką? Ś Modlę się o to. To się okaże. A teraz powiedz mi, czy on zapuka? Ś Nie. Kiedy ponownie uderzy dzwon, muszę zejść do niego. Ty musisz zejść do niego. Pojedziecie ulicami miasta do świątyni w wielkim, czarnym rydwanie zaprzężonym w czarne konie, którym ogień bucha z pysków. W świątyni musisz usiąść obok niego, a potem... Ś Wiem, co będzie potem Ś przerwała jej Shaina. Ś Widziałam to. Ale tej nocy będzie inaczej. Na zewnątrz rozległ się jakiś dźwięk, a potem hałas. Dźwięk był uderzeniem dzwonu, hałas był burzą wrzasków, jęków, odchryplęgo zawodzenia. Ś Pójdę już Ś powiedziała Shaina. Ś Czy ta noc wkrótce się skończy? Ś zapytała Woana szybko, odwracając wzrok, jak dziecko przestraszone ciemnością. Ś Każda noc Ś powiedziała Shaina Ś kiedyś się skończy. I opromieniona niezwykłym blaskiem, stąpając odmiennie, jak sobowtór Woany, Shaina podeszła do drzwi komnaty, otworzyła je i zeszła po schodach. Tam, gdzie czekał na nią on. Volkhavaar. Poprzednim razem, kiedy go widziała, przebywała w ciele Mitz, oczarowanej pieszczotą jego rąk. Jeszcze wcześniej był demonem ciemności, który ją ścigał, polował na nią, zesłał na nią śmierć; cieniem pozbawionym cienia, który zawisł nad jej ukochanym, nad jedyną miłością jej życia. A teraz? Czy na widok jego twarzy, jego długich szponów, jego wilczych zębów ogarnie ją strach? Nie. Nie strach. Miała na niego broń. Jeśli broń okaże się zbyt słaba, Shaina zginie Ś och, ale nawet na to była przygotowana. A kiedy pomyślała o Dasyelu, nie myślała już o nim jak o mężczyź-160 nie, ukochanym, upragnionym. On również stał się symbolem, chociaż w tym krytycznym momencie swego życia nie całkiem zdawała sobie z tego sprawę. Ś Moja żona się pospieszyła Ś oświadczył Volkhavaar. Ś Może dziś w nocy pragnie wziąć udział w nabożeństwie? To się da zrobić. Shaina wzdrygnęła się, zadrżała, zadygotała dokładnie tak, jak Woana, której niegdyś przyglądała się oczami Mitz. Volk wprowadził ją z pałacu. Czarne miasto ogarnęło gorączkowe podniecenie. Płoneły ognie o nienaturalnych barwach Ś karmazynowe, jasnioletowe, brązowo-złote. Wściekłe błyski fajerwerków przeszywały niebo. Czarny rydwan czekał Ś tak podobny do rydwanu, w którym Volk ją ścigał, szczerząc wilcze kły, budząc w niej obłądną, bezmyślną trwogę Ś ale nie ten sam. Iluzja. Volk wprowadził ją do środka. Zielona błyskawica z trzaskiem rozdarła mrok. Na wpół obnażone kobiety biegły za nimi krzycząc nieludzkimi głosami, skowycząc jak zwierzęta, czarni kapłani wrzeszczeli, wokół unosiła się woń pachni-deł i zepsucia. Z najczarniejszych zakamarków dusz i umysłów wyrastały kwiaty zła. Ś Widzę, że na moją cześć nałożyłaś ślubną suknię Ś odezwał się Volk. Ś Zasłoniłaś twarz

welonem. Cóż, nie szkodzi. Mam wrażenie, że Arkev obejdzie się bez widoku twojej piękności. Shaina skuliła się. Wargi Volka rozciągnęły się w uśmiechu. Tak samo, jak poprzednim razem, był ślepy na Znak, głuchy na Głos. To miłość pokonała go poprzednim razem, ale zapomniał o tym. Wjechali na Dziedziniec Słońca. Wjechali po schodach do świątyni, a tłum wybiegł im na spotkanie ze śmiechem i wrzaskiem. Pochodnie płonące jak szeregi purpurowych gwiazd. Bóg o czterech twarzach i głodnym spojrzeniu, sięgający głową powały. Shaina popatrzyła na niego. Serce waliło jej w piersi, krew pulsowała w żyłach, ale to nie był strach, nigdy już nie będzie czuła strachu. Dotarła zbyt daleko, biegła zbyt szybko, żeby strach mógł ją dogonić. Rozejrzała się. Dostrzegła Dasyela, Yevdorę, Roshiego. Czarni kapłani roili się przy splugawionym ołtarzu. Czarny koń wspiął się na ołtarz i stał tam nieruchomo jak posąg z bazaltu. Powietrze wypełniała moc i oczekiwanie. Volkhavaar wyciągnął Shainę z rydwanu i trzymając ją za rękę ruszył do swojego boga, a ludzie krzyczeli i padali przed nim na 11 Czarnoksiężnikl O 1 kolana. Volk nie zauważył, że Shaina nie stąpa już tak, jak Woana, że zrównała krok z jego krokiem. Ś Takerno! Ś zawołał Volk. A cała świątynia odpowiedziała jak echo:

Ś Takerno, Takerno, Czarny Panie, Panie Nocy i Ciemności! Płomienie pochodni zadrżały, czarny koń stanął dęba i wszystko zamarło w oczekiwaniu tego, co nastąpi. A wtedy: Ś Zaczekaj, mój ukochany mężu Ś przemówił cichy, watty głosik u boku Volkhavaara. Ś Ja też pragnę złożyć hołd największemu bogu Arkev. Volk puścił ramię Shainy i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Teraz dostrzegł różnicę, wciąż jednak nic nie rozumiał. To nie była Woana, ale kto to był? Ś Dumny jesteś Ś mówiła zawołowana kobieta cichym, zimnym głosem Ś ze swojego ciężkiego życia, z walki, którą stoczyłaś, z cierpienia i rozpacz, i śmierci, z której się wyłoniłaś, aby stać się na koniec tym, czym jesteś, Volku Volkhavaarze, Kerniku, Proroku swego boga. Ale ja też poznałam cierpienie, walkę i śmierć. Ja też ofiarowałam krew. Ja też zmieniałam swą postać. Ja też o poranku powstałam z martwych. Ty i ja, o czarnoksiężniku, jesteśmy jak brat i siostra, którzy wyszli z jednego łona. Oboje obcy w tym kraju, oboje osieroceni, oboje niewolnicy, oboje uwolnieni z łańcuchów, oboje walczący siłą woli, oboje obdarzeni mocą równą sobie, choć odmienną. Volk zawahał się. Całe Arkev wyczuło jego wahanie. Ś Zdejmij welon Ś zażądał.

Kobieta skłoniła się, uniosła ręce, rozpięła swój welon i pozwoliła mu opaść. Ś Nazywam się Shaina Ś powiedziała. Ś Powiedziałeś mi kiedyś, że nie potrzebujesz znać mojego imienia. Może teraz zmieniłeś zdanie. Widziałeś, jak ścięto mi głowę i zgasła moja dusza. A jednak stoję przed tobą cała i zdrowa. Podobnie jak ty, Volkhavaarze, powróciłam z królestwa śmierci. Volk zmieszał się. Całe Arkev wyczuło jego zmieszanie. Podniósł rękę. Ś Twoja magia to złudzenie Ś oświadczyła Shaina. Ś Nie próbuj swoich sztuczek na dziewczynie, która przed tobą stoi. Wyśmieje cię. Nie uwierzy w twoje diabły, w twoje wilki, w twoje czarne konie. Ona już to zna. Wówczas Volk przemówił głosem jak syk węża. I jak można się było spodziewać, wymówił tylko jedno słowo, jedno imię: Takerna. 162 Czarne światło zalało świątynię, spłynęło po kolumnach, zdławiło blask pochodni, palących się teraz szarym płomieniem. Shaina odwróciła się, szybko podeszła do ogromnego posągu i położyła dłonie na jego splamionych krwią stopach. Nie patrzyła już na Yolka. Spoglądała w górę, na tę okrutną, nieludzką twarz. Ś Nie Takerna Ś powiedziała cicho. Ś Sovan Tovannazit. Niegdyś, w górach, nazwano cię w imię cieni, w imię czarnych skał i czarnych sosen. I przyszedł chłopiec. Wyczuł twojego słabego ducha, wszystko, co z ciebie pozostało. Modlił się do ciebie, wzywał cię ze wszystkich sił, wzywał cię całą mocą swej nienawiści i gniewu. A ty odpowiedziałeś, powróciłeś. Żywiłeś się krwią i nienawiścią, i rosłeś. On ofiarował ci własne życie, a ty stałeś się jego życiem. Pożarłeś jego cień i cień tych trojga przy ołtarzu. Powietrze drżało i migotało. Ś Dziewczyno Ś ozwał się Volk Ś rzeka jest bardzo ciemna i bardzo szeroka. Jakże chcesz ją przebyć? Ś Czarnoksiężniku Ś odparła Shaina Ś rzeka jest szeroka, lecz płytka. Nawet dziecko mogłoby przez nią przejść. Patrz, a sam się przekonasz. Ś Potem

odstąpiła od posągu, uniosła ramiona i zawołała głosem równie dzikim i przenikliwym jak głos Kernika lub Yolka: Ś Sovanie Tovannazit, Wielki Panie, Panie Wiatru. On zapomniał, ale twoja służebnica nie zapomniała. Ja jestem twoją prawdziwą kapłanką i powracam, aby oddać ci należną cześć. Ale nie czarną krwią, nie ofiarami z ludzi. Wyjęła białe kwiaty, które nosiła na piersi, kwiaty zerwane przez czarownicę, wciąż w cudowny sposób świeże, położyła je na stopach posągu i pochyliwszy się ucałowała to miejsce, gdzie złożyła kwiaty. Płomienie pochodni zatrzepotały jak skrzydła nietoperzy. Volkhavaar stał i patrzył. Wreszcie przemówił:

Ś Twierdzisz więc, że możesz mnie pokonać, niewolnico o sercu trawionym miłością? Ś Pokonać cię? Ś powtórzyła Shaina, odwracając się do niego i opierając się o stopy posągu. Ś Mogę cię zniszczyć, czarnoksiężniku. Co jest silniejsze, dzień czy noc, noc czy dzień? Oba są sobie równe i jedno musi ustępować przed drugim. Ludzie stwarzają bogów na swój obraz i podobieństwo. Wszystko, czego do tego potrzeba, to siła namiętności, Volkhavaarze. Moja namiętność jest równie silna jak twoja. Ty nienawidzisz całym sercem i całą duszą, poświęciłbyś życie dla swej nienawiści i dlatego nienawiść jest twoim bogiem. Ja kocham całym sercem i całą duszą, poświęciłabym życie dla mej miłości. Ona n\*163 jest moim bogiem, moją białą tarczą powstrzymującą twój czarny miecz, moim białym mieczem, co roztrzaska twoją czarną tarczę. Sovanie Ś powiedziała, oczy jej rozbłysły i zaczęła recytować starożytny rytuał, którego Kernik nauczył się od kapłana w górskiej wiosce przed tak wielu laty. Barbat, przeglądając w swoim kryształach przeszłość Yolka, nie pominęła niczego. Była dobrą nauczycielką, a Shaina okazała się pojętną uczennicą. Odprawiany w całości rytuał był długi, ale Shaina nie opuściła ani słowa. A kiedy skończyła, ponownie posłużyła się słowami, które żółtoskóry chłopiec wypowiadał na szczycie góry, tylko zmieniła je w ten sposób: Ś Wielki Panie Sovanie, zrobiłam wszystko tak, jak powinno być zrobione. Wyniosę cię wysoko i znowu uczynię cię bogiem, potężnym bogiem, którego będą czcili i kochali w całym Korkeemie i we wszystkich przyległych kramach. Ale po to, bym mogła tego dokonać, ty w zamian musisz obdarzyć mnie siłą. Dar za dar, o Niezwyciężony. Wypluj te dusze, które zabrałeś. Nie potrzebujesz ich już więcej, Wielki Panie, Biały Panie, Panie Wiatru, Dnia i Światłości. Gdyż ty nie jesteś bogiem nienawiści, ty jesteś białym bogiem słońca i księżyca, i bezchmurnego nieba; jasnym bogiem żniwiarzy, którego atrybutem jest róg pełen wina i biały koń. Oto, czym jesteś; a owa ciemność, co cię otacza, to tylko cień twojej świetlistej jasności, jak cienie w blasku słońca. Dotąd oddawano ci cześć fałszywie. Teraz ja składam ci prawdziwy hołd. Wtedy coś nadeszło, wyrwało się z niej Ś jak ból narodzin, jak upadek w śmierć Ś potężna, gorąca, pulsująca fala, dobroć, niewinność, rozkosz. Jej łyzy spadały na czarny kamień. Jej łyzy mówiły: zabij mnie, jeśli tego pragniesz, zgadzam się na to, niech tylko będę ostatnią, nie pierwszą ofiarą. Gotowa była umrzeć, żeby położyć kres umieraniu, jak matka dobrowolnie rzucająca się w paszczę niedźwiedzia, żeby ocalić swoje dziecko. Taka jest niepojęta, bezrozumna, prymitywna i szaleńcza natura miłości, co zmiata wszystko przed sobą jak fala przypływu. To nienawiść jest logiczna, to nienawiść tworzy prawa. Miłość ich nie potrzebuje. Miłość wie. Lecz Shaina nie umarła, czuła tylko, że słabnie, że moc uchodzi z niej gwałtownie jak krew. Widziała, jak jej łyzy zmywają ohydne plamy ze stóp posągu, zmywają do czysta, pozostawiają czarny kamień, zmywają tę czerń, aż posąg stał się szary, a potem biały jak sól. A poprzez łyzy widziała potężną postać boga, wznoszącą się nad nią jak kolumna ze srebra, oblicze, które nie przypominało już ptasiej 164 maski, rękę trzymającą róg z kości słońcовой, spragniony tylko wina lub czystej wody. Zerwał się wiatr. Rozdarł na strzępy zasłonę czarnego światła okrywającą świątynię, rozpędził miazmaty ciemności. Tłum szlochał jak dzieci przebudzone z nocnego koszmaru, bez strachu, bez wstydu, z wdzięcznością. Świetlista mgła spłynęła na szeregi ludzi. Jasne, złociste promienie światła padały na kolumny, na wspaniałe okna, na czerwone szaty kapłanów. Padały na białego konia, stojącego nieruchomo przy ołtarzu jak

posąg z marmuru, padały na poświęcone obrusy, śnieżnobiałe obrusy ozdobione frędzlami z czystego złota. Padały na grubego Roshiego, który przeklinał radośnie i nieprzyzwoicie; na Dasyela, młodego aktora, który tak samo przeklinał, rozglądając się szeroko otwartymi oczami i obejmując ramieniem Yevdorę; na Yevdorę, która przeczesywała palcami swe jasne włosy i powtarzała w oszołomieniu: Ś Gdzie są dzbany na wodę? Spóźnię się do domu! Ś Rzeczywiście się spóźnisz Ś zgodził się z nią Roshiego Ś spóźnisz się o parę miesięcy, a może o parę lat. A tymczasem ze świątyni rozlewał się blask barwy róży i przyćmionego topazu, najpiękniejszy świt, jaki kiedykolwiek widziano, a wraz z nim słońce powracało do Arkew. I znowu w rozjarzone niebo wznosiły się białe wieże o błyszczących dachach, znowu po rzece płynęły białe statki, a z białego pałacu wybiegła Woana, znalazła małego czarnego kota i tańczyła z nim, a słońce ubarwiło jej twarz lepiej niż wszystkie kosmetyki i sprawiło, że stała się niemal ładna.

22.

Moc czarnego boga była złamana, pokonana. Nigdy już nie miała powrócić, gdyż odmieniła ją miłość, miłość równie silna jak nienawiść, równie bezwzględna i nieugięta. To miłość sprawiła, że moc z czarnej stała się biała, jak biały stał się posąg. Przedtem pojawił się chłopiec, który oddał życie za śmierć i ciemność. Ale teraz pojawiła się dziewczyna, która złożyła pocałunek na zimnym obliczu Śmierci, odegnała na zawsze Noc po prostu nazwawszy ją Dniem. Ona także była mistrzynią iluzji, zaklinaczką dusz; mówiła prawdę: była siostrą czarnoksiężnika dzięki czarodziejskiej mocy swoich łez i nieposkro-165 mionego serca. Nawet czarny kamień na czubku kuglarskiej laski, cząstka Takerny, był teraz jasny jak perła. Kernik po raz pierwszy zapłakał, zaskomlał w nikczemnym strachu, czując, że moc go opuszcza. Niczym człowiek nagle pozbawiony władzy we wszystkich członkach, uczynił szaleńczy, rozpaczliwy wysiłek, aby okryć się iluzją, aby stworzyć iluzję. Ale nie potrafił już tego dokonać. Czy to dlatego, że jego bóg przestał być jego bogiem, czy dlatego, że sam przestał wierzyć w swoją moc, odkąd przestała go chronić moc boga. Rzucił się to tu, to tam, warcząc wyzywająco, szczerząc zęby jak wściekły pies Ś ale był tylko człowiekiem. Tylko człowiekiem. Okrywały go podarte łachmany, strzępki szmat Ś żalosna rzeczywistość, którą przesłaniał splendorem swych szat, oszukując tym wszystkich, nawet samego siebie. Gdyby ludzie zaatakowali go wtedy, rzucili się na niego tak, jak zwykle tłum rzuca się na powalonego olbrzymia, nie mogłyby się przed nim bronić. Nie pojawi się już wilk, żeby ich rozszarpać, nie wyrosną mu sokole skrzydła, żeby unieść go wysoko w niebo rozjaśnione brzaskiem obmywającym miasto z ciemności. Krążył niespokojnie. Chciał uciec, schronić się gdzieś, by lizać rany, skowyczeć z żalu i bić pięściami w ziemię. Nie znał swojego wieku, zapomniał, ile ma lat, ale znów stał się podrostkiem, bezsilnym i złamanym, jak wtedy w śniegu na górskim szczycie. A oni uwolnili się od zaklęcia. Płomień zemsty wkrótce rozpalił ich zlodowaciałą krew. Ręce wyciągnęły się po noże, poszukują kamieni, jak wtedy. Czy miał umrzeć? Czy mogli go zabić? Nie Ś w jakiś sposób wiedział, że tyle przynajmniej mu pozostało, ta niepewna egzystencja, którą kupił sobie w zamian za duszę i krew. I wciąż nie rzucał cienia w przeciwieństwie do trojga ludzi, których trzymał w niewoli tak długo. Czarownica imieniem Shaina zwróciła im ich dusze, dusze, które wyrwał z nich Volk. Tylko jego dusza, oddana dobrowolnie i wchłonięta przez boga, nie mogła mu być zwrócona. A tych troje, co teraz poczną? Yevdora szlochała, Roshiego szczerzył zęby w rozbawieniu. Młody aktor stał bez ruchu, zimny, arogancki, wpatrując się w niego, poznając go, przypominając sobie dokładnie, co się wydarzyło. Dasyel niełatwo pogodził się ze swą niewolą. Rozglądał się za mieczem, wyraźnie powątpiewając, czy wystarczą tu gołe pięści, a pod spojrzeniem jego oczu, nieruchomym jak błękitnozielony lód, czarnoksiężnik kurczył się coraz bardziej i bardziej... 166 Volk zadrżał. Volk rzucił się do ucieczki. Gnały go ból, rozpacz

i przerażenie. Zaskowyczał jak wilk. Wypadł ze świątyni na ulicę z takim impetem, wyjąc tak przeraźliwie, że przedarł się przez podniecony tłum, wkrótce jednak tłum zaczął go ścigać. Nie był już tak zwinny i szybki jak niegdyś. Całą swą zręczność utracił przed wiekami w lochach Svatzy. Nie schwytano go jednak. Być może ludzie brzydzili się go dotknąć. Być może w tym dniu białego boga, Sovana Tovannazit, nie mogli się zdobyć na akt nienawiści. Volk dotarł do rzeki Kargi. Szaleństwo owładnęło nim bez reszty. Skoczył do wody, on, który niegdyś był szczupakiem, królem ryb, pływał i polował w zielonych głębinach wód; Volk-człowiek myślał, że pochłonie go woda lub ogień, nie wiedział, jaki będzie jego los; a rzeka połknęła go, zakrzuszyła się i wypluła go z bulgotem na powierzchnię, na spotkanie gradu kamyków, którymi obrzucali go mieszkańcy Arkev. Nie słyszał, jak podniósł się krzyk, jak wzbił się ku niebu wraz ze stadem gołębi i melodyjnym dźwiękiem dzwonów: Ś Czarna bestia jest martwa, martwa, martwa! Arkev zrzuciło łańcuchy.

Minął czas wszelkiej niewoli.

A potem zapadła cisza. W ciszy dokonywało się to, co miało się spełnić. Garncarze lepia garnki gładkie i równe ze wszystkich stron, ale życie nie postępuje tak samo z ludźmi. Woana, brzydka księżniczka, teraz księżna Arkev, na której kolanach znowu mruczał czarny kot, nigdy nie spodziewała się, że będzie miała męża, a co dopiero dwóch. W nadchodzących miesiącach ktoś, kogo wstydlawie lubiła i komu ufała Ś gruby brązowoskóry mężczyzna, wygrywający na piszczałce piękne melodie, przyjaciel dzieci i zwierząt Ś zostanie tym, kim w żadnych marzeniach nie spodziewał się zostać, księciem Korkeemu, mężem Woany. Początkowo spoglądając na nią będzie widział tylko małą, zalęknioną dziewczynkę. Będzie mu jej żal i dlatego spróbuje ją rozweselić Ś Roshu, zawsze ten sam, zawsze pełen dobroci. Potem zauważy, jak rozkwitła w ciepłe jego życzyliwosci. Zauważy też inne rzeczy. Jej dobroć, jej skromność, jej zadziwiająca troskę o poddanych mieszkających w białym mieście, ponieważ teraz, kiedy dorosła, postanowiła nigdy nie rządzić bezmyślnie jak jej ojciec ani okrutnie jak Volkhava-ar. Nauczyła się paru pożytecznych lekcji. A gdy pewnego dnia Roshu 167 odkryje, że przekłada jej towarzystwo nad każde inne Ś tak samo zawsze lubił patrzeć na ptaszka, któremu wyleczył skrzydło, widzieć, jak ptak nabiera sił i staje się coraz weselszy Ś zauważy, że Woana na niego patrzy, i wszystko się dokona. Roshu powie jej: „Nie mogę się ożenić z księżną. Rzuć to i zamieszkać ze mną w wiejskiej chacie.” A Woana odpowie: „Muszę tu zostać i troszczyć się o moich poddanych.” I podniesie głowę dumnie jak Shaina. Więc Roshu będzie musiał pogodzić się z tym, że zostanie księciem, co zresztą nikomu nie będzie robiło różnicy z wyjątkiem kilku ambasadorów z odległych krajów, zachwycających się muzycznymi talentami księcia i zdumiewającymi sztuczkami żonglerskimi, które pokazywał przy obiedzie. A gdy już w dzieciennym pokoju stanie jedno czy dwa łóżeczka, Woana powie do Roshiego: „Ukochany mężu” i powie to szczerze. „Dlaczego,” zapyta, „zechciałeś się ze mną ożenić, przecież jestem taka brzydka i niepozorna.” A Roshu odpowie: „Nikt nie dostrzega słowika, dopóki słowik nie zacznie śpiewać.” A każdy, kto wówczas spojrzy na Woanę, będzie musiał przyznać, że Woana wcale już nie jest brzydka i niepozorna. Tyle o Roshim i Woanie. Yevdora zaś wróci do domu i poślubi zwyczajnego, ciężko pracującego człowieka, co nikogo nie zdziwi. Tego można się było spodziewać. Prawdę mówiąc mimo całej swej urody Yevdora tylko dzięki magii Kernika była interesująca. Będzie żyła szczęśliwie w rodzinnym Yevdorze, przy swoich krosnach, z mężem i dziećmi, i któż mógłby ją za to winić? I oto ostatni obrót koła, oto ci, od których wszystko się zaczęło: niewolnica i aktor. A żeby o tym opowiedzieć, należy cofnąć się do tego pierwszego, tchnącego świeżością poranka w Arkev po ucieczce czarnoksiężnika. W ciszy, która otuliła Arkev, słychać było śpiew ptaków wysoko pod niebem, dzwiczący jak małe dzwoneczki na powitanie słońca. Wszyscy odeszli ze świątyni Ś nawet kapłani wyszli, żeby powitać nowy dzień Ś wszyscy prócz dwojga. Świątynia była biała, obmyta do czysta, a wielki łagodny bóg stał jasny, cichy i spokojny jak sen. A u jego stóp stała Shaina, kilka kroków zaś od niej stał Dasyel. Wreszcie spoglądali na

siebie, bez zmieszania, otwarcie i śmiało. Gdyby stanęła z nim twarzą w twarz wcześniej, wtedy, kiedy po raz pierwszy go ujrzała i pokochała, nie mogłaby tak spokojnie patrzeć mu w oczy, owe oczy, które przeszły jej serce. Na pewno drżałaby, 168 spuszczałaby wzrok i z przejęcia nie mogłaby wykrztusić ani słowa. Ale od tego czasu zdarzyły się różne rzeczy, dziwne rzeczy, dziwniejsze nawet od zaklęcia, które rzucił na niego mag. Dlatego mogła patrzeć i mogła widzieć, i nie było żadnych wątpliwości. Barbayat powiedziała jej, że kiedy przyjdzie czas, Shaina będzie wiedziała. Teraz wiedziała. W jego oczach był podziw, zachwyt, nawet pożądanie, ale nie było miłości, nie było miłości takiej jak jej miłość. Zrozumiała, że jeśli jej miłość nie zostanie w pełni odwzajemniona, wówczas zniszczy go, a ją okaleczy – tak już jest. Potem Dasyel, aktor i syn szlachcica, skłonił się przed nią pięknie i powiedział: – Domyślam się, że młoda dama jest czarownicą? Czy mógłbym poznać jej imię, aby jej podziękować, ponieważ zdaje mi się, że rozumiem, co dla mnie zrobiła. – Nazywam się Shaina – odparła Shaina – za pozwoleniem. A ty nazywasz się Dasyel. Aż tyle o tobie wiem. On jednak również patrzył jej w oczy i również widział jej myśli. Zbliżył się o krok i przemówił cichym, dźwięcznym głosem: – Młoda pani imieniem Shaina, która jest czarownicą, wie, że pozostanę na zawsze jej dłużnikiem. Jest bardzo piękna i bardzo mądra; będę niezmiernie zaszczycony mogąc prosić o jej rękę. – Będziesz niezmiernie głupi – odparła Shaina jeszcze bardziej niżonym głosem. – Rozumny młody człowiek postąpiłby głupio biorąc za żonę kobietę, której nie kocha. Dasyel rozważał jej słowa przez minutę lub dłużej. Potem powiedział: – Myślę, że bardzo szybko nauczę się kochać ciebie, Shaino. – A ja myślę – rzekła Shaina – że nie uczyłam się ciebie kochać, że jesteś moją jedyną miłością, że nigdy nie pokocham innego. Nie wstydzę się o tym mówić. Nikt nie musi się wstydzić miłości. To nie twoja wina, że twoje oczy nie odpowiadają na moje spojrzenia. Na to nic nie można poradzić. W swoim życiu dość się nadźwigałam łańcuchów, dlatego nie chcę nakładać łańcuchów innym. Twoja droga na pewno się nie zmieniła, a ja nie mogę wędrować z tobą. Odejdź wolny, Dasyelu, nie zawdzięczasz mi niczego. Czyż płaci się zbożu za to, że dojrzeła, księżycowi za to, że wschodzi? Nie mogłam postąpić inaczej. Po czym uśmiechnęła się do niego, gdyż w swoim smutku potrafiła się uśmiechać. Podeszła bliżej i dotknęła jednym palcem jego falujących włosów. 169 – Powiadają, że ci, co mają kręcone włosy, mają też kręte myśli. Strzeż się tego, kiedy będziesz wędrował swoją drogą, Dasyelu. Potem, wciąż uśmiechnięta, odwróciła się i ruszyła do drzwi świątyni. A Dasyel zawołał za nią: – Może jeszcze kiedyś się spotkamy, czarownico Shaino. – Jeśli będziesz mnie potrzebował, odszukaj mnie, a ja ci pomogę. Jeśli potrafisz mnie znaleźć, będę na ciebie czekała. Nigdy nie pokocham innego i jeśli do mnie wrócisz, przyjmę cię z radością. Ale nie będę cię szukać ani wypatrywać, Dasyelu. Nie słońce zawsze nad tobą świeci. Żegnaj. Poszła więc swoją drogą, a on swoją. Jego droga była dawną drogą aktora, gdzie czekały deszczowe dni i twarde łóżka, droga, po której turkotały malowane wozy, pełną książąt w gwiazdzistych zbrojach, miłostek i waśni, prowadzącą przez wiecznie zmienną ziemię. Jej droga zakończyła się u drzwi Barbayat i tam też się rozpoczęła. Nie na darmo nazwano ją czarodziejką. To była droga, która na nią czekała, przeznaczenie, które ją wzywało, choć dotąd, zaślepiona miłością, nie dostrzegała go, jak nie dostrzega się ziemi pod stopami, gleby, z której wyrasta trawa. Ironia losu sprawiła, że w końcu miłość stała się dla niej raczej motywem niż celem, raczej początkiem niż spełnieniem. Być może stanie się tak, że pewnego dnia ktoś wyruszy w góry, do miejsca, gdzie mieszka Barbayat ze swą przybraną córką, ktoś z czarnymi, falującymi włosami, ktoś, kto myśli o Shainie, jak ona niegdyś myślała o nim. Kto wie? Ponieważ nic nie jest pewne, wszystko się zmienia. Kto ośmieli się twierdzić, że upadek czarnoksiężnika był upadkiem ostatnim? Daleko stąd, na jakimś odległym, błotnistym brzegu, wyrzucony przez fale rzeki Kargi, walczy z losem człowiek-ryba, Kernik Volk, już nie Volkhavaar, nieufny, czujny, pełen zimnej nienawiści, rozpoczynając od nowa wojnę z Korkeemem i z ludźmi. Ponieważ dzień następuje po nocy, noc po dniu: a potem znów przychodzi dzień. Jabłka

dojrzewają, jabłka spadają, ptaki dziobią jabłka, rzucają nasiona na ziemię i oto wyrasta nowa jabłoń. I znowu krąg się zamyka. Tak kręci się świat.

KONIEC

Tanith Lee, pisarka brytyjska specjalizująca się w fantasy, urodziła się 19 września 1947 roku w Londynie. Ukończyła średnią szkołę plastyczną. Debiutowała opowieścią dla dzieci *The Dragon Hoard* (1971). Dla młodzieży napisała m. in. *Companions on the Road* (1975), *The Wimer Players* (1976), *Na wschód o północy* (1977). Pierwszą powieścią „dla dorosłych” jest *The Bingrave* (1975), pierwszy tom trylogii heroic fantasy. Następne to: *Vazkor, Son of Vazkor* (1978) i *Quest for the White Witch* (1978). Do najlepszych powieści TL należy *Czarnoksiężnik z Volkyanu* (1981), *Kill the Dead* (1980), *Madame Two Swords* (1988), a zwłaszcza pięciotomowy cykl „*Tales from the Fiat Earth*” (1978-1988), który ukaże się nakładem ALFY. TL pisuje także SF: *Don't Bite the Sun* (1976) i *Drinking Sapphire Wine* (1977), *Electric Forest* (1979), *The Sifaer Metal Lover* (1981), *Day by Night* (1980), *Days of Grass* (1985) oraz fantastykę grozy i liczne opowiadania i dwie części pokrewne grozie: *Sabella* (1980), *Lycanthia* (1981). Zbiory opowiadań: *Red as Blood* (1983, nowe wersje znanych baśni), *Tamasatra or the Indian Nights* (1984), *The Gorgon and Other Beastly Tales* (1985), *Dreams of Dark and Light* (1986), *Forests of the Night* (1989), *W omen as Demons* (1989). Jest autorką blisko 50 książek, laureatką August Derleth Award 1980 i World Fantasy Convention Award 1983. TL pisze eleganckim językiem, posiada niezwykle bogatą, „rozbuchaną” wyobraźnię, kreuje interesujące światy i fascynujące postacie, nie stroni od seksu, nierzadko perwersyjnego i fantastycznego, i należy do grona najznamienitszych pisarzy fantasy i S F Wielkiej Brytanii.]]